

**Mary Higgins Clark**

## **Noc jest moją porą**

*(Nighttime is my time)*

*Przełożyła Anna Kołyszko*

„Jestem sową  
– szeptał do siebie,  
gdy wybrał już ofiarę  
– i noc jest moją porą”.

## Rozdział pierwszy

Już trzeci raz w tym miesiącu przyjechał do Los Angeles, by śledzić jej kroki.

– Znam twój każdy ruch – szepnął, czekając w pawilonie nad basenem.

Dochodziła siódma. Spływająca do basenu woda skrzyła się w promieniach porannego słońca.

Ciekawe, czy Alison przeczuwa, że pozostała jej zaledwie minuta życia, zastanawiał się. Czy odczuwa niepokój, czy podświadomie wolałaby zrezygnować z pływania dzisiejszego ranka? Nawet jeśli tak było, nie usłuchała ostrzeżeń wewnętrznego głosu.

Rozsuwane drzwi otworzyły się i Alison wyszła na patio. W wieku trzydziestu ośmiu lat była znacznie bardziej atrakcyjna niż przed dwudziestu laty. Smukłe opalone ciało świetnie prezentowało się w bikini. Jasne, okalające twarz włosy o miodowym odcieniu znakomicie łagodziły ostrą linię podbródka.

Kipiący w nim gniew przerodził się we wściekłość. Zaraz jednak ustąpił miejsca satysfakcji na myśl o tym, co za chwilę zrobi. Moment przed ujawnieniem się jest zawsze najwspanialszy, myślał. Wiem, że za chwilę umrą, a one, kiedy mnie zobaczą, też to sobie uświadamiają.

Alison weszła na trampolinę. Podskoczyła lekko, sprawdzając jej sprężystość, po czym wyciągnęła przed siebie ręce.

W chwili gdy jej stopy oderwały się od trampoliny, otworzył drzwi pawilonu. Chciałby go zobaczyć jeszcze w powietrzu, zanim czubki jej palców dotkną tafli wody. Chciałby zrozumiała, jak bardzo jest bezbronna.

Ich oczy spotkały się. Dostrzegł przerażenie na jej twarzy. Sekundę potem zanurzyła się pod wodę.

Był w basenie, zanim wypłynęła. Przytulił ją do piersi i śmiał się głośno, gdy na próżno wymachiwała rękami, wierzgała nogami, miotając się w jego ramionach.

– Umrzesz – szepnął spokojnie.

Pławił się w rozkoszy, czując jej zmagania. Zbliżał się koniec. Usiłując schwytać oddech, otworzyła usta i nałykała się wody. Uczyniła ostatni rozpaczliwy wysiłek, by mu się wyrwać, ale jej ciałem wstrząsnęły tylko słabe dreszcze i zwiśla bezwładnie w jego ramionach. Przycisnął ją do siebie mocniej, żalując, że nie potrafi czytać w jej myślach. Może się modliła... Błagała Boga o ocalenie...

Odczekał pełne trzy minuty i puścił ją. Patrzył z uśmiechem, jak jej ciało opada na dno basenu.

Tego popołudnia Sam Deegan nie zamierzał zaglądać do akt sprawy Karen Sommers. Grzebał w dolnej szufladzie biurka w poszukiwaniu tabletek na przeziębienie. Był pewien, że kiedyś je tam wrzucił. Gdy jego palce natrafiły na zniszczoną teczkę, zawahał się chwilę, skrzywił się, po czym wyjął ją i otworzył. Zerknął na datę na pierwszej stronie i uświadomił sobie, że tak naprawdę chciał znaleźć te akta. W przyszłym tygodniu, w Dniu Kolumba, wypadała dwudziesta rocznica śmierci Karen Sommers.

Teczka powinna znajdować się w archiwum wraz z trzema innymi nierozwiązanymi sprawami, lecz trzech kolejni okręgowi prokuratorzy zgodzili się, by ją trzymał w zasięgu ręki. To Sam był pierwszym detektywem, który zareagował na histeryczny telefon kobiety, krzyczącej do słuchawki, że ktoś zaszytował jej córkę.

Kiedy przyjechał tamtej nocy do domu przy Mountain Road w Cornwall-on-Hudson, zastał w sypialni ofiary tłum wstrząśniętych gapiów. Jeden z sąsiadów daremnie próbował zastosować sztuczne oddychanie. Inni starali się odciągnąć zrozpaczonych rodziców od ciała brutalnie zamordowanej córki.

Długie do ramion włosy Karen Sommers były rozrzucone na poduszce. Sam odsunął na bok ratującego Karen sąsiada i zorientował się, że wściekłe ciosy w klatkę piersiową musiały spowodować natychmiastową śmierć dziewczyny. Pościel była przesiąknięta krwią. Krzyki matki ściągnęły nie tylko sąsiadów, ale też ogrodnika i dostawcę, którzy znajdowali się na sąsiedniej posesji. W rezultacie wszystkie ślady, które morderca pozostawił na miejscu zbrodni, zostały zatarte.

Nic nie świadczyło o tym, że dokonano włamania. Niczego nie brakowało. Karen Sommers, dwudziestodwuletnia studentka pierwszego roku medycyny na Uniwersytecie Columbia, zaskoczyła rodziców, przyjeżdżając do domu z krótką wizytą.

Od dwudziestu lat szukam bydlaka, który zamordował Karen, pomyślał Sam i pokręcił głową, otwierając zniszczoną teczkę. Dlaczego nie udało mi się go znaleźć?

Wzruszył ramionami. Pogoda była pod psem, padał deszcz i jak na początek października panował niezwykły chłód. Kochałem tę pracę, myślał, ale dziś nie mogę już tego powiedzieć. Jestem gotów przejść na emeryturę. Mam pięćdziesiąt osiem lat. Większość życia przepracowałem w policji. Powinienem uciec stąd jak najprędzej. Zrzucić kilka kilogramów. Zacząć spędzać więcej czasu z wnukami.

Przejechał palcami po przerzedzonych włosach, czując, że zanosi się na ból głowy. Kate zawsze powtarzała mu, żeby tego nie robił. Twierdziła, że osłabia to cebulki.

Uśmiechając się lekko na wspomnienie owej analizy łysienia, jaką przeprowadziła jego świętej pamięci żona, utkwiał wzrok w teczce opatrzonej napisem: „Karen Sommers”.

Sam nadal regularnie odwiedzał Alice, matkę Karen, która przeprowadziła się do mieszkania w mieście. Wiedział, że dla Alice pociechą stanowi fakt, że do tej pory nie zaprzestali poszukiwań

człowieka, który odebrał życie jej córce.

Chodziło nie tylko o to. Sam przeczuwał, że pewnego dnia Alice wspomni o czymś, co nigdy nie wydawało jej się ważne, a co mogłoby doprowadzić do odnalezienia człowieka, który zakradł się do pokoju Karen tamtej nocy.

Przez pierwszych dwanaście lat po morderstwie Sam chodził na cmentarz w każdą rocznicę śmierci Karen. Pozostawał tam przez cały dzień, ukryty za grobowcem i obserwował grób Karen. Założył nawet podsłuch na płycie nagrobkowej, by wiedzieć, co mówią przychodzący tam ludzie. Zdarzało się przecież, że pojmwano zabójców, którzy odwiedzali groby swoich ofiar w kolejne rocznice ich śmierci.

Ale w rocznicę śmierci Karen na jej grób przychodzili tylko rodzice i Samowi serce się krajało, kiedy słuchał, jak wspominają swoją ukochaną jedynaczkę. Przestał tam bywać osiem lat temu. Michael Sommers zmarł i Alice samotnie odwiedzała grób, w którym spoczywali teraz obok siebie jej mąż i córka. Nie chciał być dłużej świadkiem bólu Alice. Postanowił, że nigdy tam już nie wróci.

Sam wstał i włożył teczkę Karen Sommers pod pachę. W przyszłym tygodniu wstąpię na cmentarz, pomyślał. Tylko po to, by powiedzieć Karen, jak bardzo żałuję, że nie udało mi się niczego dla niej zrobić.

Podróż samochodem z Waszyngtonu do Cornwall-on-Hudson zajęła Jean Sheridan siedem godzin. Nie cieszyła jej ta eskapada i to bynajmniej nie z powodu odległości, lecz dlatego że Cornwall, miasteczko, w którym spędziła dzieciństwo i lata młodości, przywiodło jej na myśl bolesne wspomnienia.

Obiecała sobie wcześniej, że nie weźmie udziału w zjeździe koleżeńskim z okazji dwudziestolecia ukończenia szkoły. Nie zamierzała świętować tej rocznicy, choć ceniła sobie wykształcenie, jakie zdobyła w liceum Stonecroft. Nie obchodziło jej, że ma teraz otrzymać medal Wybitnego Absolwenta, mimo że stypendium Stonecroft było kamieniem milowym na drodze do uzyskania stypendium Bryn Mawr, a następnie doktoratu w Princeton.

Jednakże teraz, gdy do programu zjazdu włączono nabożeństwo żałobne za duszę Alison, Jean stwierdziła, że nie może odmówić przyjazdu.

Śmierć Alison nadal wydawała się tak nierealna, że Jean niemal spodziewała się, że zadzwoni telefon, a ona usłyszy w słuchawce znajomy głos, pośpieszne słowa, zwięzły styl, jak gdyby na przekazanie całej wiadomości wyznaczony był limit dziesięciu sekund.

– Jeannie. Nie dzwoniłaś ostatnio. Zapomniałaś, że jeszcze żyję. Nienawidzę cię. Nie, to nieprawda. Kocham cię. Podziwiam cię. Jesteś cholernie mądra. W przyszłym tygodniu odbędzie się w Nowym Jorku premiera. Curt Ballard jest jednym z moich klientów. Znajdziesz czas we wtorek? Koktajl o szóstej, potem film, a następnie kameralne przyjęcie dla dwudziestu, trzydziestu osób?

Alison zawsze udawało się przekazać tego rodzaju wiadomość w mniej więcej dziesięć sekund, pomyślała Jean. Za każdym razem była zdumiona, że w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto Jean nie rzucała wszystkiego i nie pędziła na złamanie karku do Nowego Jorku.

Alison nie żyła prawie od miesiąca. O ile trudno jej było uwierzyć w tę śmierć, o tyle myśl, że przyjaciółka padła ofiarą morderstwa, była dla Jean wręcz nie do zniesienia. Ale prawdą jest, że Alison, pnąc się po szczeblach kariery, narobiła sobie mnóstwo wrogów. Nie można być szefową jednej z największych agencji aktorskich w kraju, nie narażając się na ludzką nienawiść. Poza tym Alison znana była ze swego ciętego dowcipu i jadowitej ironii. Czyżby ktoś, kogo wystawiła na pośmiewisko lub zwolniła, wściekł się na tyle, by ją zamordować? – zastanawiała się Jean.

Wolę myśleć, że straciła przytomność po skoku do basenu. Nie chcę wierzyć, że ktoś ją utopił.

Spojrzała przez ramię na torbę, leżącą na miejscu obok kierowcy, i jej myśli znów zaczęły krążyć wokół znajdującej się w niej koperty. Co ja mam z tym zrobić? Kto mi ją przysłał i po co? Jak ktoś mógł się dowiedzieć o Lily? Czy coś jej grozi? O Boże, co ja teraz pocznę?

Pytania te dręczyły Jean podczas bezsennych nocy, od chwili gdy kilka tygodni temu otrzymała raport z laboratorium.

Dotarła do zjazdu z drogi numer 9W do Cornwall. Z Cornwall niedaleko było do West Point. Jean z trudem przełknęła ślinę. Gardło miała ściśnięte ze zdenerwowania. Rozejrzała się po okolicy, próbując skoncentrować się na uroku październikowego popołudnia. Widok drzew, które jesień ubrała w barwy złota, oranżu i ognistej czerwieni, zapierał dech w piersi. Ponad lasem wznosiły się góry, jak zwykle niezmaczenie spokojne. Hudson Highlands. Zapomniałam już, jak tu pięknie, pomyślała.

Błogi nastrój ożywił jej wspomnienia: niedzielne popołudnia w West Point, kiedy w słoneczne dni siadywała na stopniach pomnika. Tam właśnie zaczęła pisać swoją pierwszą książkę, historię West Point.

Napisanie jej zajęło mi dziesięć lat, myślała Jean. Pewnie dlatego że przez długi czas zwyczajnie nie mogłam o tym wszystkim myśleć.

Kadet Carroll Reed Thornton junior z Maryland. Nie myśl teraz o Reedzie, przestrzegła samą siebie.

Bezwiednie skrzyła z drogi numer 9W w Walnut Street. Na miejsce zjazdu koleżeńskiego został wybrany hotel Glen-Ridge House, który wziął swą nazwę od jednego z pensjonatów z połowy dziewiętnastego wieku. Z rocznika Jean szkołę ukończyło dziewięćdziesięcioro uczniów. Otrzymała wiadomość, że czterdzieści dwoje absolwentów zapowiedziało swój udział wraz z małżonkami lub partnerami oraz z dziećmi.

Przysłano jej pocztą identyfikator z jej zdjęciem z ostatniej klasy oraz wydrukowanym pod spodem nazwiskiem. Dostała także program weekendowych imprez – w piątek wieczorem powitalny koktajl, w sobotę wspólne śniadanie, wycieczka do West Point, mecz futbolowy kadeci akademii

wojskowej kontra studenci Princeton, a następnie koktajl i uroczysty bankiet. Początkowo planowano zakończenie zjazdu w niedzielę uroczystym śniadaniem w Stonecroft, lecz po śmierci Alison postanowiono włączyć do programu nabożeństwo żałobne w jej intencji. Alison została pochowana na cmentarzu przylegającym do terenu szkoły i nabożeństwo miało być odprawione nad jej grobem.

Alison zapisała w testamencie darowiznę na fundusz stypendialny Stonecroft i zapewne to był powód pośpiesznie zaplanowanego nabożeństwa.

Main Street niewiele się zmieniła, pomyślała Jean, przejeżdżając wolno przez miasteczko. Minęło wiele lat od czasu, gdy była tu ostatni raz. Tamtego lata, kiedy ukończyła Stonecroft, rodzice ostatecznie się rozstali, sprzedali dom i poszli własnymi drogami. Ojciec prowadzi obecnie hotel na Maui. Matka wyszła ponownie za mąż i przeniosła się do Cleveland. Rozstanie rodziców położyło miłosierny kres jej pobytowi w Cornwall.

Wkrótce wjechała na podjazd Glen-Ridge House. Portier otworzył drzwi jej samochodu, mówiąc:

– Witamy w domu. Proszę udać się prosto do recepcji. Zajmiemy się pani bagażem.

Hotelowy hol był przytulny i miły, stały w nim wygodne fotele, podłogę przykrywał gruby dywan. Recepcja znajdowała się po lewej stronie. W barze po przekątnej Jean od razu dostrzegła grupę gości, raczących się drinkami.

– Witamy w domu, pani Sheridan – powiedział recepcjonista, mężczyzna po sześćdziesiątce, którego fatalnie ufarbowane włosy pasowały kolorem do politurę powlekającej kontuar z wiśniowego drewna. Gdy Jean podawała mu kartę kredytową, przemknęła jej przez głowę niedorzeczna myśl, że musiał wyciąć kawałek blatu i pokazać go swemu fryzjerowi.

Nie była jeszcze gotowa na spotkanie z kolegami z klasy i miała nadzieję, że uda jej się niezauważenie dotrzeć do windy. Chciała mieć przynajmniej pół godziny spokoju, by wziąć prysznic i przebrać się, zanim przypnie plakietkę ze zdjęciem nieszczęśliwej, przestraszonej osiemnastolatki, którą wtedy była, i spotka się z dawnymi kolegami.

Wzięła klucz od swego pokoju i odwróciła się w stronę windy, ale recepcjonista zatrzymał ją na moment.

– Och, byłbym zapomniał, pani Sheridan, mam dla pani faks. – Zerknął na nazwisko na kopercie. – Przepraszam, powinienem tytułować panią „doktor Sheridan”.

Bez komentarza, Jean rozerwała kopertę. Faks pochodził od jej sekretarki z Uniwersytetu Georgetown. „Pani doktor, przepraszam, że panią niepokoję. To prawdopodobnie jakiś żart lub pomyłka, pomyślałam jednak, że zechce to pani zobaczyć”. „To” okazało się pojedynczą kartką, przesłaną faksem do jej biura, na której widniała następująca treść: „Jean, przypuszczam, że do tej pory zyskałaś już pewność, iż znam Lily. Zastanawiam się, czy mam ją pocałować, czy zabić? To tylko żart. Odezwę się”.

Przez chwilę Jean nie była w stanie się poruszyć ani zebrać myśli. Zabić ją? Zabić? Ale dlaczego? Dlaczego?

Stał w barze, obserwując bardzo uważnie gości, i czekał na nią. Przez lata widywał jej zdjęcia na obwolutach książek, które napisała, i za każdym razem przeżywał szok, uświadamiając sobie, że Jeannie Sheridan aż tyle osiągnęła.

W Stonecroft należała do dziewcząt bystrych, lecz spokojnych. Zaczynał ją już lubić, gdy Alison powiedziała mu, że wszystkie stroją sobie z niego żarty. Wiedział, kim są te „wszystkie”: Laura, Catherine, Debra, Cindy, Gloria, Alison oraz Jean. Podczas lunchu zawsze siedziały przy jednym stoliku.

Teraz Catherine, Debra, Cindy, Gloria i Alison nie żyją. Laurę zostawił sobie na koniec. Nadal nie był pewien co do Jean. Nie mógł się zdecydować, czy ją zabić. Do dziś pamiętał, jak próbował dostać się do drużyny baseballowej. Nie przyjęto go jednak, a on rozplakał się, nie potrafił powstrzymać łez.

Uciekł z boiska, Jeannie dogoniła go po chwili.

– A ja nie dostałam się do grupy czirliderek – powiedziała spokojnie. – I co z tego?

Wiedział, że pobiegną za nim, ponieważ było jej go żal. Dlatego coś mu mówiło, że nie zaliczała się do tych dziewcząt, które drwiły z niego, kiedy pragnął zaprosić Laurę na bal maturalny. Potem jednak Jean zraniła go w inny sposób.

Laura była najładniejszą dziewczyną w klasie – złote włosy, błękitne oczy, wspaniała figura, której nie potrafił zeszpecić nawet mundurek obowiązujący w Stonecroft. Zawsze była pewna swojej władzy nad wszystkimi chłopakami.

Co do Alison, to już wówczas, w szkolnych latach, była okropnie wredna. Pisała do szkolnej gazetki i zawsze znajdowała sposób, żeby zrobić przytyk pod czyimś adresem. W recenzji ze szkolnego przedstawienia napisała: „Ku ogólnemu zaskoczeniu Romeo, alias Joel Nieman, zdołał jakimś cudem zapamiętać prawie całą rolę”. W tamtych czasach niektórzy uczniowie uważali Alison za przezabawną. Niedojdy trzymały się od niej z daleka.

Niedojdy takie jak ja, pomyślał, rozkoszując się wspomnieniem przerażenia na twarzy Alison, gdy zobaczyła, jak wychodzi z pawilonu nad basenem i zbliża się ku niej.

Jean była powszechnie lubiana, lecz wydawała się inna niż tamte dziewczyny. Nawet wtedy była entuzjastką historii. Zaskoczyło go, że teraz jest znacznie ładniejsza niż w szkole. Jej jasnobrązowe włosy, które kiedyś zwisały w strąkach, pociemniały, stały się bardziej gęste. Choć szczupła, przestała być przeraźliwie chuda. Nauczyła się też dobrze ubierać, jej żakiet i spodnie miały świetny krój. Patrzył, jak chowa faks do torebki, żałując, że nie może zobaczyć jej miny.

„Jestem sową i mieszkam na drzewie”.

W uszach zabrzmiał mu głos przedrzeźniającej go Laury.

– Ona zna cię na wylot – piszczała Alison tamtego wieczoru dwadzieścia lat temu. – I powiedziała nam też, że zsikałeś się w majtki.

Potrafił sobie wyobrazić, jak wszystkie nabijają się z niego, słyszał ich szyderczy śmiech.

Zdarzyło się to dawno temu, kiedy był w drugiej klasie. Brał udział w szkolnym przedstawieniu i miał do wypowiedzenia tylko jedną kwestię, nie mógł jej jednak wykrztusić. Jąkał się tak bardzo, że dzieci na scenie zaczęły się śmiać.

– „Je-je-je-jestem s-s-s-sową i m-m-m-miesz-k-k-kam n-n-na...

Nie udało mu się wypowiedzieć słowa „drzewie”. Właśnie wtedy wybuchnął płaczem i uciekł ze sceny. Oberwał od ojca klapsa za to, że zachował się jak baba.

– Daj mu spokój – powiedziała matka. – To głupek. Czego się można po nim spodziewać? Spójrz na niego. Znowu się moczy.

Wspomnienie tamtego upokorzenia mieszało się z wciąż dręczącym go wyobrażeniem śmiechu dziewcząt. Patrzył, jak Jean Sheridan wsiada do windy. Dlaczego miałbym cię oszczędzić? – myślał. Może najpierw Laura, potem ty. Wtedy wszystkie razem będziecie mogły wyśmiewać się ze mnie do woli. W piekle.

Zaledwie Laura zdążyła wejść do pokoju, kiedy pojawił się boy hotelowy z jej dość okazałym bagażem: plastikowym pokrowcem na eleganckie ubranie, dwiema dużymi walizkami i torbą na ramię. Odgadywała jego myśli: „Proszę pani, ten zjazd trwa tylko czterdzieści osiem godzin, a nie dwa tygodnie”.

– Pani Wilcox – powiedział chłopak – zawsze we wtorkowe wieczory oglądaliśmy z żoną „Henderson County”. Oboje uważamy, że była pani świetna. Jest jakaś szansa, że serial wróci na ekrany?

Nie ma żadnych szans, pomyślała Laura. Szczery zachwyty chłopca podniósł ją jednak na duchu.

– „Henderson County” już nie wróci, ale nakręciłam pilota dla kanału Maximum – odparła. – Planują emisję na początku roku.

Nie była to prawda, ale i nie do końca kłamstwo. Kanał Maximum zaakceptował pilota i oznajmił, że zakupił opcję na serial. A potem zatelefonowała do niej Alison. Na dwa dni przed śmiercią.

– Lauro, kochanie, jest pewien problem. Maximum chce zaangażować młodszą aktorkę do roli Emmie.



– Młodsza?! – wykrzyknęła Laura. – Mam trzydzieści osiem lat, Alison. Matka w serialu ma dwunastoletnią córkę. A ja wyglądam dobrze, wiesz o tym.

– Nie krzycz na mnie – odrzekła podniesionym tonem Alison. – Robię, co mogę, by ich przekonać, że nie powinni z ciebie rezygnować. A co do wyglądu, to dzięki botoksowi i liftingom wszyscy w tej branży wyglądają dobrze.

Umówiliśmy się, że razem wybierzemy się na ten zjazd, wspominała Laura. Alison powiedziała mi, że Gordon Amory, który kupił właśnie udziały w Maximum, też tam będzie. Zapewniała, że ma on dostateczne wpływy, by pomóc mi utrzymać pracę, zakładając oczywiście, że zechce zrobić z nich użytek.

Laura wywierała presję na Alison, by zadzwoniła natychmiast do Gordiego, a ten zmusił szefów Maximum do zaproponowania roli właśnie jej.

– Po pierwsze, nie nazywaj go Gordiem – powiedziała w końcu Alison.

– Nie znosi tego. Po drugie, powiem ci bez ogródek. Nadal jesteś piękna, ale aktorka z ciebie nieszczególna. Ludzie z Maximum uważają, że ten serial może być prawdziwym hitem, lecz ciebie w nim nie widzą. Może Gordiemu uda się zmienić ich nastawienie. Oczaruj go. Przecież durzył się w tobie, prawda?

Gordie Amory był jednym z tych chłopaków, którzy podkochiwali się w niej w Stonecroft. Kto by przypuszczał, że zostanie taką grubą rybą? – myślała, wypakowując suknie koktajlowe oraz strój wieczorowy, które przywiozła na zjazd.

Dziś wieczorem włoży ten wspaniały kostium od Chanel. Olśnij ich! – pomyślała Laura z determinacją. Rzuć na kolana! Wyglądaj na osobę odnoszącą sukcesy, jeśli nawet urząd skarbowy zajął ci dom za niespłacone podatki.

Alison powiedziała, że Gordie Amory jest rozwiedziony. W uszach Laury wciąż dźwięczała ostatnia rada przyjaciółki:

– Kochanie, jeśli nawet nie uda ci się namówić go, żeby dał ci rolę w serialu, może zdołasz złapać go na męża. Robi wrażenie. Zapomnij, jaką był ofertą w Stonecroft.

## Rozdział drugi

Czy coś jeszcze mogę dla pani zrobić, doktor Sheridan? – spytał boy hotelowy. – Jest pani taka blada. Jean pokręciła przecząco głową.

– Nic mi nie jest. Dziękuję.

Wreszcie wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Jean bezsilnie opadła na łóżko. Wyjęła z torebki faks, który dostała w recepcji, i jeszcze raz przeczytała zagadkową wiadomość: „Jean, przypuszczam, że do tej pory zyskałaś już pewność, iż znam Lily. Zastanawiam się, czy mam ją pocałować, czy zabić? To tylko żart. Odezwę się”.

Dwadzieścia lat temu Jean zawierzyła sekret swojej ciąży doktorowi Connorsowi, lekarzowi z Cornwall. Zgodził się z nią, choć niechętnie, że wciąganie do sprawy jej rodziców nie ma sensu.

– Oddam dziecko do adopcji bez względu na to, co powiedzą. Mam osiemnaście lat i podjęłam już decyzję. Oni się tylko zdenerwują i będzie jeszcze gorzej – wyjąkała Jean, zalewając się łzami.

Doktor Connors opowiedział jej wtedy o pewnym małżeństwie, które nie może mieć własnego dziecka i planuje adopcję.

– Mogę ci obiecać, że stworzą twojemu maleństwu wspaniały, pełen miłości dom.

Złatwił jej pracę w domu opieki w Chicago, do czasu urodzenia dziecka. Następnie przyleciał do niej, by odebrać poród, po czym wyjechał, zabierając dziecko. We wrześniu Jean rozpoczęła naukę w college’u. Po dziesięciu latach dowiedziała się, że doktor Connors zmarł na atak serca, gdy w jego klinice wybuchł pożar, który strawił dosłownie wszystko. Słyszała też, że spłonęły wszystkie jego akta.

Może jednak ocalały? Może ktoś je znalazł i nie wiedzieć czemu po latach kontaktuje się ze mną? – zadręczała się Jean.

Lily. To właśnie imię nadała córeczce, którą знаła zaledwie cztery godziny. Na trzy tygodnie przed ukończeniem szkoły – Reed miał otrzymać dyplom w West Point, a ona w Stonecroft – Jean zorientowała się, że jest w ciąży. Oboje byli przerażeni, ale postanowili, że pobiorą się natychmiast po rozdaniu świadectw.

– Moi rodzice pokochają cię, Jeannie – twierdził Reed, ona wiedziała jednak, że chłopiec obawia się ich reakcji. Ojciec przestrzegał go, żeby nie angażował się w żaden poważny związek przed ukończeniem dwudziestu pięciu lat. Reed nie zdobył się na to, by powiedzieć im o Jean. Na tydzień przed końcem roku szkolnego zginął na terenie West Point, potrącony przez samochód, którego kierowca zbiegł z miejsca wypadku. Generał Thornton z żoną, zamiast przyglądać się z dumą, jak ich syn odbiera dyplom z piątym wynikiem w klasie, sami odebrali jego dyplom oraz kordzik podczas uroczystości rozdania świadectw.

Nigdy nie dowiedzieli się, że mają wnuczkę.

Nawet jeśli ktoś uratował z pożaru dokumenty adopcyjne, to w jaki sposób udało mu się zbliżyć do Lily tak, by móc jej zabrać szczotkę do włosów, z zaplątanymi w niej długimi złotymi pasmami?

Pierwsza przerażająca przesyłka zawierała szczotkę oraz list z radą: „Zbadaj DNA – to twoje dziecko”. Zaszokowana Jean zaniósła do prywatnego laboratorium pukiel włosków, który przechowywała od narodzin dziecka, próbkę własnego DNA oraz włosy ze szczotki. Wynik potwierdził najgorsze obawy – włosy na szczotce należały do jej obecnie dziewiętnastoletniej córki.

Czy to możliwe, by owa kochająca para, która zaadoptowała Lily, dowiedziała się w jakiś sposób, kim jestem, i jest to wstęp do wyłudzenia ode mnie pieniędzy?

Kiedy jej książka o Abigail Adams stała się bestsellerem, a potem nakręcono na jej podstawie cieszący się dużą popularnością film, Jean zyskała spory rozgłos.

Oby chodziło tylko o pieniądze, modliła się, wstając z łóżka. Pora rozpakować walizkę.

Carter Stewart rzucił torbę podróżną na łóżko. Poza bielizną i skarpetkami znajdowały się w niej dwie marynarki od Armaniego oraz spodnie. Pod wpływem impulsu postanowił pójść na pierwsze przyjęcie w dżinsach i swetrze, które miał na sobie.

W szkolnych czasach był wątłym niechlujnym dzieckiem wątłej niechlujnej matki. Kiedy przypominała sobie, że trzeba zrobić pranie, zazwyczaj okazywało się, że zabrakło proszku, używała więc wybielacza, który niszczył wszystko, co znajdowało się w pralce. Dopóki nie zaczął prać sobie sam, chodził do szkoły dziwacznie ubrany.

Gdyby zanadto się wystroił na pierwsze spotkanie z dawnymi kolegami, mógłby sprowokować złośliwe uwagi na temat swego dawnego wyglądu. A kogo teraz zobaczą, gdy spojrzą na niego? Nie kurdupla, jakim był w szkole średniej, lecz wysportowanego faceta średniego wzrostu. Cóż, pomyślał, skoro się nie przebieram, mogę zejść na dół, by odprawić nudny rytuał „tak się cieszę, że cię widzę”.

Apartament Hudson Valley, w którym odbywał się powitalny koktajl, mieścił się na półpiętrze. Gdy Carter wysiadł z windy, ocenił, że zebrało się już w nim około pięćdziesięciu osób. Przy wejściu stali dwaj kelnerzy, trzymając tace z kieliszkami wypełnionymi winem. Wybrał czerwone i umoczył w nim wargi. Marny merlot. Mógł się tego spodziewać.

Gdy wszedł do środka, poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu.

– Panie Stewart, jestem Jake Perkins i piszę relację ze zjazdu dla „Stonecroft Gazette”. Mogę zadać panu kilka pytań?

Carter Stewart spojrzał z kwaśną miną na przestępującego nerwowo z nogi na nogę rudzielca.

Po chwili namysłu wzruszył ramionami i wyszedł wraz z chłopakiem z sali.

– Zanim zaczniemy, panie Stewart, chciałbym panu powiedzieć, że ogromnie podobają mi się pańskie sztuki. Sam pragnę w przyszłości zostać pisarzem.

O mój Boże, pomyślał Carter.

– Każdy, kto przeprowadza ze mną wywiad, mówi to samo. Większości z was, o ile nie wszystkim, jakoś to nie wychodzi.

Czekał na oznaki gniewu lub zakłopotania, które zwykle następowały po tej uwadze. Tymczasem, ku jego rozczarowaniu, Jake Perkins o dziecinnej twarzy uśmiechnął się radośnie.

– Ale mnie się uda – rzekł z przekonaniem. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, panie Stewart. Zebrałem sporo materiałów o panu oraz o innych uczestnikach zjazdu, którzy zostaną uhonorowani odznakami. Kobiety były prymuskami już w szkole, ale żaden z czterech mężczyzn nie wyróżniał się w Stonecroft niczym szczególnym. Chcę powiedzieć, że jeśli chodzi o pana, to miał pan średnie oceny, nie pisywał pan do szkolnej gazety ani...

Ależ ten chłopak ma tupet, pomyślał Carter.

– Nigdy nie byłem sportowcem – przeciął ostro – a pisałem wyłącznie pamiętnik.

– Czy ten pamiętnik posłużył panu za punkt wyjścia do którejś z pańskich sztuk?

– Być może.

– Wszystkie są dość ponure.

– Nie mam złudzeń co do życia i nie miałem ich już w czasach, kiedy byłem uczniem Stonecroft.

– Czy powiedziałby pan, że lata spędzone w naszej szkole nie były dla pana szczęśliwe?

– Nie były – odparł spokojnie Carter.

– Co wobec tego sprowadziło pana na zjazd?

Stewart uśmiechnął się zimno.

– Możliwość udzielenia ci wywiadu. A teraz przepraszam, ale widzę, że z windy wysiada Laura Wilcox, królowa piękności naszej klasy.

Nie zwrócił uwagi na kartkę, którą Perkins próbował mu wręczyć.

– Gdyby zgodził się pan poświęcić mi jeszcze minutkę, panie Stewart, mam tu listę, która moim zdaniem powinna pana zainteresować.

Jake Perkins odprowadził spojrzeniem szczupłą postać Cartera Stewarta, który ruszył szybkim krokiem, by dogonić olśniewającą blondynkę wchodzącą do apartamentu Hudson Valley. Był niegrzeczny, pomyślał Jake. Włożył dzinsy, adidas i sweter, by okazać pogardę wszystkim, którzy wystroili się na ten wieczór. Nie należy do ludzi, którzy zjawiliby się tutaj tylko po to, by odebrać jakiś marny medal. Co więc naprawdę go sprowadza na ten zjazd?

Jake zebrał już mnóstwo materiałów dotyczących Cartera Stewarta. Jeszcze w college'u zaczął pisać oryginalne sztuki, co zaowocowało podyplomowymi studiami w Yale. To wówczas zrezygnował ze swego imienia Howard – czy Howie, jak nazywano go w Stonecroft. Przed trzydziestką wystawił na Broadwayu swoją pierwszą sztukę. Miał opinię samotnika, który podczas pracy nad nowym dramatem zaszywał się w jednym ze swoich czterech domów. Zamknięty w sobie, niesympatyczny, perfekcjonista, geniusz – takimi słowami opisywali go w artykułach. Mógłbym dołożyć kilka epitetów, pomyślał Jake Perkins ponuro. I dołożę.

Podróż z Bostonu do Cornwall zajęła Markowi Fleischmanowi więcej czasu, niż się spodziewał. Sądził, że zdąży pospacerować po miasteczku, zanim spotka się z dawnymi kolegami z klasy. Chciał mieć chwilę dla siebie, chciał porównać tamtego dorastającego chłopca z mężczyzną, którym teraz był.

Wlokąc się zatłoczoną autostradą, myślał wciąż o tym, co powiedział mu rano ojciec jednego z pacjentów:

– Doktorze, wie pan równie dobrze jak ja, że dzieci są okrutne. Były okrutne za moich czasów, i nic się w tej kwestii nie zmieniło. Są niczym stado lwów tropiących ranną ofiarę. Tak właśnie zachowują się wobec mojego syna. Tak zachowywały się wobec mnie, kiedy byłem w jego wieku.

I wie pan co, doktorze? Odniosłem w życiu sporo sukcesów, ale kiedy wybieram się na okolicznościowy zjazd koleżeński, w ciągu dziesięciu sekund przestaję być prezesem zarządu renomowanej firmy. Czuję się z powrotem niezdarnym oferumą, z którego wszyscy się wyśmiewają. Idiotyczne, prawda?

Mark, psychiatra specjalizujący się w problemach okresu dojrzewania, prowadził popularny program telewizyjny z udziałem widzów. „Wysoki, szczupły, wesoły, zabawny i mądry doktor Mark Fleischman w rzeczowy sposób pomaga rozwiązywać problemy bolesnego rytuału inicjacyjnego, zwanego dojrzewaniem” – tak napisał o nim jeden z krytyków.

Była za piętnaście piąta, kiedy Mark zameldował się w hotelu i udał się do swojego pokoju. Przez kilka minut stał przy oknie, przytłoczony myślą o tym, co musi zrobić podczas tego weekendu. Ale potem zostawię to za sobą, mówił sobie. Zacznę od nowa. I dopiero wtedy stanę się naprawdę wesoły i zabawny – a może nawet mądry.

Poczuł łzy pod powiekami i odwrócił się nagle od okna.

Gordon Amory zjeżdżał windą, z identyfikatorem w kieszeni. Przypnie go, kiedy już będzie na przyjęciu. Świetnie się bawił, nierozpoznany przez dawnych kolegów.

Dzięki kosztownej operacji plastycznej w niczym nie przypominał chłopaka o twarzy łasicy ze szkolnego zdjęcia. Jego nos był teraz prosty, oczy o opadających niegdyś powiekach duże, a broda kształtna. Implanty oraz zabiegi najlepszego fryzjera przekształciły jego rzadkie brązowe włosy w gęstą kasztanową grzywę. Stał się przystojnym mężczyzną. Jediną widoczną pozostałością po dawnym udręczonym dziecku był nawyk obgryzania paznokci, nad którym nie potrafił zapanować.

Drzwi windy otworzyły się na półpiętrze i Gordon Amory wyjął swój identyfikator i przypiął go. Gordie, którego znali, nie istnieje, powiedział sobie, ruszając w stronę sali Hudson Valley.

Poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu i odwrócił się. Obok niego stał rudowłosy chłopak o dziecinniej twarzy. W dłoni trzymał notes.

– Panie Amory, jestem Jake Perkins, dziennikarz ze „Stonecroft Gazette”. Czy mógłby mi pan poświęcić minutkę?

– Jasne – odparł Gordon, zdobywając się na ciepły uśmiech.

– Na początek chciałbym zauważyć, że ogromnie się pan zmienił przez te dwadzieścia lat, które minęły od chwili, kiedy zrobiono to zdjęcie. – Chłopak wskazał na identyfikator.

– Chyba tak.

– Jest pan już właścicielem większości udziałów czterech telewizyjnych stacji kablowych. Dlaczego nabył pan również udziały w kanale Maximum?

– Maximum ma opinię kanału nastawionego na programy rodzinne. Dociera do tej części widzów, których brakowało mi w naszym zasięgu.

– Sporo się mówi o nowym serialu. Plotka głosi, że jego gwiazdą może zostać pańska koleżanka z klasy, Laura Wilcox. Czy to prawda?

– Nie było jeszcze castingu. A teraz wybaczyć, muszę już iść.

– Jeszcze jedno pytanie, bardzo proszę. Czy mógłby pan rzucić okiem na tę listę? Poznaje pan te nazwiska?

Amory niecierpliwym ruchem wziął od Perkinsa kartkę.

– To chyba moje dawne koleżanki z klasy.

– Tak, to pięć kobiet z pańskiej dawnej klasy, które zmarły lub zniknęły w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

– Nie wiedziałem.

– Byłem zdziwiony, kiedy zacząłem zbierać materiały – zauważył Perkins. – Zaczęło się od Catherine Kane, dziewiętnaście lat temu. Jej samochód wpadł w poślizg i stoczył się do Potomacu. Była wówczas studentką pierwszego roku na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Cindy Lang pojechała na narty do Snowbird i słuch po niej zaginął. Gloria Martin podobno popełniła samobójstwo. Debra Parker zginęła w katastrofie samolotu, który sama pilotowała. W ubiegłym miesiącu Alison Kendall utonęła we własnym basenie. Czy nie zgodziłby się pan z określeniem, że to pechowa klasa?

– Wolałbym jednak określenie „klasa dotknięta tragediami”. A teraz przepraszam.

Robby Brent zameldował się w hotelu w czwartek. Skończył mu się właśnie sześciodniowy kontrakt w kasynie Trampa w Atlantic City, gdzie jego słynne monologi komiczne zgromadziły jak zwykle liczną widownię. Nie miało sensu lecieć do domu, do Las Vegas, tylko po to, by zaraz wracać. Postanowił zostać.

To była dobra decyzja, pomyślał, ubierając się na koktajl. Wyjął z szafy granatową marynarkę. Wkładając ją, spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Porównywano go do Dona Ricklesa, nie tylko z powodu wartkich monologów, ale także z powodu wyglądu. Okrągła twarz, błyszcząca łysina, krępa figura – potrafił zrozumieć to porównanie. Jego wygląd nie przeszkadzał jednak kobietom, które na niego leciały. Po Stonecroft, przyznał w myśli, z pewnością po Stonecroft.

Zostało mu jeszcze kilka minut do zejścia na dół. Podszedł do okna i wyrztał przez nie, wspominając wczorajszy spacer po mieście. Wypatrywał domów kolegów, którzy podobnie jak on byli honorowymi gośćmi zjazdu.

Minął posiadłość Jeannie Sheridan. Pamiętał, jak sąsiedzi kilka razy wzywali policję, ponieważ jej rodzice szamotali się na podjeździe. Słyszał, że rozwiedli się wiele lat temu. Na szczęście.

Dom Laury Wilcox sąsiadował z posesją Jeannie. Potem jej ojciec odziedziczył jakieś pieniądze i kiedy byli w drugiej klasie, rodzina Wilcoksów przeprowadziła się do dużej willi przy Concord Avenue. Wiele razy spacerował pod starym adresem Laury, w nadziei że dziewczyna wyjdzie z domu i będzie mógł z nią porozmawiać.

Tamten dom po Wilcoksach kupili Sommersowie. Gdy ich córka została w nim zamordowana, sprzedali go. Chyba żaden człowiek nie chciałby pozostać w miejscu, gdzie zasztyletowano jego dziecko. Zdarzyło się to w Dniu Kolumba, przypomniał sobie.

Na łóżku leżało zaproszenie na zjazd. Rzucił na nie okiem. Do przesyłki dołączono listę odznaczonych oraz ich życiorysy. Carter Stewart. Ciekawe, po jakim czasie od ukończenia Stonecroft zdołał uwolnić się od imienia Howie? Ojciec Howiego był despotą, który go ciągle tłukł. Nic dziwnego, że sztuki Stewarta są takie ponure. Może i odniósł sukces, pomyślał Robby, ale w głębi

duszy musiał pozostać tym samym nędznym podglądaczem, który zakradał się pod cudze okna. Był tak nieprzytomnie zadurzony w Laurze, że w żaden sposób nie potrafił tego ukryć.

Podobnie zresztą jak ja, przyznał Robby, uśmiechając się szyderczo do zdjęcia Gordiego Amory'ego, znakomitego produktu operacji plastycznych. Pan z Okładki we własnej osobie. Wczoraj podczas spaceru zauważył, że dom Gordiego uległ gruntownej przemianie. W dawnych czasach pomalowany na dziwny odcień błękitu, dziś był dwa razy większy i nieskazitelnie biały. Jak nowe zęby Gordiego.

Pierwszy dom Gordiego spłonął, kiedy byli w trzeciej klasie. Po mieście krążył ponury żart, że był to jedyny sposób, by go oczyścić, bowiem matka Gordiego sprawiła, że wyglądał jak chlew. Wiele osób podejrzewało Gordiego o to, że celowo podłożył ogień. Wcale by mnie to nie zdziwiło, pomyślał Robby. Zawsze był dziwny. Robby zanotował w pamięci, żeby zwracać się do niego „Gordon”, kiedy spotkają się na koktajlu.

Mark Fleischman, kolejny z odznaczonych, również podkochiwał się w Laurze. W szkole Mark był potulny jak baranek, ale sprawiał wrażenie kogoś, w kim coś się kotłuje. Zawsze pozostawał w cieniu swego brata Dennisa, wybitnie zdolnego ucznia Stonecroft. Dennis zginął pod kołami samochodu latem tego samego roku, w którym Mark zaczynał naukę w pierwszej klasie. Bracia różnili się między sobą jak dzień i noc. Tajemnicą poliszynela było, że skoro już Bóg musiał zabrać jednego z synów, rodzice Marka woleliby, żeby wybrał jego, a nie Dennisa. W Marku nagromadziło się tyle żalu, że aż dziw, iż nie eksplodował.

Pora zejść na dół. Nie lubiłem albo wręcz nienawidziłem prawie wszystkich moich kolegów, myślał Robby, otwierając drzwi pokoju. Dlaczego więc przyjąłem zaproszenie i przyjechałem na zjazd? Miał oczywiście powód, lecz odsunął tę myśl od siebie. Nie pójdę tam, pomyślał. Przynajmniej na razie.



## Rozdział trzeci

Gdy wszyscy zjawili się już na koktajlu, Jack Emerson, przewodniczący komitetu organizacyjnego, poprosił odznaczonych, by zebrali się w pomieszczeniu na końcu apartamentu Hudson Valley.

Emerson, mężczyzna o rumianej twarzy i wyglądzie pijaka, jako jedyny pozostał w Cornwall i to właśnie on zajmował się bezpośrednio organizacją zjazdu.

– Kiedy będziemy przedstawiali indywidualnie absolwentów naszej klasy, chciałbym was zachować na koniec – wyjaśnił.

Jean podeszła do grupy, w chwili gdy Gordon Amory mówił:

– Rozumiem, Jack, że tobie zawdzięczamy nasze odznaczenia.

– To był mój pomysł – przyznał szczerze Emerson. – Wszyscy na nie zasługujecie. Ty, Gordie, to znaczy Gordon, jesteś znakomitością w telewizji kablowej. Mark jest psychiatrą i specjalistą w dziedzinie zachowań wieku dojrzewania. Robby to świetny komik i parodysta. Howie, chciałem powiedzieć Carter Stewart – wybitny dramaturg. Jean Sheridan – o, jesteś już Jean, miło cię widzieć – wyklada historię w Georgetown oraz jest autorką bestsellerów. Laura Wilcox była gwiazdą nadawanego przez wiele lat serialu komediowego. A Alison Kendall została szefową jednej z największych agencji aktorskich. Byłaby, jak wiecie, siódmym gościem honorowym.

Pechowa klasa, pomyślała Jean, czując ukłucie bólu. Tak określił to ten szkolny dziennikarz, Jake Perkins, kiedy przeprowadzał z nią wywiad. To, co jej powiedział, było wstrząsające. Po ukończeniu szkoły straciła kontakt ze wszystkimi, oprócz Alison i Laury. Tamtego roku, kiedy zginęła Catherine, była w Chicago. Wiedziała o katastrofie samolotu Debby Parker, ale nie słyszała o Cindy Lang i Glorii Martin. A w zeszłym miesiącu Alison... Dobry Boże, wszystkie jadałyśmy lunch przy tym samym stoliku, pomyślała wstrząśnięta.

A teraz zostałyśmy tylko my dwie, ja i Laura. Cóż za fatum ciąży nad nami?

Laura zadzwoniła do niej, by powiedzieć, że spotkają się dopiero na przyjęciu.

– Jeannie, wiem, że miałyśmy zobaczyć się wcześniej, ale nie jestem jeszcze gotowa. Muszę mieć efektowne wejście – wyjaśniła. – Moim zadaniem na ten weekend jest oczarowanie Gordiego Amory'ego, żeby dał mi główną rolę w swoim nowym serialu.

Zamiast rozczarowania, Jean poczuła ulgę. Dzięki tej zmianie planów, mogła zadzwonić do Alice Sommers, która w dawnych latach była jej sąsiadką. Sommersowie sprowadzili się do Cornwall dwa lata przed tragiczną śmiercią ich córki, Karen. Jean nigdy nie zapomniała, jak pewnego razu pani Sommers odebrała ją ze szkoły.

– Jean – zaproponowała – może wybierzesz się ze mną na zakupy? Chyba nie powinnaś teraz wracać do domu.

Tamtego dnia oszczędziła jej wstydu na widok radiowozu policyjnego przed domem oraz rodziców w kajdankach. Jean nie знаła zbyt dobrze Karen Sommers. Dziewczyna studiowała w Columbia Medical School na Manhattanie i rzadko przyjeżdżała do Cornwall.

Jean zawsze utrzymywała kontakty z Sommersami. Kiedy przyjeżdżali do Waszyngtonu, często zapraszali ją na kolację. Michael zmarł przed laty, lecz gdy Alice dowiedziała się o zjeździe, zadzwoniła do Jean i zaprosiła ją na sobotnie śniadanie, przed planowanym zwiedzaniem West Point.

Po rozmowie z Alice, Jean zdecydowała, że nazajutrz powie jej o Lily, o faksach i o przesyłce ze szczotką do włosów. Ktokolwiek dowiedział się o dziecku, musiał widzieć kartotekę doktora Connorsa, pomyślała. Jest to bez wątpienia ktoś, kto przebywał w tamtych czasach w miasteczku. Alice może jej pomóc w znalezieniu odpowiedniego człowieka w policji, z którym mogłaby porozmawiać. Zawsze mówiła, że nadal usiłują znaleźć mordercę Karen.

– Jean, jakże się cieszę, że cię widzę. – Mark Fleischman, który rozmawiał z Robbym Brentem, podszedł do niej. – Ślicznie wyglądasz, ale jesteś chyba zdenerwowana. Dopadł cię ten smarkaty dziennikarz?

Skinęła twierdząco głową.

– Owszem. Mark, przeżyłam szok. Nie miałam pojęcia, że tyle moich koleżanek nie żyje, poza Debby, no i oczywiście Alison.

– Ja także o tym nie wiedziałem – oznajmił Mark.

– O co pytał cię Perkins?

– Przede wszystkim chciał wiedzieć, czy mnie, jako psychiatrze, aż tyle przypadków śmierci w tak małej grupie nie wydaje się co najmniej dziwne. Przyznałem, że faktycznie ta liczba nie mieści się w dopuszczalnych granicach.

– Mnie powiedział, że nad niektórymi rodzinami, klasami czy drużynami ciąży fatum. Mark, według mnie to nie jest to żadne fatum, lecz jakaś upiorna sprawa.

Jack Emerson usłyszał jej słowa i z jego twarzy zniknął uśmiech, ustępując miejsca irytacji.

– Prosiłem już Perkinsa, żeby przestał pokazywać wszystkim tę listę zaznaczył.

Carter Stewart dołączył do grona kolegów.

– Mogę cię zapewnić, że cię nie posłuchał i nadal ją pokazuje – rzekł. Za nim pojawiła się Laura, która podbiegła do Jean, by ją uściskać, po czym przechodząc od mężczyzny do mężczyzny, uśmiechała się do każdego i całowała wszystkich w policzek.

– Mark Fleischman, Gordon Amory, Robby Brent, Jack Emerson. No i oczywiście Carter, którego znałam jako Howiego. Wszyscy wyglądacie wspaniale.

Laura wciąż jest szalową laską, pomyślał Mark. Można by jej dać najwyżej trzydziestkę.

Laura odwróciła się i pocałowała go po raz drugi.

– Mark, dałabym głowę, że byłeś zazdrosny, kiedy umawiałam się z Barrym Diamondem. Mam rację?

– Masz, Lauro. Ale to było dawno temu.

– Wiem, ale ja wciąż o tym pamiętam – odparła, uśmiechając się promiennie.

Mark patrzył, jak odwraca się do kolejnej znajomej twarzy.

– Ja też to pamiętam, Lauro – powiedział cicho. – Nie zapomniałem nawet na minutę.

Rozbawiło go, gdy zauważył, że na koktajlu Laura jest jak zwykle w centrum uwagi. Wciąż wygląda cholernie dobrze, choć wokół jej oczu i ust pojawiły się już delikatne zmarszczki. Gdyby miała przeżyć jeszcze dziesięć lat, nawet operacja plastyczna niewiele by jej pomogła.

Nie przeżyje jednak dziesięciu lat.

Czasami, nawet na kilka miesięcy, Sowa wycofywała się do sekretnej kryjówki, gdzieś głęboko w zakamarkach jego ja. Udawało mu się wówczas uwierzyć, że wszystko, co zrobiła, było tylko koszmarnym snem. Kiedy indziej jednak, tak jak w tej chwili, czuł, że Sowa żyje w nim. Widział jej ciemne oczy okolone żółtymi kręgami, czuł dotyk aksamitnych piór, który przyprawiał go o dreszcz. Słyszał już świst powietrza, gdy spadała na swoją ofiarę.

To Laura sprawiła, że Sowa znów poderwała się do lotu, pytając natarczywie, dlaczego tak długo zwlekał. On jednak bał się udzielić odpowiedzi. Czy dlatego, że z chwilą, gdy rozprawi się z ostatnimi, czyli z Laurą i Jean, skończy się władza Sowy nad życiem i śmiercią? Laura powinna była umrzeć dwadzieścia lat temu. Ale tamten błąd sprawił, że poczuł się wyzwolony.

Przypadek przeobraził go z jękającego się mazgaja – „Ja je-je-jestem s-s-s-s-sową i m-m-m-mie-mieszkam n-n-naaa...” – w Sowę, potężnego, bezlitosnego drapieznika.

Ktoś przyglądał się jego identyfikatorowi, łysiejący facet w okularach, ubrany w drogi ciemnoszary garnitur. Mężczyzna uśmiechnął się i wyciągnął do niego rękę.

– Joel Nieman.

Joel Nieman. Grał Romea w przedstawieniu w ostatniej klasie. To o nim Alison napisała w swojej rubryce: „Ku ogólnemu zaskoczeniu Joelowi Niemanowi w roli Romea udało się zapamiętać

tekst”.

– Zrezygnowałeś z aktorstwa? – spytał Sowa, również się uśmiechając. Nieman spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Masz dobrą pamięć, Gordon. Uznałem, że teatr obejdzie się beze mnie – odparł.

– Pamiętam recenzję, którą napisała o tobie Alison. Nieman się roześmiał.

– Ja również pamiętam. Właściwie to wyświadczyła mi przysługę. Zostałem księgowym i dobrze na tym wyszedłem. Straszna szkoda, że nie żyje, prawda?

– Tak, straszna – przyznał Sowa.

– Czytałem gdzieś, że początkowo policja brała pod uwagę zabójstwo, lecz obecnie uważa, że Alison musiała stracić przytomność, uderzając głową o wodę.

– W takim razie, moim zdaniem, w policji pracują sami idioci. Joel spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Sądzisz, że Alison została zamordowana?

Sowa zdał sobie nagle sprawę, że zareagował zbyt gwałtownie.

– Z tego, co czytałem, miała całe mnóstwo wrogów – odrzekł ostrożnie. Ale może policja ma rację.

– Romeo, mój Romeo – rozległ się kobiecy głos.

Marcy Rogers, która w szkolnym przedstawieniu grała Julię, poklepała Niemana po ramieniu. Obejrzał się.

– Nie wierzę własnym oczom! To Julia! – wykrzyknął, uśmiechając się promiennie.

Marcy spojrzała przelotnie na Sowę.

– O, cześć. – Odwróciła się z powrotem do Niemana. – Chodź, poznasz mojego życiowego Romea. Jest tam, przy barze.

Lekceważenie. Zupełnie tak samo, jak kiedyś w Stonecroft. Po prostu nie interesował Marcy.

Rozejrzał się po sali. Jean Sheridan i Laura Wilcox stały obok siebie przy bufecie. Przyjrzał się profilowi Jean. W przeciwieństwie do Laury, należała do kobiet, które z upływem czasu wyglądają coraz lepiej.

Podszedł do bufetu i wziął talerz. Zaczynał rozumieć swoje wątpliwości w stosunku do Jean. W szkolnych latach w Stonecroft kilkakrotnie, tak jak wtedy, gdy nie dostał się do drużyny

baseballowej, zadała sobie wiele trudu, by okazać mu życzliwość. Prawdę mówiąc, w ostatniej klasie zastanawiał się, czy nie umówić się z nią na randkę.

Ale teraz było już za późno na zmianę planu. Parę godzin temu, kiedy zobaczył Jean wchodzącą do hotelu, postanowił, że ją również zabije. Wiedział już, dlaczego podjął tę nieodwołalną decyzję. Tak, Jeannie potraktowała go kilka razy życzliwie, lecz w głębi duszy była taka sama jak Laura. Kpiła z nieszczęsnego głupka, który wciąż płakał, moczył się i jękał.

Nałożył sobie sałatki. Tak czy owak, panna Jeannie „Słodka-Jak-Miód” romansowała z kadetem z West Point – wiedział o niej wszystko.

Poczuł przyływ wściekłości, znak, że wkrótce będzie musiał uwolnić drapieżnika.

Wybrał gotowanego łososia z zielonym groszkiem i rozejrzał się dookoła. Laura i Jean zajęły właśnie miejsca przy stole dla odznaczonych. Jean zauważyła, że na nią patrzy i pomachała do niego. Lily jest do ciebie podobna jak dwie krople wody. Ta myśl wzmogła jego pragnienie.

O drugiej w nocy Jean uświadomiła sobie, że nie zdoła zasnąć i otworzyła książkę. Czowała mrowienie w napiętych mięśniach, niewątpliwy skutek wysiłku, jaki włożyła w to, by przez cały wieczór robić jak najlepsze wrażenie. Pomimo dręczącej obawy, że Lily może znajdować się w niebezpieczeństwie.

Po głowie krążyły jej wciąż te same myśli. W ciągu wszystkich tych lat nie wspomniała o Lily absolutnie nikomu. Adopcja została przeprowadzona w tajemnicy. Doktor Connors nie żyje, a jego dokumenty spłonęły. Kto mógł się o tym dowiedzieć?

Okno wychodzące na tyły hotelu było otwarte i Jean poczuła chłód. Wstała z łóżka i przebiegła na palcach przez pokój. Gdy drząc z zimna zamykała uchylne skrzydło okna, jej wzrok powędrował przypadkiem w dół. Na parking wjeżdżał samochód ze zgaszonymi światłami. Zaciekawiona patrzyła, jak wysiada z niego jakiś mężczyzna i spieszenie rusza w stronę tylnego wejścia do hotelu.

Kołnierz płaszcza miał co prawda podniesiony, ale gdy drzwi do holu się otworzyły, zobaczyła przez moment jego twarz. Ciekawe, pomyślała Jean, co też jeden z moich wybitnych współbiedniaków miał do roboty o tej porze nocy.

O trzeciej nad ranem policja w Goshen otrzymała zgłoszenie o zaginięciu Helen Whelan z Surrey Meadows. Samotna kobieta, tuż po czterdziestce, wyszła, jak zwykle, około północy na spacer ze swoim owczarkiem niemieckim, Brutusem. Nad ranem pewne małżeństwo, mieszkające kilka przecznic dalej, na obrzeżach parku, usłyszało głośne wycie psa. Wyszliby sprawdzić, co się dzieje i znaleźli owczarka, usiłującego się podnieść. Pies był okrutnie skatowany. W pobliżu, na ulicy, leżał damski but, siódemka.

Sama Deegana wezwano o czwartej nad ranem i przydzielono do zespołu detektywów,

prowadzących śledztwo w sprawie zaginięcia kobiety. Rozpoczął je od rozmowy z doktorem Siegelem, weterynarzem, który opatrywał ranne zwierzę.

– Przypuszczam, że pies był przez parę godzin nieprzytomny, ogłuszony ciosami w głowę – powiedział Siegel Deeganowi. – Rany zadano przedmiotem zbliżonym wielkością i ciężarem do łyżki do opon.

Helen Whelan była lubianą nauczycielką wychowania fizycznego w liceum w Surrey Meadows. Wszyscy wiedzieli, że zwykle wyprowadza psa na spacer późnym wieczorem.

– Zawsze nam mówiła, że Brutus raczej da się zabić, niż pozwoli, by ktokolwiek zrobił jej krzywdę – ze smutkiem powiedział Deeganowi dyrektor szkoły.

– Miała rację – rzekł Sam. – Weterynarz był zmuszony uspić psa.

O dziesiątej Sam wiedział już, że sprawa nie będzie należała do łatwych. Zdaniem zrozpaczonej siostry Helen nie miała wrogów. Od kilku lat spotykała się z nauczycielem z tej samej szkoły, ale w tym semestrze przebywał on na stypendium naukowym w Hiszpanii. Na podstawie zdjęcia Sam stwierdził, że ofiara była bardzo atrakcyjną kobietą. Może któryś z sąsiadów zakochał się w niej i dostał kosza.

Zaginęła czy nie żyje? Sam Deegan był pewien, że ktoś, kto tak okrutnie skatował psa, nie okazał litości kobiecie. Miał tylko nadzieję, że nie była to jedna z owych przypadkowych zbrodni, kiedy morderca atakuje nieznaną sobie ofiarę. Tego rodzaju przestępstwa zazwyczaj pozostają nierozwiązane.

Laurę korciłoby się wyspać i zachować energię na czekający ją lunch w West Point, gdy się jednak obudziła w sobotę rano, zmieniła zdanie. Podczas kolacji jej plan uwiedzenia Gordiego Amory'ego, szychy telewizji kablowej, nie do końca się powiódł. Odznaczeni siedzieli razem, przyłączył się do nich Jack Emerson. Początkowo Gordie był milczący, w końcu jednak powiedział jej komplement.

– Chyba każdy chłopak w naszej klasie durzył się kiedyś w tobie, Lauro – oznajmił.

– Dlaczego używasz czasu przeszłego? – zażartowała. Jego odpowiedź była obiecująca.

– Rzeczywiście, dlaczego?

Nieoczekiwanie wieczór przyniósł miłą niespodziankę. Robby Brent oświadczył dawnym kolegom, że złożono mu propozycję nakręcenia serialu komediowego dla HBO.

Potem spojrzał na Laurę i zagadnął:

– Lauro, powinnaś zgłosić się na casting. Widziałbym cię w roli mojej żony. Byłabyś świetna.

Nie miała pewności, czy Robby, zawodowy komik, po prostu nie żartuje. Z drugiej strony jednak, jeśli nie żartował, a ona nie zdoła usidlić Gordiego, trafia jej się chyba jeszcze jedna szansa zdobycia złotego pierścienia – być może ostatnia.

Ostatnia szansa. Ta myśl wywołała w niej dziwnie niepokojące uczucie. Przez całą noc dręczyły ją złowróżbne sny. Śnił jej się Jake Perkins, ten smarkaty dziennikarz – wręczył jej listę dziewcząt, które zwykle siadywały przy jednym stoliku podczas lunchu i które straciły życie po ukończeniu szkoły. Catherine, Debra, Cindy, Gloria i Alison. Jake wykreślał z li sty jedno po drugim ich nazwiska, aż wreszcie zostały na niej tylko dwa – Jeannie i jej.

Przestań! – skarciła samą siebie Laura. Nie myśl o złym fatum ani o klątwie. Masz dwa dni – dziś i jutro – na zdobycie złotego pierścienia. Jedno słowo z wymodelowanych na nowo ust Gordiego Amory’ego może dać jej rolę w serialu dla kanału Maximum. Nagle okazało się, że Robby Brent również mógłby się przydać. Jeśli na przykład jego propozycja nie była kolejnym żartem.

Spojrzała na zegarek. Pora wstawać. Na wizytę w West Point włoży niebieski zamszowy kostium od Armaniego i szal od Gucciego – idealny strój na chłodną pogodę, jaką zapowiadano.

Nie bardzo lubię przebywać na dworze, pomyślała Laura, ale skoro wszyscy wybierają się na mecz, ja też nie mogę go opuścić.

Gordon, nie Gordie, powtarzała sobie cały czas w myśli, wiążąc szal. Carter, nie Howie. Jak to dobrze, że przynajmniej Robby nadal pozostał Robbym, Mark Markiem, a Jackowi Emersonowi nie przyszło do głowy, żeby zostać Jacques’em.

Kiedy zeszła na dół do jadalni, ku swemu rozczarowaniu zastała tam jedynie Marka Fleischmana i Jean.

– Piję kawę – wyjaśniła Jean. – Na śniadanie umówiłam się z przyjaciółką. Spotkamy się na lunchu.

– Wybierasz się na paradę i mecz? – spytała Laura.

–Tak.

– Ja nie bywałam raczej w West Point – zauważyła Laura – za to ty, Jeannie, bardzo często. Zdaje się, że jeden z kadetów, twój znajomy, rozbił się na motorze przed samym rozdaniem świadectw, prawda? Jak on się nazywał?

Mark upił łyk kawy, patrząc, jak oczy Jean nagle pochmurnieją. Zawahała się, on zaś zacisnął wargi. Już miał odpowiedzieć za nią, lecz Jean go uprzedziła:

– Carroll Reed Thornton junior.

Tydzień poprzedzający rocznicę śmierci córki, był dla Alice Sommers najgorszym tygodniem

w roku. Tym razem przeżywała go szczególnie ciężko. Dwadzieścia lat, pomyślała. Karen miałyby teraz czterdzieści dwa lata. Byłaby pewnie lekarzem, mężatką z dwójką dzieci.

Od wielu dni nie mogła odgonić od siebie tej myśli. Ale gdy obudziła się w sobotę rano, ból złagodziała nieco perspektywa spotkania z Jeannie Sheridan.

Punktualnie o dziesiątej rozległ się dzwonek u drzwi. Alice otworzyła i serdecznie przytuliła Jean.

– Wiesz, że minęło już osiem miesięcy, odkąd widziałyśmy się po raz ostatni? – zauważyła. – Jeannie, tak bardzo się za tobą stęskniłam.

– Ja za tobą też. – Jean obrzuciła starszą kobietę spojrzeniem pełnym głębokiego uczucia. Alice Sommers wciąż była ładna. Mimo srebrnych włosów i smutku, który zawsze czaił się w jej niebieskich oczach. Serdeczny uśmiech dodawał jej uroku.

Obejmując się, przeszły z holu do salonu.

– Właśnie sobie uświadomiłam, Jeannie, że nigdy tutaj nie byłaś. Zawsze spotykałyśmy się w Nowym Jorku albo w Waszyngtonie. Pozwól, że ci pokażę dom. Zacznę od mojego bajecznego widoku na Hudson. Nie wiem, dlaczego tak długo zostaliśmy w tamtym miejscu – powiedziała Alice, gdy przemierzały kolejne pokoje. – Tutaj jestem znacznie spokojniejsza. Michaelowi wydawało się, że jeśli się przeprowadzimy, w pewnym sensie opuścimy Karen. Nigdy nie doszedł do siebie po jej utracie.

Jean stanął przed oczyma ładny dom w stylu Tudorów, który tak bardzo podziwiała, kiedy mieszkała po sąsiedzku jako dziewczynka. Bywałam tam często, kiedy mieszkała w nim Laura, pomyślała, a potem Alice i pan Sommers byli dla mnie zawsze tacy mili.

– Czy dom kupił ktoś, kogo mogę znać?

– Nie sędzę. Ludzie, którzy go od nas kupili, sprzedali go w ubiegłym roku. Z tego, co słyszałam, nowy właściciel przeprowadził remont i zamierza wynajmować dom z pełnym umeblowaniem. Wiele osób podejrzewa, że to Jack Emerson, który stał się wielkim przedsiębiorcą, jest prawdziwym nabywcą. Krąży plotka, że Jack kupuje wiele posesji w mieście. Trzeba przyznać, że od czasów, gdy zamiatał biura, przebył długą drogę.

– Jest przewodniczącym komitetu organizacyjnego zjazdu — oznajmiła Jean.

– I jego siłą napędową. Nigdy dotąd nie robiono tyle szumu w związku z dwudziestą rocznicą ukończenia Stonecroft. – Alice wzruszyła ramionami.

– Ale przynajmniej dzięki temu przyjechałaś tutaj. Mam nadzieję, że jesteś głodna. Na śniadanie przygotowałam gofry z truskawkami.

Przy drugiej filiżance kawy Jean wyjęła faksy oraz kopertę ze szczotką. Pokazała je Alice i opowiedziała jej o Lily.



– Doktor Connors znał małżeństwo, które pragnęło mieć dziecko. To byli jego pacjenci, co oznacza, że musieli mieszkać w tej okolicy. Alice, nie wiem, czy iść na policję, czy wynająć prywatnego detektywa. Nie mam pojęcia, co robić.

Alice sięgnęła ponad stołem i ujęła rękę Jean.

– Chcesz powiedzieć, że urodziłaś dziecko w wieku osiemnastu lat i nigdy nikomu się z tego nie zwierzyłaś? – spytała.

– Absolutnie nikomu – odparła Jean. – Słyszałam, że doktor Connors pomaga ludziom adoptować małe dzieci. Chciał, żebym przyznała się do ciąży rodzicom, ale znałaś ich. A ja byłam pełnoletnia. Doktor powiedział, że jedna z jego pacjentek nie może mieć dzieci. Zdecydowali się z mężem na adopcję i zdaniem Connorsa byli wspaniałymi ludźmi. Gdy dowiedzieli się o dziecku, zareagowali entuzjastycznie. Doktor załatwił mi pracę w domu opieki w Chicago. Wszystkich poinformowałam, że chcę przepracować rok przed rozpoczęciem studiów w Bryn Mawr.

– Pamiętam, jacy byliśmy dumni, kiedy dowiedzieliśmy się o twoim stypendium.

– Wyjechałam do Chicago natychmiast po rozdaniu świadectw w Stonecroft. Chciałam uciec. I nie chodziło wyłącznie o dziecko. Musiałam przeżyć swój smutek w samotności. Reed był wspaniały. Chyba dlatego nigdy nie wyszłam za mąż. – Oczy Jean wypełniły się łzami. – Nigdy do nikogo nie czułam tego co do niego. – Pokręciła głową i wzięła do ręki faks. – „Zastanawiam się, czy ją pocałować, czy zabić? To tylko żart”. Myślę, że powinnam pójść z tym na policję. Ale nasuwa się logiczny wniosek, że ktoś, kto adoptował Lily, mieszkał w tej okolicy. Owa kobieta była pacjentką doktora Connorsa. Dlatego uważam, że jeśli już mam iść na policję, powinnam zrobić to tutaj. Co ty o tym sądzisz, Alice?

– Sadzę, że masz rację i znam człowieka, do którego powinnaś się zwrócić – odparła Alice stanowczo. – Nazywa się Sam Deegan i jest śledczym w biurze prokuratora okręgowego. Przyjechał do nas tamtego ranka, kiedy znaleźliśmy Karen. Od tego czasu bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Znajdzie sposób, by ci pomóc.

## Rozdział czwarty

Odjazd autobusu do West Point zaplanowano na dziesiątą. O dziewiątej piętnaście Jack Emerson wyszedł z hotelu, by wpaść na chwilę do domu po krawat, którego zapomniał spakować. Rita, jego żona, siedziała przy stole, czytając gazetę. Byli małżeństwem od piętnastu lat. Kiedy wszedł, zmierzyła go obojętnym spojrzeniem.

– Jak tam przebiega wielki zjazd? – Każde jej słowo było zaprawione ironią.

– Powiedziałbym, że bardzo dobrze, Rito – rzekł przyjaźnie.

– Twój pokój w hotelu jest wygodny?

– Tak jak inne pokoje w Glen-Ridge. Może wybierzesz się tam ze mną i przekonasz się sama?

– Chyba sobie daruję. – Jej spojrzenie powędrowało z powrotem na łamy gazety.

Przez chwilę stał, przyglądając się jej. Miała trzydzieści siedem lat, ale nie należała do kobiet, które z wiekiem zyskują na atrakcyjności. Kąciki jej wąskich warg opadły ponuro. Kiedy miała dwadzieścia lat i włosy do ramion, była naprawdę ładna. Teraz, z włosami mocno ściągniętymi do tyłu w kok, skóra jej twarzy wydawała się napięta. Prawdę mówiąc, wszystko w niej wydawało się ściągnięte i gniewne. Jack zdał sobie sprawę, jak bardzo jej nie znosi.

Doprowadzało go do furii, że musi tłumaczyć swą obecność we własnym domu.

– Nie wziąłem krawata, który chciałem włożyć na dzisiejszy wieczór – warknął. – Dlatego wstąpiłem do domu.

Rita odłożyła gazetę.

– Jack, kiedy nalegałam, by Sandy poszła do szkoły z internatem, zamiast do twojego ukochanego Stonecroft, musiałeś się zorientować, że coś wisi w powietrzu.

– Chyba tak.

Zdaje się, że zaraz się o czymś dowiem, pomyślał.

– Przenoszę się z powrotem do Connecticut. Wynajęłam dom w Westport. Ustalimy widzenia z Sandy. Choć jesteś beznadziejnym mężem, to muszę przyznać, że ojcem byłeś całkiem znośnym, i lepiej będzie, jeśli rozstaniemy się w przyjaźni. Wiem dokładnie, ile jesteś wart, nie traćmy więc zbyt wiele pieniędzy na adwokatów. – Wstała od stołu. – Jack Emerson – wesoły, robiący sporo dla lokalnej społeczności, inteligentny biznesmen. Tak mówią o tobie, Jack. Ale poza tym, że uganiaasz się za kobietami, coś się w tobie gotuje. Z czystej ciekawości chętnie bym się dowiedziała, co to takiego.

Jack uśmiechnął się zimno.

– Kiedy uparłaś się, żeby wysłać Sandy do Choate, domyśliłem się, że przygotowujesz grunt do powrotu do Connecticut. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wyperswadować ci tego zamiaru. Potem zacząłem świętować.

A jeśli wydaje ci się, że wiesz, ile jestem wart, to radzę ci policzyć jeszcze raz, dodał w myśli. Rita wzruszyła ramionami.

– Wiesz co, Jack. Pod pozorną ogładą jesteś nadal tym samym pospolitym woźnym, który nie cierpiał mycia podłóg po lekcjach. A jeśli podczas rozvodu nie będziesz grał fair, mogę zawiadomić policję, że wyznałeś mi, iż to ty jesteś odpowiedzialny za podłożenie ognia w klinice dziesięć lat temu.

Spojrzał na nią szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Nigdy ci tego nie mówiłem.

– Ale chyba mi uwierzą, prawda? Pracowałeś w tym budynku i chciałeś na jego miejscu wybudować centrum handlowe. Po pożarze mogłeś kupić parcelę za bezcen. – Uniosła brwi. – Idź po swój krawat, Jack. Za dwie godziny już mnie tu na pewno nie będzie. Może uda ci się poderwać którąś z dawnych koleżanek i urządzisz sobie wieczorem prawdziwy zjazd po latach.

Jean czuła ściskanie w gardle, gdy wjeżdżała przez bramę na teren West Point i parkowała samochód. Jak wiele razy w ciągu kilku minionych dni, wspominała swoją ostatnią wizytę tutaj – rozdanie świadectw klasy Reeda, kiedy to patrzyła, jak jego pograżeni w żałobie rodzice odbierają dyplom i kordzik syna.

Większość uczestników zjazdu zwiedzała West Point. O wpół do pierwszej mieli spotkać się na lunchu w hotelu Thayer. Potem, przed meczem, będą oglądali paradę.

Przed przyłączeniem się do reszty dawnych kolegów, Jean wybrała się na cmentarz, na grób Reeda. Spacer był długi, ale dzięki temu miała czas na wspomnienia. Wreszcie stanęła przed nagrobkiem, na którym wyryto jego nazwisko – porucznik Carroll Reed Thornton junior.

O płytę nagrobną stała oparta samotna róża, z przypiętą do łodygi niedużą kopertą. Jean spazmatycznie wciągnęła powietrze. Na kopercie widniało jej nazwisko. Podniosła różę i wyszarpnęła kartkę z koperty. Ręce jej drżały, gdy czytała naskrobane na kartce słowa: „To dla Ciebie, Jean. Łatwo było przewidzieć, że tutaj przyjdiesz”.

W drodze do hotelu próbowała wziąć się w garść. Ten list oznacza, że któryś z uczestników zjazdu wie o Lily i bawi się ze mną w kotka i myszkę, pomyślała. Kto inny wiedziałby, że będę tu dzisiaj i potrafiłby odgadnąć, że odwiedzę grób Reeda?

Dowiem się, kto to jest i gdzie przebywa Lily. Może nie wie, że została adoptowana. Nie

zamierzam wtrącać się w jej życie, ale muszę przekonać się, że nikt jej nie krzywdzi. Po prostu chciałabym zobaczyć ją jeden jedyny raz, choćby z daleka.

Sowa nie spodziewał się, że zniknięcie kobiety w Surrey Meadows, w stanie Nowy Jork, zostanie zgłoszone na tyle wcześnie, by informacja o nim znalazła się w porannych wydaniach sobotnich gazet. Z przyjemnością obejrzał wiadomości w telewizji. Po śniadaniu, przykładając kompres do zranionej ręki, słuchał kolejnych doniesień. Ból promieniował z miejsca, w którym pies zatopił zęby. To kara za moją nieuwagę, pomyślał Sowa. Powinien był dostrzec smycz w dłoni kobiety, zanim zatrzymał samochód, by ją zaatakować. Owczarek niemiecki pojawił się nie wiadomo skąd i rzucił się na niego z groźnym warczeniem. Na szczęście Sowa zdążył złapać łyżkę do opon, którą zawsze trzymał obok siebie na przednim siedzeniu, gdy wyruszał na łowy.

Podczas meczu kadeci kontra studenci Princeton Jean siedziała tuż obok niego. Widział niepokój w jej oczach. Było jasne, że znalazła różę na grobie Reeda.

Kiedy wiele lat temu dowiedział się przypadkiem o Lily, zdał sobie sprawę, że można mieć władzę nad ludźmi na różne sposoby. Czasami bawiło go wykorzystywanie tej władzy, kiedy indziej po prostu czekał, przyczajony. Anonim, który wysłał trzy lata temu do urzędu skarbowego, sprawił, że przeprowadzono kontrolę zeznań podatkowych Laury Wilcox. Teraz zajęto jej nieruchomość. Wkrótce nie będzie to miało znaczenia, lecz odczuwał satysfakcję na myśl, że Laura przed śmiercią zamartwia się utratą domu.

Pomysł skontaktowania się z Jean w sprawie Lily przyszedł mu do głowy, kiedy przypadkowo poznał przybranych rodziców dziewczyny. Nie byłem pewny, czy chcę zabić Jean, chciałem jednak zadać jej cierpienie, pomyślał bez wyrzutów sumienia.

– Wspaniały widok, prawda? – spytał ją podczas parady.

– Tak, rzeczywiście.

Przyjrzyj się dobrze, Jeannie, pomyślał. Twoja córka to ta na końcu drugiego rzędu.

Kiedy po meczu wrócili do Glen-Ridge House, Jean wsiadła do windy z Laurą i odprowadziła ją do pokoju.

– Lauro, kochanie, muszę z tobą porozmawiać – powiedziała.

– Och, Jeannie, najpierw wezmę gorącą kąpiel i trochę odpocznę – zaprotestowała przyjaciółka. – Owszem, zwiedzanie West Point i oglądanie meczu były ciekawe, ale wiesz, że nie jestem entuzjastką spędzania czasu na dworze. Możemy spotkać się później?

– Nie – odparła stanowczo Jean. – Muszę porozmawiać z tobą teraz.

– Zgadzam się tylko dlatego, że jesteś moją przyjaciółką – stwierdziła Laura. Otworzyła drzwi.  
– Witaj w Tadź Mahal. – Pstryknęła wyłącznikiem. Zapaliły się lampy przy łóżku i na biurku, rzucając niepewne światło na pokój. Było już późne popołudnie, słońce zachodziło i pokój pogrążał się w półmroku.

Jean usiadła na brzegu łóżka.

– Lauro, to jest naprawdę ważne. Czy podczas wycieczki byliście na cmentarzu?

Laura zaczęła rozpinać zamszowy żakiet.

– Tak. Wszyscy, którzy przyjechali autokarem. – Zdjęła i powiesiła żakiet w szafie.

Jean wstała i położyła dłonie na ramionach przyjaciółki.

– Lauro, czy zauważyłaś w autokarze albo na cmentarzu kogoś niosącego różę?

– Różę? Nie. To znaczy, kilka osób kładło kwiaty na grobach, ale nie był to nikt z naszej grupy.

Powinnam była to przewidzieć, pomyślała Jean. Laura nie zwraca uwagi na nikogo, kto nie jest przydatny.

– Pójdę już – powiedziała. – O której mamy być na dole?

– Koktajl jest o siódmej, a kolacja o ósmej. Medale wręczają nam o dziesiątej. A jutro jest nabożeństwo żałobne w intencji Alison i wczesny lunch w Stonecroft.

– Wracasz prosto do Kalifornii, Lauro?

Laura impulsywnie objęła przyjaciółkę.

– Nie mam jeszcze określonych planów, ale być może będę miała do wyboru coś lepszego. Do zobaczenia później, kochanie.

Kiedy drzwi zamknęły się za Jean, Laura otworzyła jeszcze raz szafę. Po kolacji wymkną się oboje.

– Mam dość hotelu, Lauro – powiedział. – Spakuj swoją torbę podróżną. Wrzucę ją przed kolacją do mojego samochodu. Ale bądź dyskretna. Nikt nie powinien wiedzieć, gdzie spędzimy dzisiejszą noc. Nadrobimy stracony czas. Przed dwudziestu laty zupełnie nie dostrzegałaś, jaki jestem wspaniały.

Pakując kaszmirowy żakiet, który miała włożyć rano, Laura uśmiechnęła się do siebie. Powiedziała mu jeszcze, że koniecznie chce pójść na nabożeństwo za duszę Alison.

– Za nic nie opuściłbym mszy w intencji Alison – rzekł, ale ona wiedziała, że myśli tylko o tym, by być razem z nią.

O trzeciej po południu Sam Deegan odebrał zaskakujący telefon od Alice Sommers.

– Sam, przepraszam, że dzwonię tak bez uprzedzenia, ale może masz dzisiaj wolny wieczór? – spytała. – Chciałam cię zaprosić na uroczystą kolację.

– Tak, jestem wolny – odrzekł Sam po chwili wahania. – I tak się składa, że mam w szafie smoking.

– W Stonecroft, z okazji zjazdu koleżeńskiego, odbędzie się dziś galowe przyjęcie na cześć niektórych absolwentów – wyjaśniła Alice. – Mieszkańców miasta poproszono o wykupienie karnetów na kolację. Dochód ze sprzedaży karnetów przeznaczony jest na dobudowę skrzydła szkoły. Chciałabym, żebyś poznał jedną z odznaczonych osób. Nazywa się Jean Sheridan. Mieszkała niegdyś po sąsiedzku i bardzo ją lubię. Ma poważny problem i byłabym wdzięczna, gdybyś z nią o tym porozmawiał.

– Alice, pójdę na kolację z wielką przyjemnością – rzekł Sam. Ucieszył się bardzo z zaproszenia. Co prawda nie powiedział jej, że od wpół do piątej rano pracuje nad sprawą Helen Whelan i przed chwilą wrócił do domu z zamiarem pójścia do łóżka. Godzinna drzemka na pewno postawi mnie na nogi, pomyślał.

– Przyjedź do mnie o siódmej – zaproponowała Alice. – Zrobię ci drinka, a potem pójdziemy do hotelu.

– Jesteśmy umówieni. Do zobaczenia, Alice.

– Zrobili wokół tego mnóstwo szumu, prawda, Jean? – powiedział Gordon Amory. Siedział po jej prawej stronie na podium, gdzie ulokowano odznaczonych. Poniżej miejscowy kongresman, burmistrz Cornwall nad rzeką Hudson, dyrektor Stonecroft oraz kilku członków zarządu szkoły z satysfakcją przyglądali się wypełnionej po brzegi sali.

– Owszem – przyznała Jean.

– Nie myślałaś, by zaprosić rodziców?

Gdyby nie żartobliwy ton w głosie Gordona, Jean zdenerwowałaby się.

– Nie. A ty zaprosiłeś swoich? – odrzekła wesoło.

– Jasne że nie. Chyba pamiętasz, jaka była moja matka. Kiedy w naszym domu wybuchł pożar, po mieście krążył dowcip, że tylko w ten sposób można go było uporządkować. Dziś jestem właścicielem trzech domów i muszę przyznać, że mam obsesję na punkcie czystości. Z tej przyczyny rozpadło się moje małżeństwo.

– Moi rodzice urządzali publiczne awantury. Czy dlatego właśnie mnie zapamiętałeś, Gordonie?

– Pamiętam, że dzieci bardzo łatwo wprawić w zakłopotanie i że z wyjątkiem Laury, która była ulubienicą całej klasy, wszyscy mieliśmy twardy orzech do zgryzienia. Tak bardzo pragnąłem się zmienić, że zafundowałem sobie nawet nową twarz. Ale kiedy jestem w złej formie, czuję, że wciąż jestem Gordiem, tamtym dzieciakiem, z którego wszyscy się wyśmiewają. Twoje nazwisko znane jest w kręgach akademickich, teraz napisałaś bestseller. Ale kim jesteś w środku?

Rzeczywiście, kim? W głębi duszy wciąż jestem osobą spoza towarzystwa, pomyślała Jean.

Gordon uśmiechnął się nagle chłopięco i powiedział:

– Nie powinno się wpadać w zbyt refleksyjny ton przy kolacji. Pewnie poczujemy się lepiej, gdy zawieszą nam medale na piersiach. Co o tym myślisz, Lauro?

Odwrócił się do niej, ale Jean zaczęła rozmawiać z Jackiem Emersonem, siedzącym po jej lewej stronie.

– Zdaje się, że prowadziłaś z Gordonem ożywioną dyskusję – zauważył Jack.

Jean dostrzegła nieskrywane zaciekawienie na jego twarzy. Ostatnią rzeczą, na jaką miała w tej chwili ochotę, była rozmowa na zapoczątkowany przez Gordona temat.

– Och, tak sobie plotkowaliśmy o naszym dorastaniu – odrzekła bez zająknięcia.

– Cornwall było wspaniałym miejscem na dorastanie – oświadczył Jack z zapałem. – Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego większość z was nie chciała się tutaj osiedlić. A przy okazji, Jeannie, gdybyś kiedykolwiek postanowiła kupić domek w wiejskim ustroniu, mam do zaproponowania kilka prawdziwych perełek.

Nigdy, pomyślała Jean. Pragnę jak najprędzej stąd wyjechać. Ale najpierw muszę odnaleźć osobę, która przysłała mi wiadomość o Lily. Niech to przyjęcie wreszcie się skończy. Chciałabym już spotkać się z Alice i jej znajomym. Muszę wierzyć, że jakimś sposobem pomoże mi znaleźć Lily i zapewni jej bezpieczeństwo. A kiedy upewnię się, że nic jej nie grozi, że jest szczęśliwa, wrócę do mojego świata.

– Och, nie sądzę, by interesował mnie dom w Cornwall – powiedziała do Jacka.

– Może nie teraz, Jean – rzekł Emerson z błyskiem w oku – ale założę się, że niedługo znajdę dla ciebie idealne miejsce. Prawdę mówiąc, jestem tego pewny.

To było do przewidzenia, pomyślał Sowa, patrząc na Laurę wyglądającą prześlicznie w złocistej wieczorowej sukni. Dzięki odrobinie talentu oraz efektownej urodzie umiała wygrać swoje piętnaście minut. Musiał przyznać, że olśniewała.

Mała walizka Laury znajdowała się już w jego samochodzie. Wyniósł ją ukradkiem służbowym wyjściem i schował do bagażnika niezauważony przez nikogo.

Teraz, z dreszczem oczekiwania, wyobraził sobie chwilę, kiedy wejdą do domu, kiedy zamknie za nią drzwi i ujrzy w jej oczach przerażenie, gdy zrozumie, że znalazła się w potrzasku.

Wreszcie odznaczenia rozdano, mowy wygłoszono, przyjęcie się skończyło. Sowa wyczuł, że Laura patrzy na niego, ale nie podniósł wzroku. Uzgodnili wcześniej, że przez jakiś czas będą rozmawiali z ludźmi, a potem pożegnają się i udadzą każde do swojego pokoju, po czym spotkają się przy jego samochodzie. Pozostali uczestnicy zjazdu wymeldują się rano i pojedą własnymi autami na nabożeństwo w intencji Alison, a następnie na pożegnalny wczesny lunch. Dopiero wtedy zauważą nieobecność Laury i pomyślą zapewne, że wyjechała wcześniej do domu.

– Należą ci się chyba gratulacje – powiedziała Jean, opierając dłoń kilkanaście centymetrów powyżej jego nadgarstka. Dotknęła najgłębszej z ran pozostawionych przez psie zęby. Sowa poczuł, że krew przesiąka przez marynarkę. Musiała ubrudzić rękaw szafirowej sukni Jean.

Wiele go kosztowało, by nie jęknąć z bólu, który przeszył mu rękę. Jean najwyraźniej niczego nie zauważyła i odwróciła się, by przywitać się z kobietą i mężczyzną, którzy właśnie się do niej zbliżali. Oboje byli tuż po sześćdziesiątce.

Przez moment Sowa pomyślał o krwi, która kapała na ziemię, gdy ugryzł go pies. DNA. Zaniepokoiło go, że po raz pierwszy zostawił po sobie fizyczny ślad – oczywiście poza swoim symbolem, którego jednak nikt nigdy nigdzie nie zauważył. Z jednej strony był rozczarowany głupotą policji, z drugiej zaś się cieszył. Gdyby skojarzono zabójstwa tych kobiet, utrudniłoby mu to dalsze działania. Jeśli w ogóle będzie dalej zabijać, po Laurze i Jean.

Od pierwszej chwili gdy poznała Sama Deegana, Jean rozumiała, dlaczego Alice ma o nim tak pochlebną opinię. Spodobała jej się jego wyrazista twarz, czyste ciemnoniebieskie oczy, ujął ją serdeczny uśmiech, przypadł do gustu silny uścisk dłoni.

– Powiedziałam Samowi o Lily i o faksie, który wczoraj dostałaś – poinformowała ją Alice, zniżając głos.

– Był jeszcze jeden – szepnęła Jean. – Alice, tak bardzo boję się o Lily. Nim Alice zdążyła się odezwać, Sam zasugerował:

– Może wyjdziemy stąd i usiądziemy sobie przy stoliku w barku hotelowym? Tam będziemy mogli swobodnie porozmawiać, bez obawy, że ktoś nas usłyszy.

Znaleźli stolik w kącie i gdy popijali szampana, którego zamówił Sam, Jean opowiedziała im o róży i liście, które znalazła na cmentarzu.

– Różę musiał położyć uczestnik zjazdu, który wiedział, że wybieram się do West Point i był pewien, że odwiedzę grób Reeda – mówiła zdenerwowana. – Ale dlaczego ten ktoś bawi się ze mną



w taki sposób? Po co te niejasne groźby? Dlaczego nie wyjawi powodu, dla którego nawiązuje teraz ze mną kontakt?

– A czy ja mogę nawiązać teraz z tobą kontakt? – spytał Mark Fleischman. Stał przy pustym krześle obok niej ze szklaneczką w ręku. – Szukałem cię, Jean. Chciałem zaproponować ci kieliszek czegoś mocniejszego przed snem – wyjaśnił z uśmiechem. – No i w końcu cię wypatrzyłem.

Zauważył wahanie na twarzach osób siedzących przy stoliku. Właśnie tego się spodziewał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że przerwał im jakąś poważną rozmowę, ale chciał wiedzieć, kim są ludzie siedzący z Jean i o czym z nią rozmawiają.

– Ależ oczywiście, przyłącz się do nas – zaprosiła go Jean, z udawaną szczerością w głosie. Ile usłyszał? – zastanawiała się, przedstawiając go Alice i Samowi.

– Doktor Mark Fleischman – rzekł Sam. – Oglądam pański program i bardzo mi się podoba. Udziela pan cholernie dobrych rad.

Jean spostrzegła, że twarz Marka rozjaśnił uśmiech, gdy usłyszał tę niewątpliwie szczerą pochwałę z ust Sama Deegana.

Mark był nieśmiały i spokojny w młodszych latach, pomyślała. Nigdy bym nie przypuszczała, że zostanie gwiazdą srebrnego ekranu. Czy Gordon miał rację, twierdząc, że Mark wybrał zawód psychiatry specjalizującego się w problemach dojrzewania z powodu własnych przeżyć po śmierci brata?

– Wiem, że dorastał pan tutaj, Mark. Czy pańska rodzina nadal mieszka w naszym miasteczku? – spytała Alice.

– Ojciec. Nigdy nie opuścił starego gospodarstwa. Jest na emeryturze, ale chyba dużo podróżuje. Nie miałem z nim kontaktu od lat. Zapewne wie z miejscowych mediów o zjeździe koleżeńskim i o tym, że jestem jednym z odznaczonych, ale nie odezwał się do mnie.

– Może nie ma go w mieście – podsunęła cicho Alice.

– Jeśli tak, to marnuje mnóstwo prądu. Wczoraj wieczorem paliło się u niego światło. – Mark wzruszył ramionami, po czym uśmiechnął się. – Przepraszam. Nie miałem zamiaru się żalić. Chciałem tylko powiedzieć Jean, że ślicznie wygląda i że bardzo się cieszę z naszego spotkania.

Wstał, uśmiechnął się do Alice i podał rękę Samowi.

– Miło mi było państwa poznać. A teraz przepraszam, ale widzę dwie osoby, z którymi chciałbym jeszcze zamienić parę słów, mogę bowiem rozminąć się z nimi jutro rano. – Mark długim krokiem ruszył przez salę.

– To bardzo atrakcyjny mężczyzna, Jean – oznajmiła stanowczo Alice. – I bez wątpienia mu się podobasz.

Ale nie był to jedyny powód, dla którego się do nas przysiadł, pomyślał Sam Deegan. Obserwował nas, stojąc przy barze. Chciał się dowiedzieć, o czym rozmawiamy.

Ciekawe, dlaczego było to dla niego takie ważne.

Czuł, że drapieznik za chwilę opuści klatkę i zacznie działać samodzielnie. Dobrze wiedział, kiedy następuje całkowite rozdzielenie. Jego miła i łagodna osobowość powoli zanikała. Słyszał i widział siebie, uśmiechniętego, żartującego, nadstawiającego dawnym szkolnym koleżankom policzki do całowania.

Zdawał sobie jednak sprawę, że jego sympatyczne ja niepostrzeżenie odchodzi. Kiedy po dwudziestu minutach siedział w samochodzie, czekając na Laurę, wyczuwał już aksamitną miękkość swoich piór. Dostrzegł, jak kobieta wymyka się tylnym wyjściem z hotelu.

Po chwili otworzyła drzwi samochodu i wślizgnęła się na przednie siedzenie.

– Porwij mnie stąd, kochanie – powiedziała ze śmiechem. – Mam ochotę na odrobinę szaleństwa.

Jake Perkins do późna pisał relację z uroczystego bankietu. W wieku szesnastu lat uważał się już za dobrego pisarza i bystrego obserwatora ludzkich zachowań.

Rzecz jasna zdawał sobie sprawę, że nauczyciel angielskiego, doradca i cenzor „Gazette”, w żadnym wypadku nie przepuści artykułu, który Jake zamierzał napisać, lecz dla własnej rozrywki przelał na papier to, co chciałby zobaczyć w druku.

„Laura Wilcox jako pierwsza otrzymała medal Wybitnego Absolwenta. Suknia ze złotej lamy sprawiła, że większość mężczyzn nie zwracała uwagi na jej paplaninę o szczęśliwych chwilach, jakie przeżyła w Cornwall. Jej wypowiedź nagrodzono uprzejmymi brawami i kilkoma gwizdami.

Doktor Mark Fleischman, psychiatra i osobowość telewizyjna, wygłosił dobrze przyjętą mowę, w której kładł nacisk na to, by rodzice i nauczyciele podnosili morale młodzieży. – Życie z pewnością da im w kość – mówił. – Waszym zadaniem jest sprawić, by dzieciaki czuły się dobrze, nawet gdy wyznaczacie im odpowiednie granice.

Carter Stewart, dramaturg, powiedział, że – w przeciwieństwie do wywodów doktora Fleischmana – jego tata wyznawał starą zasadę, iż „dziateczki różeczką Duch Święty bić każe”, a następnie podziękował swojemu nieżyjącemu już ojcu, że wychowywał go właśnie według niej. Dzięki temu poznał ciemne strony życia, co bardzo mu się później przydało. Uwagi Stewarta skwitowano nerwowym śmiechem i grzecznościowymi oklaskami.

Komik Robby Brent rozbawił widownię, parodiując nauczycieli, którzy zawsze straszili, że go obleją, co groziłoby utratą stypendium. Jedna z nauczycielek, obecna na bankiecie, z dzielnym

uśmiechem znosiła bezlitosne wyszydzanie jej gestów i nawyków oraz głosu. Pannę Ellę Bender, matematyczkę, niemal do łez rozśmieszyła doskonała parodia jej piskliwego falsetu i nerwowego chichotu.

– Byłem ostatnim i najgłupszym z Brentów – zakończył Robby. – Nigdy nie pozwoliła mi pani o tym zapomnieć, panno Bender. Moją tarczą obronną stało się poczucie humoru i za to jestem wdzięczny.

Zamrugał powiekami i skrzywił usta zupełnie jak dyrektor Downes. Robby wręczył dyrektorowi czek na jednego dolara, swój wkład w fundusz budowy nowego skrzydła szkoły. Słyszając jęk zawodu zebranych, zawołał: „Przecież żartowałem!” i pomachał czekiem na dziesięć tysięcy.

Część zebranych uważała, że Robby jest niesłychanie śmieszny. Innym, wśród których była doktor Jean Sheridan, zupełnie nie podobała się błazenada Brenta. Słyszano, jak mówiła później do kogoś, że humor nie powinien być tak okrutny.

Jako następny przemawiał Gordon Amory, nasz potentat telewizyjny.

– Nigdy nie udało mi się dostać do żadnej drużyny w Stonecroft – powiedział. – Nie wyobrażacie sobie, jak gorąco modliłem się, by choć raz dano mi szansę zostania sportowcem. W rezultacie stałem się maniakiem telewizyjnym, a po pewnym czasie zacząłem analizować to, co oglądam. Wkrótce wiedziałem doskonale, dlaczego niektóre programy, wydania nadzwyczajne wiadomości, komedie sytuacyjne czy fabularyzowane dokumenty są dobre, a inne nic niewarte. Taki był początek mojej kariery. Zbudowałem ją na bazie odrzucenia, rozczarowania i cierpienia. Ach, i jeszcze jedno, pozwólcie, że na koniec zdementuję pewną plotkę. Nie podłożyłem celowo ognia pod dom rodziców. Pałłem papierosa i gdy po wyłączeniu telewizora szedłem spać, nie zauważyłem, że tłący się niedopałek zsunął się pod puste opakowanie po pizzy, które moja matka zostawiła na kanapie.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, pan Amory wręczył dyrektorowi Downesowi czek na sto tysięcy dolarów.

Ostatnia z odznaczonych, doktor Jean Sheridan, powiedziała:

– Jako stypendystka, wiem, że otrzymałam w Stonecroft pierwszorzędne wykształcenie, lecz również poza terenem szkoły można się było wiele nauczyć. To w tym mieście nauczyłam się cenić historię, co ukształtowało moje życie i karierę zawodową. Za to będę mu wdzięczna do końca życia.

Doktor Sheridan nie opowiedziała o tym, jak była tu szczęśliwa. Nie wspomniała też awantur, jakie urządzali jej rodzice, ani tego, że po niektórych głośniejszych incydentach, zupełnie załamana, płakała w klasie”.

Cóż, jutro wszystko się skończy, myślał Jake Perkins, przyglądając się zdjęciu, które wygrzebał z archiwum. Za sprawą niewiarygodnego zrzędzenia losu wszystkie nieżyjące absolwentki nie tylko jadały w ostatniej klasie lunch przy jednym stoliku z dwiema odznaczonymi, Laurą Wilcox i Jean Sheridan, lecz straciły życie w takiej samej kolejności, w jakiej przy tym stoliku siedziały.

A to oznacza, że następną będzie prawdopodobnie Laura Wilcox, spekulował Jake. Czy to przedziwny zbieg okoliczności, czy też ktoś powinien się temu wszystkiemu przyjrzeć? Ale z drugiej strony... Te kobiety zmarły w okresie dwudziestu lat, w różny sposób, w różnych częściach kraju.

Może to przeznaczenie, doszedł do wniosku Jake. Nic innego, tylko przeznaczenie.

## Rozdział piąty

W niedzielę rano Jane zadzwoniła do hotelowej recepcji. – Zamierzam zostać jeszcze kilka dni – poinformowała recepcjonistkę. – Czy to możliwe?

Wiedziała, że wiele pokoi się zwolni. Pozostali uczestnicy zjazdu niewątpliwie wyruszą do domów po wczesnym lunchu w Stonecroft.

Choć było dopiero piętnaście po ósmej, Jean dawno już wstała, ubrała się, skubnęła kawałek słodkiej bułeczki i wypila kawę. Po zakończeniu zjazdu wybierała się do domu Alice Sommers. Przyjdzie tam również Sam Deegan i będą mogli spokojnie porozmawiać. Sam powiedział jej, że bez względu na to, jak poufna była adopcja, musiała być zarejestrowana, a dokumenty z pewnością sporządził prawnik. Spytał Jean, czy ma kopię dokumentu, który podpisywała, zrzekając się praw do dziecka.

– Doktor Connors nie przedstawił mi żadnych dokumentów – wyjaśniła. – A może nie chciałam, żeby cokolwiek przypominało mi o tym, co zrobiłam. Naprawdę nie pamiętam. Byłam wtedy otępiąta. Kiedy zabrał moje dziecko, czułam się, jak gdyby wyrwano mi serce z piersi.

Od tamtej rozmowy złe przeczucia stawały się coraz silniejsze. Była prawie pewna, że Lily grozi niebezpieczeństwo. Gdy obudziła się o szóstej, policzki miała mokre od łez i szeptała słowa modlitwy, która utkwiała głęboko w jej podświadomości: „Nie pozwól, żeby ktoś ją skrzywdził. Zaopiekuj się nią, proszę”.

Musiała wyjść z hotelu o wpół do dziewiątej. Zeszła na parking i wsiadła do samochodu. Pod wpływem impulsu skręciła w Mountain Road, by popatrzeć na dom, w którym spędziła młodsze lata.

Dom znajdował się w połowie krętej ulicy. W czasach gdy w nim mieszkała, miał brązową elewację i beżowe okiennice. Obecni właściciele nie tylko go rozbudowali, ale i odnowili. Dach pokryli białym gontem, a okiennice pomalowali na zielono. W porannej mgłę dom wyglądał na prawdziwy klejnot.

Stojący po sąsiedzku, ceglany, częściowo otynkowany dom, należący kiedyś do rodziców Laury, a później do Sommersów, także był zadbany, mimo że najwyraźniej nikt tu obecnie nie mieszkał. Opuszczono rolety we wszystkich oknach. Ramy okienne były jednak świeżo pomalowane, a żywopłoty starannie przystrzyżone.

Zawsze kochałam ten dom, pomyślała Jean, zawracając i zjeżdżając ze szczytu wzgórza. Wcześniej wszystko wskazywało na to, że mgła opadnie, ale jak to bywa w październiku, niebo zaciągnęło się jeszcze gęstszymi chmurami i mgła przeszła w dokuczliwą zimną mżawkę. Jean zdała sobie sprawę, że podobna pogoda była tamtego dnia, kiedy odkryła, że jest w ciąży.

Nie miałam pojęcia, jak zareaguje Reed, wspominała. Wiedziałam natomiast, że będzie

uważał, iż zawiódł oczekiwania ojca.

Ojciec Reeda był generałem broni w Pentagonie. Stanowiło to jedną z przyczyn, dla których nie widywaliśmy się nigdy z kolegami Reeda. Nie chciałby ktokolwiek donieść jego ojcu, że na serio się z kimś związał.

A ja z kolei nie chciałam, żeby poznał moich rodziców.

Znałam go tak krótko, myślała Jean, jadąc na nabożeństwo w intencji Alison. Nie miałam przed nim chłopaka. Pewnego dnia podszedł do mnie, gdy siedziałam na stopniach pomnika w West Point. Moje nazwisko widniało na okładce zeszytu, który miałam ze sobą.

– Jean Sheridan – powiedział, a potem dodał: – Lubię utwory Stephena Fostera. Wiesz, o której piosence teraz myślę? Zaczyna się tak: „Marzę o Jeannie, co jasne włosy ma...”.

Po trzech miesiącach Reed nie żył, a ja nosiłam pod sercem jego dziecko. Gdy zobaczyłam w kościele doktora Connorsa i przypomniałam sobie, że ktoś mówił, iż zajmuje się adopcjami, przyjąłam to jak dar, wskazówkę, co mam robić. Teraz też potrzebuję takiej wskazówki.

Jake Perkins obliczył, że przy grobie Alison Kendall zebrało się niespełna trzydziestu żałobników. Niektórzy woleli pójść prosto na wczesny pożegnalny lunch. Nie miał im tego za złe. Deszcz się nasilał. Nie ma nic gorszego od uroczystości żałobnych w deszczowy dzień, pomyślał.

Alfred Downes, dyrektor Stonecroft, chwalił teraz wielkoduszność i talent Alison Kendall.

Może i była utalentowana, przyznał w duchu Jake, ale to z powodu jej wielkoduszności ryzykujemy tutaj wszyscy zapalenie płuc. Dziwne, że przy grobie nie ma jednej z odznaczonych, Laury Wilcox, pomyślał nagle chłopak.

– Wspominamy także koleżanki Alison, które zostały wezwane przed oblicze Pana – rzekł uroczyście Downes. – Catherine Cane, Debrę Parker, Cindy Lang i Glorię Martin. Wielu uczniów tej klasy odniosło w życiu sukcesy, ale też nigdy przedtem żadna klasa nie poniosła tylu strat.

Amen, skwitował przemówienie Jake, postanawiając, że wykorzysta w swoim reportażu ze zjazdu zdjęcie siedmiu dziewcząt, siedzących przy jednym stoliku.

Na początku nabożeństwa jeden z uczniów Stonecroft wręczył każdemu z zebranych przy grobie Alison po różę. Kiedy Downes zakończył mowę pogrzebową, każdy kolejno kładł różę u stóp nagrobka Alison, po czym ruszał przez cmentarz w stronę przyległych terenów szkolnych.

Jake nie przepadał za takimi gestami, niemniej jednak postanowił zostawić swoją różę obok innych. Gdy ją kładł, zauważył na ziemi niewielki przedmiot i podniósł go.

Była to cynowa sowa, wielkości około dwóch centymetrów. Jej wartość nie przekraczała paru dolarów i Jake omal jej nie wyrzucił, zmienił jednak zdanie. Wytarł ją i schował do kieszeni. Zbliży

się Halloween. Podaruje sowę swojemu małemu kuzynowi i powie, że wykopał ją dla niego z grobu.

Jean była rozczarowana, że Laura nie przyszła na nabożeństwo żałobne za duszę Alison. Nie zdziwiło jej to jednak ani trochę. Laura nigdy nie lubiła poświęceń. Pewnie nie chciało jej się moknąć w ulewnym deszczu i przyjdzie od razu na lunch, pomyślała Jean.

Laura nie pojawiła się jednak na lunchu i Jean ogarnął niepokój. Zwierzyła się z tego uczucia Gordonowi Amory'emu.

– Gordon, wiem, że wczoraj dużo rozmawiałeś z Laurą. Czy wspomniała, że nie będzie na dzisiejszym nabożeństwie?

– Nie. Namawiała mnie usilnie, bym powierzył jej główną rolę w naszym nowym sitcomie. Oświadczyłem jej, że nigdy nie wpływam na obsadę swoich programów telewizyjnych. Zaczęła nalegać, więc stwierdziłem stanowczo, że nie robię wyjątków. Zwłaszcza dla niezbyt utalentowanych koleżanek z klasy. Zaraz potem zaczęła czarować Jacka Emersona. Słyszałaś, jak przechwalał się swoimi znacznymi zasobami finansowymi. Wczoraj wieczorem oznajmił też, że właśnie opuściła go żona. Ponętny kąsek dla naszej Laury, nie sądzisz?

Jean pamiętała, że podczas kolacji Laura była we wspaniałym nastroju. Czyżby później coś nie przebiegło po jej myśli? A może po prostu postanowiła dłużej pospać?

To przynajmniej mogę sprawdzić, pomyślała. Siedziała przy stole obok Gordona i Cartera Stewarta. Szepnąwszy do nich: „Za chwilę wracam”, wyszła z audytorium, lawirując między rzędami stołów. Wymknęła się na korytarz, wyjęła z torebki telefon komórkowy i zadzwoniła do hotelu.

Ponieważ Laura nie podnosiła słuchawki, Jean połączyła się z recepcją. Przedstawiła się i spytała, czy Laura Wilcox przypadkiem się już nie wymeldowała.

– Pani Wilcox miała przyjść na lunch i do tej pory jej tu nie ma – wyjaśniła.

– Nie, nie wymeldowała się, doktor Sheridan – rzekł przyjaźnie recepcjonista. – Może poślę kogoś na górę, żeby sprawdził, czy nie zasnęła. Ale jeśli się rozgniewa, całą winę zrzuć na panią.

To ten facet, którego kolor włosów pasuje do politory kontuaru, pomyślała Jean.

– Biorę na siebie odpowiedzialność – zapewniła go.

Czekając, usłyszała, że otwierają się drzwi audytorium. Odwróciła się i ujrzała Jake'a Perkinsa.

– Doktor Sheridan? – W głosie recepcjonisty nie wyczuwało się już żartobliwych nut.

– Słucham. – Coś się stało, pomyślała Jean, ściskając kurczowo telefon.

– Pokojówka poszła do pokoju pani Wilcox. Łóżko jest nietknięte, ubrania wiszą w szafie, ale dziewczyna zauważyła, że z toaletki zniknęły kosmetyki. Sądzi pani, że mamy zacząć się martwić?

– Chyba nie, skoro wzięła ze sobą część rzeczy. Dziękuję.

Jeśli Laura wypuściła się z kimś, z pewnością nie chciałaby, żebym podnosiła szum wokół jej nieobecności, stwierdziła w duchu Jean. Ale z kim ona może być? Jeśli wierzyć Gordonowi, pozbył się jej. Podobno widział, jak flirtowała z Jackiem Emersonem, ale przecież nie zaniedbywała Marka, Robby'ego i Cartera...

– Doktor Sheridan, czy mogę zamienić z panią kilka słów?

Zaskoczona Jean odwróciła się. Na śmierć zapomniała o Jake'u Perkinsie.

– Przepraszam, że panią niepokoję – rzekł tonem, który bynajmniej nie był przepraszający – ale czy może mi pani powiedzieć, jakie są plany pani Wilcox. Pokaże się tu jeszcze?

– Nie znam jej planów – odparła Jean, uśmiechając się protekcjonalnie. – A teraz wybacz, muszę wracać do stołu.

Pewnie Laura podrywała kogoś z mężczyzn podczas wczorajszej kolacji i poszła do niego na noc, pomyślała Jean.

Jake Perkins przyjrzał się bacznie minie Jean. Odniósł wrażenie, że jest zmartwiona. Czyżby powodem była nieobecność Laury Wilcox? Czy to możliwe, że gwiazda zaginęła? Wyjął telefon komórkowy, zadzwonił do Glen-Ridge House i poprosił o połączenie z recepcją.

– Mam dostarczyć kwiaty pani Laurze Wilcox – powiedział – ale poproszono mnie, bym najpierw upewnił się, czy się nie wymeldowała.

– Jeszcze nie – poinformował go recepcjonista – lecz ma opuścić hotel o drugiej. Na drugą piętnaście zamówiła samochód na lotnisko. Nie wiem, co ci poradzić z kwiatami, synku.

– Chyba uzgodnię to z klientem. Dziękuję.

Jake wyłączył telefon i schował go do kieszeni. Wiem dokładnie, gdzie będę o drugiej, postanowił. Będę czekał w holu Glen-Ridge na Laurę Wilcox.

Gdy otworzył drzwi do audytorium, goście właśnie zaczęli śpiewać szkolny hymn Stonecroft. „Witaj nam, drogie Stonecroft, nasza wyśniona przystani...”.

Zjazd koleżeński dobiegł wreszcie końca.



– Chyba czas się pożegnać, Jean. Cieszę się, że mogłem cię znowu zobaczyć. – Mark Fleischman trzymał w dłoni wizytówkę. – Dam ci moją, jeśli ty dasz mi swoją – rzekł z uśmiechem.

– Oczywiście. – Jean sięgnęła do torebki i podała mu wizytówkę.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytał Mark.

– Zostanę jeszcze kilka dni. Muszę zebrać trochę materiałów. – Jean starała się, by jej głos brzmiał obojętnie.

– Jutro nagrywam program w Bostonie. Gdyby nie to, też bym został i zaprosił cię wieczorem na spokojną kolację. – Zawahał się, po czym pocałował ją w policzek. – I naprawdę miło było cię spotkać.

– Do widzenia, Mark. – Na chwilę ich dłonie się splotły, potem odszedł.

Carter Stewart i Gordon Amory stali razem, żegnając rozchodzących się kolegów. Jean podeszła do nich, lecz zanim zdążyła się odezwać, Gordon spytał:

– Miałaś wiadomości od Laury?

– Nie.

– Laura jest niesolidna. To kolejny powód, dla którego trudno jej było dostać rolę. Alison poruszyła niebo i ziemię, by coś dla niej załatwić. Szkoda, że Laura nie pamiętała o tym dzisiaj.

– Cóż... – Jean postanowiła, że nie będzie się wypowiadała w tej sprawie. – Wracasz do Nowego Jorku? – spytała Cartera Stewarta.

– Prawdę mówiąc, nie. Przenoszę się z Glen-Ridge do Hudson Valley na drugim końcu miasta. Moją nową sztukę reżyseruje Pierce Ellison, który mieszka w Highland Falls, dziesięć minut drogi stamtąd. Musimy posiedzieć razem nad tekstem. Prosił, żebym został tu kilka dni. Nie zatrzymam się dłużej w Glen-Ridge. Od pięćdziesięciu lat nie wydali grosza na jakiegokolwiek ulepszenia.

– Masz rację – zgodził się Gordon. – Dobrze pamiętam czasy, kiedy byłem tu boyem i kelnerem. Ja wybieram się do ośrodka rekreacyjno-sportowego za miastem. Szukamy odpowiedniego miejsca na centralę naszej korporacji.

– Pogadaj z Jackiem Emersonem – poradził mu złośliwie Stewart.

– Z każdym, byle nie z nim. Moi ludzie znaleźli już kilka miejsc, które powinienem obejrzeć.

– W takim razie może spotkamy się jeszcze w mieście – zauważyła Jean. – Ale tak czy owak dobrze było się z wami spotkać.

Nie widziała nigdzie Robby'ego Brenta ani Jacka Emersona, lecz nie mogła dłużej czekać. O drugiej była umówiona z Samem Deeganem u Alice Sommers.

Carter Stewart zarezerwował apartament w nowym hotelu Hudson Valley w pobliżu Storm King State Park. Hotel, położony na zboczu góry wznoszącej się nad rzeką Hudson, składał się z głównego budynku oraz dwu bocznych wież, przypominając orła z rozpostartymi skrzydłami.

Orzeł, symbol życia, światła, siły i majestatu.

Wstępny tytuł jego nowej sztuki brzmiał: „Orzeł i sowa”.

Sowa. Symbol ciemności i zła. Drapieżnik. Jego reżyserowi, Pierce’owi Ellisonowi, spodobał się ten tytuł. Nie jestem do niego całkiem przekonany, myślał Stewart, podjeżdżając przed wejście do hotelu. Po prostu nie jestem.

Może tytuł jest zbyt oczywisty? Symbole tworzy się z myślą o wnikliwych analitykach, a nie o członkach środowego kółka brydżowego. Ale czy myśliciele chodzą na jego sztuki?

– Zajmiemy się pańskim bagażem.

Carter Stewart wcisnął w dłoń portiera pięciodolarowy banknot. Dobrze, że nie powiedział: „Witamy w domu”, pomyślał.

Po upływie pięciu minut stał przy oknie swego apartamentu ze szklanką whisky w dłoni. Wody Hudsonu były wzburzone i groźne. Późnym popołudniem, w październiku, w powietrzu czuć było zimę. Przynajmniej zjazd się wreszcie skończył. Spotkanie z kilkoma osobami sprawiło mi nawet przyjemność, pomyślał Carter. Uświadomiłem sobie, jak daleko zaszedłem, opuściwszy szkolne mury Stonecroft.

Pierce Ellison był zdania, że powinni bardziej podkreślić w sztuce postać Gwendolyn.

– Znajdź blondynkę, która jest naprawdę słodką idiotką – nalegał – a nie aktorkę, która gra słodką idiotkę.

Carter roześmiał się, myśląc o Laurze.

– Ojej, ależ ona idealnie nadaje się do tej roli – powiedział na głos – mimo że nigdy w życiu jej nie dostanie.

Robby Brent zauważył, że wielu dawnych kolegów unikało go po jego przemówieniu na bankiecie. Od kilku innych usłyszał, że choć jest świetnym parodystą, zbyt ostro potraktował dawnych nauczycieli i dyrektora. Dotarła też do niego opinia Jean Sheridan, która stwierdziła, że humor nie powinien być tak okrutny. Robby doznał prawdziwej satysfakcji.

Napomknął Jackowi Emersonowi, że być może zainwestuje w jakąś nieruchomości, skutkiem czego Jack wiercił mu po lunchu dziurę w brzuchu. Emerson to straszny chwalipięta, pomyślał

Robby, zatrzymując samochód przed wejściem do Glen-Ridge. Choć trzeba przyznać, że jego opinie o handlu nieruchomościami wydają się całkiem sensowne.

– Ziemia, ziemia – rozprawiał Emerson. – W tej okolicy jej wartość stale rośnie. Zainwestuj, a za dwadzieścia lat będziesz miał fortunę. Jeśli zostaniesz do jutra, pokażę ci najciekawsze parcele.

Jack zdziwiłby się, gdyby wiedział, ile już mam ziemi, pomyślał Robby. Kupuję działki w całym kraju, a potem każę stawiać na nich znaki: Wstęp wzbroniony.

Przez cały okres dorastania mieszkałem w wynajętym domu. Nawet w tamtych czasach moi rodzice, genialni intelektualiści, nie zdołali uciulać dość pieniędzy, by wpłacić zaliczkę na własny dom. A ja... mam dom w Vegas i gdybym tylko zechciał, mógłbym wybudować kilka kolejnych w Santa Barbara, Minneapolis, Atlancie, Bostonie, Hamptons, Nowym Orleanie, Palm Beach czy Aspen. Ziemia jest moją tajemnicą, myślał z zadowoleniem Robby, wkraczając do holu Glen-Ridge. I ziemia kryje moje tajemnice.

Jean Sheridan, Sam Deegan i Alice Sommers siedzieli wygodnie w przytulnym salonie w domu Alice. Gospodyni rozpałała ogień w kominku i teraz migotliwe płomienie nie tylko ogrzały pokój, lecz także poprawiły wszystkim nastrój.

Sam wziął od Alice filiżankę herbaty, po czym przeszedł do rzeczy.

– Jean, dużo rozmyślałem o twojej sprawie. Musimy poważnie wziąć pod uwagę ewentualność, że ktoś, kto pisze do ciebie o Lily, jest zdolny wyrządzić jej krzywdę. Jest na tyle blisko dziewczyny, że udało mu się zdobyć jej szczotkę, a zatem może to być członek rodziny, która ją adoptowała. Niewykluczone, że spróbuje wyciągnąć od ciebie pieniądze, co jak sama powiedziałaś – sprawiłoby ci niemal ulgę. Ale taka sytuacja może ciągnąć się latami.

Doktor Connors musiał współpracować z prawnikiem przy załatwianiu dokumentów adopcyjnych. Ktoś z pewnością wie, kim był ów prawnik. Czy wdowa po doktorze nadal tu mieszka?

– Nie mam pojęcia – odparła Jean.

– Dobrze, w takim razie zaczniemy od tego. Czy przyniosłaś ze sobą szczotkę do włosów i faksy?

– Nie.

– Chciałbym je wziąć.

– Szczotka jest mała, taka, jakie nosi się w torebce – powiedziała Jean. – Na pewno można takie kupić w każdej drogerii. Na faksach nie ma nic, co pomogłoby zidentyfikować nadawcę, ale oczywiście mogę dać ci jedno i drugie.

Jean i Sam wyszli po kilku minutach. Ustalili, że Deegan pojedzie za nią do hotelu swoim

samochodem. Alice wyglądała za nimi przez okno, po czym sięgnęła do kieszeni swetra. Dziś rano odwiedziła grób Karen i znalazła na płycie nagrobkowej maskotkę, którą niewątpliwie zostawiło tam dziecko.

Kiedy Karen była mała, uwielbiała pluszowe zwierzątka i miała ich mnóstwo. Najbardziej kochała sowę, pomyślała Alice, patrząc z rzewnym uśmiechem na dwucentymetrową cynową sowę, którą trzymała w dłoni.

Jake Perkins siedział w holu Glen-Ridge House. Piętnaście po drugiej kierowca w liberii podszedł do recepcji. Jake pośpieszył za nim w kierunku kontuaru. Kierowca przyjechał po Laurę Wilcox. O wpół do trzeciej odjechał, wyraźnie niezadowolony.

O czwartej Jake zauważył, że doktor Sheridan wróciła ze starszym mężczyzną, z którym rozmawiała po pożegnalnym bankiecie. Oboje podeszli do recepcji. Pyta o Laurę, pomyślał Jake. Przeczucie go nie myliło – pani Wilcox zaginęła.

Jake postanowił, że musi wyciągnąć coś od doktor Sheridan. Podeszedł do niej i usłyszał słowa starszego mężczyzny:

– Zgadzam się, Jean. Nie podoba mi się to, lecz Laura jest dorosła i ma prawo zmienić zdanie w kwestii hotelu czy samolotu.

– Przepraszam pana. Jestem Jake Perkins, dziennikarz ze szkolnej gazety – przerwał mu Jake.

– Sam Deegan.

Dla Jake'a było jasne, że ani doktor Sheridan, ani Sam Deegan nie ucieszyli się z jego obecności. Lepiej od razu przejść do rzeczy, pomyślał.

– Doktor Sheridan, czy sądzi pani, że coś złego przydarzyło się pani Wilcox, zważywszy na los kobiet, z którymi siadywała pani kiedyś przy jednym stoliku w Stonecroft?

Dostrzegł przestraszone spojrzenie, jakie Jean rzuciła Samowi Deeganowi. Nie wspomniała mu o tym, pomyślał. Wyjął z kieszeni wspólną fotografię dziewcząt.

– Oto zdjęcie koleżanek doktor Sheridan, zrobione w ostatniej klasie przy wspólnym stoliku w stołówce w Stonecroft. W ciągu dwudziestu lat od ukończenia szkoły dwie z nich zginęły w wypadkach, jedna popełniła samobójstwo, jedną podobno porwała lawina. W zeszłym miesiącu piąta, Alison Kendall, utopiła się we własnym basenie. Teraz wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi zaginęła Laura Wilcox. Nie sądzi pan, że to dziwny zbieg okoliczności?

Sam Deegan wziął od reportera zdjęcie i przyjrzał mu się badawczo z ponurą miną.

– Nie wierzę w zbiegi okoliczności – rzekł szorstko. – A teraz przepraszam, panie Perkins, ale mamy coś do załatwienia.

– Och, proszę się mną nie przejmować. Zaczekam, może zjawi się pani Wilcox. Chciałbym z nią porozmawiać.

– Poproszę o listę pracowników, którzy mieli dyżur wczorajszej nocy – powiedział Sam do recepcjonisty, nie zwracając uwagi na chłopaka.

– Myślałem, że o tej porze nie będzie mnie już tutaj, ale po powrocie z lunchu zastałem na sekretarce całą masę wiadomości – wyjaśnił Gordon Amory, widząc pytające spojrzenie Jean. – Wisiałem na telefonie przez dwie godziny.

Z bagażami w ręku, Gordon podszedł do kontuaru. Recepcjonista właśnie pokazywał Samowi grafik dyżurów pracowników hotelu. Gordon przyjrzał się uważnie twarzy Jean.

– Coś się stało? – spytał.

– Zaginęła Laura – odparła Jean, słysząc drzenie we własnym głosie. – Nie spała w swoim pokoju. Może nic jej nie jest, ale jeszcze wczoraj mówiła, że chce się z nami spotkać dziś rano. Strasznie się martwię.

– Rzeczywiście, była zdecydowana przyjść na pożegnalny lunch, kiedy rozmawiała wczorajszego wieczoru z Jackiem Emersonem – przyznał Gordon. – Mówiłem ci już, że traktowała mnie raczej ozięble po tym, jak oznajmiłem, że nie ma najmniejszej szansy na rolę w nowym serialu.

Sam, który uważnie przysłuchiwał się ich rozmowie, przedstawił się Gordonowi.

– Musimy pamiętać, że Laura Wilcox jest osobą dorosłą i ma prawo zmienić decyzję. Jeśli chciała opuścić hotel, to jej sprawa. Mimo to rozsądek nakazuje sprawdzić, czy ktokolwiek z pracowników hotelu lub ktoś ze znajomych znał jej plany.

– Przepraszam, że musiał pan czekać, panie Amory – rzekł recepcjonista. – Pański rachunek jest gotowy.

Gordon Amory zawahał się, po czym spojrzał na Jean.

– Myślisz, że Laurze przydarzyło się coś złego, prawda?

– Tak, Laura była bliską przyjaciółką Alison. Nie opuściłaby nabożeństwa za jej duszę.

– Czy mój pokój jest jeszcze wolny? – spytał Amory recepcjonistę.

– Oczywiście, proszę pana.

– Wobec tego zostanę, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o pani Wilcox.

Odwrócił się do Jean, ona zaś uświadomiła sobie nagle, że Gordon Amory stał się bardzo

przystojnym mężczyzną. W dawnych latach zawsze było mi go żal, pomyślała. Był żalosiwą życiową ofermą. Zmienił się diametralnie.

– Jean, wiem, że wczoraj wieczorem sprawiłem Laurze przykrość, zachowałem się paskudnie. Pewnie w rewanżu za to, jak mnie traktowała, kiedy byliśmy młodzi. Mogłem przecież obiecać jej jakąś rolę w tym serialu, choćby drugoplanową. Musi być na mnie wściekła i dlatego nie pokazała się dziś rano. Założę się, że wróci, a wtedy zaproponuję jej pracę. I zamierzam uczynić to osobiście.

## Rozdział szósty

Ciało Helen Whelan odnaleziono w niedzielę o wpół do szóstej po południu w lesie koło Washingtonville, miasta oddalonego o około dwudziestu pięciu kilometrów od Surrey Meadows. Odkrycia dokonał dwunastoletni chłopiec, który szedł przez las do przyjaciela.

Sam otrzymał tę informację, gdy kończył przesłuchiwać pracowników Glen-Ridge House. Okazało się, że nikt nie widział, kiedy Laura Wilcox opuściła hotel. Zadzwoił do pokoju Jean, która poszła na górę, żeby zatelefonować do Marka Fleischmana, Cartera Stewarta i Jacka Emersona, w nadziei, że któryś z nich wie coś na temat Laury. Widziała się już w holu z Robbym Brentem, ale on nie miał pojęcia, co się mogło stać z Laurą.

– Jean, muszę jechać – rzekł Sam. – Udało ci się kogoś złapać?

– Rozmawiałam z Carterem. Jest bardzo zaniepokojony, ale nie wie, co z Laurą. Powiedziałam mu, że umówiłam się z Gordonem na kolację. Zamierza się do nas przyłączyć. Może wspólnie do czegoś dojdziemy. Jacka Emersona nie ma w domu. Zostawiłam mu wiadomość na sekretarce. Markowi Fleischmanowi również.

– W tej chwili nic więcej nie da się zrobić – stwierdził Sam. – Jeśli do rana Laura nie odezwie się do nikogo, zdobędę nakaz przeszukania jej pokoju i zobaczymy, czy nie zostawiła jakiejś informacji. Na razie musimy cierpliwie czekać.

Sam wyłączył komórkę i udał się spieszenie do samochodu. Nie chciał mówić Jean, że jedzie w miejsce, gdzie znaleziono zwłoki innej zaginionej kobiety.

Helen Whelan uderzono ciężkim przedmiotem w tył głowy i kilkakrotnie dźgnięto nożem.

– Prawdopodobnie zadał jej cios tym samym tępym narzędziem, którym zmasakrował psa – poinformował Sama lekarz sądowy, Cal Grey. Ciało zostało umieszczone w foliowym worku, policjanci w świetle reflektorów przeczesywali ogrodzony sznurem teren. Szukali śladów pozostawionych przez mordercę.

– Ubranie nie jest podarte – zauważył Sam.

– Jest nienaruszone. Przypuszczam, że napastnik przywiózł ją tutaj i tu zabił. Nadal ma skrępowane smyczą ręce w nadgarstkach.

– Dobra, Cal – rzekł Sam. – Spotkamy się u ciebie.

Gdy Sam jechał do gabinetu lekarza sądowego, uderzyła go nagle bezsensowność śmierci Helen Whelan. Poczul silne ukłucie w boku. Tak było zawsze, kiedy stykał się z przemocą. Dopadnę

tego faceta i własnoręcznie założę mu kajdanki, pomyślał ponuro. Przed oczami miał fotografię roześmianej Helen Whelan. Widział ją w jej mieszkaniu. Była o dwadzieścia lat starsza od Karen Sommers, ale zginęła w taki sam sposób – zasztyletowana. Czy to możliwe, że ten sam szaleniec czaił się w ukryciu przez tyle lat?

Wszystko jest możliwe, pomyślał.

Dotarł wreszcie do gabinetu lekarza sądowego, zaparkował i wszedł do środka. Zapowiadała się długa noc, a po niej długi dzień. Musi skontaktować się z rodzinami pięciu nieżyjących absolwentek Stonecroft – by poznać szczegóły związane z ich śmiercią. Musi też się dowiedzieć, co przydarzyło się Laurze Wilcox.

Lekarz sądowy dotarł na miejsce kilka sekund po nim, podobnie ambulans ze zwłokami Helen Whelan. Pół godziny później Sam oglądał przedmioty znalezione przy ofierze. Prawdopodobnie nie miała przy sobie torebki, ponieważ klucze od domu znajdowały się w prawej kieszeni kurtki.

Na stole, obok kluczy, leżał jeszcze jeden drobiazg – mała cynowa sowa. Sam wziął od technika pęsetę, podniósł nią sowę i przyjrzał się jej uważnie. Patrzyły na niego zimne, szeroko otwarte oczy.

– Była na samym dnie kieszeni spodni – wyjaśnił technik. – Mało brakowało, a przeoczyłbym ją.

Sam przypomniał sobie, że w mieszkaniu Helen Whelan widział w przedpokoju papierowy szkielet.

– Szykowała dekoracje na Halloween – powiedział. – To zapewne ich część. Powkładaj te rzeczy do plastikowych toreb.

Po czterdziestu minutach przyglądał się, jak jeden z techników bada ubranie Helen Whelan pod mikroskopem, szukając czegokolwiek, co mogłoby pomóc w zidentyfikowaniu zabójcy. Inny sprawdzał odciski palców na kluczach.

– Wszystkie należą do niej – stwierdził, po czym podniósł pęsetą cynową sowę: – To dziwne – rzekł po chwili. – Na tym przedmiocie nie ma żadnych odcisków palców, nawet zatartych. Co o tym sądzisz? Przecież sowa nie weszła sama do jej kieszeni. Musiał ją tam włożyć ktoś, kto nosił rękawiczki.

Sam Deegan zamyślił się. Czy zabójca zostawił sowę celowo? Był pewien, że tak.

– Zachowamy to w tajemnicy – warknął. Jeszcze raz podniósł sowę pęsetą i utkwiał w niej wzrok. – Zaprowadzisz mnie do tego faceta – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie wiem jeszcze, w jaki sposób, ale zaprowadzisz.

Umówili się w sali restauracyjnej o siódmej wieczorem. Jean w ostatniej chwili przebrała się



w granatowe spodnie i jasnoniebieski sweter, po czym weszła do łazienki, by poprawić makijaż i wyszczotkować włosy. Stała chwilę przed lustrem ze szczotką w dłoni, przyglądając się swemu odbiciu. Kto był tak blisko Lily, że udało mu się zabrać jej szczotkę?

A może Lily jakimś cudem zdołała mnie odszukać i teraz karze mnie za to, że ją porzuciłam? – myślała Jean z udręką. Lecz instykt powiedział jej natychmiast, że Lily nie mogłaby być tak okrutna. To ktoś inny, ktoś, kto chce mnie zranić. Zażądaj pieniędzy, modliła się cicho. Oddam ci wszystko, tylko nie rób jej krzywdy.

Wróciła spojrzeniem do lustra. Kilkakrotnie mówiono jej, że przypomina z wyglądu Katie Couric, prowadzącą program „Today”, i to porównanie sprawiało jej przyjemność. Czy Lily jest podobna do mnie? – zastanawiała się. A może raczej do Reeda? Reed miał niebieskie oczy, ja też. Nasza córka z pewnością ma takie same.

Często zdarzało jej się tak spekulować. Jean westchnęła, odłożyła szczotkę, zgasiła światło i zeszła na dół.

Gordon Amory, Robby Brent i Jack Emerson siedzieli już przy stoliku w prawie pustej sali restauracyjnej. Jack odsunął krzesło obok siebie, zapraszając Jean.

– Cartera jeszcze nie ma – powiedział – ale zamówiliśmy już drinki. Dla ciebie, Jeannie, chardonnay.

– Świetnie. Dziękuję.

Po dwudziestu minutach, gdy zastanawiali się, czy zamówić coś do jedzenia, zjawił się wreszcie Carter.

– Przepraszam, że musieliście na mnie czekać, ale nie spodziewałem się, że tak prędko odbędzie się nasz następny zjazd – oznajmił sucho, podchodząc do stolika. Zdążył przebrać się w dżinsy i bawełnianą bluzę z kapturem.

– Nikt się nie spodziewał – przyznał Gordon Amory. – Zamów sobie coś do picia. Chcielibyśmy przejść do rzeczy.

Carter skinął głową. Przywołał kelnera i wskazał mu martini, które pił Jack.

– Mów dalej – powiedział do Gordona.

– Zacznę od tego, że wierzę i mam nadzieję, iż nasz niepokój o Laurę jest bezpodstawny – rzekł Gordon, zwracając się do Jacka Emersona. – Posłuchaj, Jack, tylko ty masz dom w mieście i mogłeś zaprosić Laurę na małe tetea-tete.

Rumiana twarz Emersona spochmurniała.

– Mam nadzieję, że to był żart, Gordonie.

– Nie zamierzam odbierać Robby’emu chleba – odparł Gordon, częstując się oliwką z salaterki, którą kelner postawił na stole. – Ale tak, żartowałem.

Jean uznała, że czas zmienić temat.

– Zostawiłam Markowi wiadomość – powiedziała. – Oddzwonił, zanim jeszcze zesłam na dół. Jeśli Laura nie odezwie się do jutra, Mark zmieni rozkład zajęć i wróci do Cornwall.

– Podkochiwał się w Laurze, kiedy byliśmy dziećmi – zauważył Robby. – Nie zdziwiłbym się, gdyby mu nie przeszło do tej pory. Wczoraj wieczorem zrobił wszystko, żeby usiąść obok niej. Zamienił nawet tabliczki na bankietowym stole.

A zatem dlatego tak mu spieszo z powrotem – Jean uświadomiła sobie, że przypisała jego słowom zbyt duże znaczenie.

– Jeannie – powiedział Robby – jeśli cokolwiek przydarzyło się Laurze, może to oznaczać, że dziewczęta, które zwykle siadywały przy waszym stoliku w stołówce, giną według jakiegoś okropnego schematu. Musisz zdać sobie z tego sprawę.

A ja sądziłam, że martwi się o mnie, pomyślała. Poczła ulgę, kiedy kelner, starszy drobny mężczyzna, zaczął rozdawać im karty dań.

– Pozwolą państwo, że zaproponuję nasze danie dnia? – spytał.

Robby spojrział na niego z uśmiechem.

– Nie mogę się doczekać – mruknął.

– Filet mignon, sola faszerowana mięsem krabów... Kiedy skończył wyliczanie, Robby spytał:

– Czy zwyczajem tej restauracji jest przyrządzanie dania dnia z wczorajszych resztek?

– Ależ proszę pana – kelner odparł wzburzonym tonem – pracuję tutaj od czterdziestu lat i jesteśmy ogromnie dumni z naszej kuchni.

– Mniejsza o to, mniejsza o to, proszę się nie przejmować. To tylko żart dla rozluźnienia atmosfery. Jean, ty pierwsza.

– Sałatka Cezar i średnio wysmażony kotlet jagnięcy – powiedziała Jean cicho. Robby jest nie tylko sarkastyczny, pomyślała. Jest okropny. Lubi ranić ludzi, którzy nie mogą odplacić mu pięknym za nadobne. Mówi, że Mark kochał się w Laurze, a przecież nikt nie był w niej zadurzony bardziej niż on.

Nagle przyszła jej do głowy niepokojąca myśl. Robby ma mnóstwo pieniędzy. Jest sławnym komikiem. Gdyby zaproponował Laurze spotkanie, bez wątpienia by się zgodziła, wiem, że by się zgodziła. Ostatni składał zamówienie Jack Emerson.

– Obiecałem kilku przyjaciołom – rzekł, oddając kartę kelnerowi – że wpadnę na kielicha, przejdźmy więc do rzeczy. Zastanówmy się, komu, naszym zdaniem, Laura poświęciła najwięcej uwagi. Czy macie jakieś sugestie?

– Co powiecie na naszego nieobecnego odznaczzonego, Marka Fleischmana? – spytał Robby. – Nie odstępował Laury na krok.

Jack Emerson uniósł brwi.

– Przyszło mi właśnie na myśl, że Mark miał wolną chatę, mógł więc zaprosić Laurę. Jego ojciec wyjechał z miasta. W zeszłym tygodniu spotkałem Cliffa Fleischmana na poczcie i spytałem, czy przyjdzie zobaczyć, jak odznaczają jego syna. Odparł, że dawno już zaplanował wizytę u przyjaciół w Chicago, ale że zadzwoni do Marka. Może zaproponował mu, żeby zatrzymał się w rodzinnym domu. Cliff wraca dopiero we wtorek.

– Wobec tego pan Fleischman musiał zmienić zdanie – oznajmiła Jean.

– Mark mówił mi, że kiedy przejeżdżał obok swojego dawnego domu, paliły się w nim światła.

– Cliff Fleischman zawsze zostawia zapalone światła, jak wyjeżdża – wyjaśnił Emerson. – Uważa, że ciemne okna zdradzają, iż nikogo nie ma w domu.

Gordon odłamał kawałek chleba.

– Wydaje mi się, że Mark zerwał stosunki z ojcem.

– To prawda i nawet wiem dlaczego – zgodził się Emerson. – Po śmierci matki Marka jego ojciec zwolnił gosposię, która potem pracowała u nas. Była straszną plotkarką i zdradziła nam całą prawdę o Fleischmanach. Wszyscy wiedzieli, że ich starszy syn, Dennis, był oczkiem w głowie matki. Nigdy nie doszła do siebie po jego śmierci i obwiniała młodszego syna o ten wypadek. Samochód stał na szczycie długiego podjazdu. Mark od dawna zamęczał Dennisa, żeby nauczył go prowadzić. Chłopak miał zaledwie trzynaście lat i nie wolno mu było uruchamiać silnika, jeśli nie było przy nim Dennisa. Tamtego popołudnia włączył silnik, a potem, wysiadając, zapomniał zaciągnąć ręczny hamulec. Dennis nie usłyszał staczającego się z góry auta...

– Może Mark utrzymywał jednak kontakty z ojcem – powiedział cicho Carter Stewart. – Może wciąż miał klucze do domu i wiedział, że ojciec wyjechał.

Czy Mark skłamał, mówiąc, że wraca do Bostonu? – zastanawiała się Jean. Czy to możliwe, że został w miasteczku z Laurą? Nie chcę w to wierzyć, przyznała w duchu.

Jack Emerson przyniósł listę uczestników zjazdu. W końcu postanowili, że każde z nich zadzwoni do kilku osób i spyta, dokąd ich zdaniem mogła wybrać się Laura.

Opuścili salę restauracyjną, ustalając, że odezwą się do siebie rano. Carter Stewart i Jack Emerson poszli do swoich samochodów. W holu Jean powiedziała Gordonowi Amory'emu i Robby'emu Brentowi, że ma coś do załatwienia w recepcji.

– Wobec tego cię pożegnam – odparł Gordon. – Muszę jeszcze zadzwonić w kilka miejsc.

– Przecież to niedzielny wieczór, Gordie – skrzywił się Robby. – Co jest tak ważnego, że nie może zaczekać do rana?

Gordon Amory spiorunował go wzrokiem.

– Wolałbym, by zwracano się do mnie Gordon – rzekł cicho. – Dobranoc, Jean.

– Okropnie się pyszni swoją śliczną nową buźką – powiedział Robby, odprowadzając wzrokiem Gordona, idącego w kierunku windy. – Ten chirurg plastyczny to prawdziwy geniusz, Jeannie. Pamiętasz, jak idiotycznie wyglądał Gordie, kiedy był dzieciakiem?

– To, że potrafił tak diametralnie zmienić swoje życie, świadczy o jego wewnętrznej sile – stwierdziła Jean. – Przeżył koszarne chwile w wieku dorastania.

– Jak my wszyscy – rzekł lekceważącym tonem Robby. – Poza naszą zaginioną królową piękności. – Wzruszył ramionami. – Idę po kurtkę i trochę się przespaceruję. Nie gimnastykowałem się przez cały weekend. Tutejsza sala gimnastyczna to kompletne dno.

– Czy istnieją jakieś rzeczy, które w twojej opinii nie są kompletnym dnem? – spytała ostro Jean.

– Bardzo niewiele – odparł Robby wesoło. – Wyglądałaś na przygnębioną, Jean, kiedy mówiliśmy o tym, iż Mark przez cały weekend kręcił się koło Laury. Widziałem, że podrywał też ciebie. Trudno rozgryźć tego faceta. Tak to już jest, że psychiatrzy mają większego świra niż ich pacjenci. Jeśli Mark rzeczywiście zwołał hamulec w samochodzie, na skutek czego zginął jego brat, to ciekawe, czy zrobił to celowo. Świadomie lub podświadomie. Zastanów się nad tym.

Machnął jej dłonią na pożegnanie i ruszył w stronę windy. Jean, wściekła i upokorzona, że tak trafnie ocenił jej reakcję na uwagi o Marku i Laurze, podeszła do recepcji. Dyżur pełniła Amy Sachs, drobna kobieta o cichym głosie, krótko ostrzyżonych szpakowatych włosach i ogromnych okularach na nosie.

– Och, doktor Sheridan, przyszedł do pani faks – powiedziała do Jean, sięgając po kopertę, leżącą na półce za kontuarem.

Jean rozerwała kopertę, czując nagłą suchość w ustach.

Wiadomość składała się z sześciu słów: „Lepiej chwast wachać niżli lilię zgniłą”.

Zgniła lilia, pomyślała Jean. Martwa lilia.

Oszołomiona, poszła na górę do swego pokoju i zadzwoniła do Sama Deegana.

– Co się stało, Jean? Miałaś jakąś wiadomość od Laury? – z nadzieją spytał Sam.

– Nie, chodzi o Lily. Kolejny faks.

– Przeczytaj mi go.

Drżącym głosem przeczytała mu złowróbnę zdanie:

– Sam, to cytat z sonetu Szekspira. Mówi o umarłej lilii. Ktokolwiek go przysłał, grozi, że zabije moje dziecko. Co mam zrobić, żeby go powstrzymać? – krzyknęła, słysząc coraz bardziej histeryczne tony we własnym głosie. – Co mam zrobić?!

Zapewne otrzymała już faks. Wciąż nie wiedział, dlaczego taką przyjemność sprawia mu dręczenie Jean. Zwłaszcza teraz, kiedy postanowił, że ją również zabije. Po co sypać sól na rany, strasząc ją zabiciem Meredith, czy też Lily, jak Jean nazywa córkę? Przez prawie dwadzieścia lat to, że poznał tajemnicę jej narodzin oraz adopcji, wydawało mu się kompletnie nieprzydatne.

Dopiero gdy w zeszłym roku spotkał przybranych rodziców dziewczyny i zorientował się, kim są, zadbał o to, by się z nimi zaprzyjaźnić. W sierpniu zaprosił ich na weekend razem z Meredith. Właśnie wtedy przyszedł mu do głowy pomysł, by zabrać dziewczynie coś, na podstawie czego można by zbadać jej DNA.

Okazało się to niezwykle proste. Wszyscy byli przy basenie, a gdy Meredith szczotkowała włosy po kąpiel, zadzwonił jej telefon komórkowy. Odeszła na bok, żeby swobodnie porozmawiać. On zaś schował szczotkę do kieszeni i zaczął krążyć wśród innych gości. Nazajutrz wysłał szczotkę do Jean wraz z pierwszą wiadomością.

Władza nad życiem i śmiercią. Doświadczyło jej pięć z siedmiu dziewcząt, które jadały razem lunch w szkolnej stołówce. I wiele innych, przypadkowo wybranych kobiet. Zastanawiał się, kiedy znajda ciało Helen Whelan. Czy dobrze zrobił, wkładając jej do kieszeni cynową sowę? Do tej pory zostawiał figurkę w miejscach, gdzie nie rzucała się w oczy. Tak jak w zeszłym miesiącu, kiedy czekając na Alison, wsunął sowę do dolnej szuflady komody stojącej w pawilonie przy basenie.

Światła w domu były pogaszone. Wyjął z kieszeni okulary noktowizyjne, włożył je i wszedł do środka przez kuchenne wejście. Zamknął drzwi na zasuwę i przeszedłszy przez kuchnię do schodów, zaczął bezszelestnie wstępować na piętro.

Laura była w swojej dawnej sypialni, w domu, w którym mieszkała do szesnastego roku życia, zanim Wilcoxowie przeprowadzili się na Concord Avenue. Leżała na łóżku, zakneblowana, ze skrępowanymi rękami i nogami, jej złota suknia wieczorowa lśniła w ciemności.

Nie słyszała, jak wchodzi do pokoju, a gdy pochylił się nad nią, wstrzymała oddech.

– Wróciłem, Lauro – powiedział cicho. – Nie cieszysz się? Próbowała odwrócić się do ściany.

– Je-je-je-jestem s-s-s-sową i m-m-m-miesz-k-kaam n-n-n-na drzewie – szeptał. – Świetnie się bawiłaś, przedrzeźniając mnie, prawda? Czy teraz też wydaje ci się to zabawne, Lauro? No, jak?

Dostrzegł przerażenie w jej oczach.

– Tak, znów uważasz, że to świetna zabawa, Lauro. Wszystkie tak uważacie. Pokaż mi, że twoim zdaniem jest to zabawne. Pokaż.

Zaczęła kiwać głową, w górę i w dół, w górę i w dół. Szybkim ruchem wyjął jej knebel.

– Nie podnoś głosu, Lauro – ostrzegł ją. – Nikt cię nie usłyszy, a jeśli krzykniesz, przycisnę ci do twarzy poduszkę. Rozumiesz?

– Proszę – błagała szeptem Laura. – Proszę...

– Nie, Lauro, nie chcę, żebyś mówiła „proszę”. Chcę, żebyś parodiowała mój występ na scenie, chcę, byś się śmiała.

– Je... je-je-je-jestem s-s-s-sową i m-m-m-miesz-k-ka-am n-n-n-na drzewie.

Pokiwał głową z aprobatą.

– Jesteś świetną parodystką. Teraz udawaj, że siedzisz z dziewczętami przy stoliku w stołówce, chichoczesz, natrząsas się ze mnie, po prostu pękasz ze śmiechu. Chcę widzieć, jak bawiłyście się moim kosztem.

Laura wybuchnęła rozpaczliwym śmiechem – piskliwym, histerycznym. Łzy popłynęły jej z oczu. –Proszę... Położył jej dłoń na ustach.

– Chciałaś wymówić moje imię. To zabronione. Możesz nazywać mnie wyłącznie Sową. Teraz rozwiążę ci ręce i będziesz mogła coś zjeść. Przyniosłem ci zupę i bułkę. Potem pozwolę ci skorzystać z łazienki. Następnie zadzwonię do hotelu z mojego telefonu komórkowego. Zawiadomisz recepcję, że jesteś u przyjaciół i prosisz o zatrzymanie twojego pokoju. Rozumiesz, Lauro?

– Tak – odparła ledwie słyszalnym szeptem.

– Jeśli spróbujesz wezwać pomoc, umrzesz.

Po dwudziestu minutach w recepcji Glen-Ridge House zadzwonił telefon. Recepcjonistka podniosła słuchawkę.

– Recepcja Glen-Ridge House, tu Amy Sachs. – Recepcjonistka wydała stłumiony okrzyk zdziwienia. – Och, pani Wilcox, wszyscy tak bardzo się o panią martwiliśmy! Oczywiście, zatrzymamy dla pani pokój. Czy na pewno nic się nie stało?

Sowa przerwał połączenie.

– Świetnie się spisałaś, Lauro. Z twego głosu przebijało wprawdzie zdenerwowanie, ale to naturalne. – Zakneblował jej z powrotem usta. – Spróbuj się trochę przespać.

Całe niedzielne popołudnie Jake Perkins spędził w holu Glen-Ridge House. Poszedł do domu na kolację, ale o dziesiątej wrócił na swój posterunek w hotelu, ucieszony, że za kontuarem recepcji zastał Amy Sachs.

Amy go lubiła, wiedział o tym. Kiedy minionej wiosny pisał relację z lunchu dla szkolnej gazety, powiedziała, że jest podobny do jej młodszego brata.

– Jedyne różnica polega na tym, że Danny ma czterdzieści sześć lat, a ty szesnaście – powiedziała, śmiejąc się.

Jake zdał sobie sprawę, że ta pozornie zahukana kobieta ma ogromne poczucie humoru i jest naprawdę bystra. Przywitała go nieśmiałym uśmiechem.

– Cześć, Jake.

– Cześć, Amy. Były jakieś wiadomości od Laury Wilcox?

– Ani słowa. – Właśnie w tej chwili zadzwonił stojący na kontuarze telefon. Amy podniosła słuchawkę. – Recepcja Glen-Ridge House, tu Amy Sachs. – Wyraz twarzy gwałtownie się zmienił: – Och, pani Wilcox...

Jake pochylił się nad biurkiem i skinął na Amy, by odsunęła trochę słuchawkę od ucha – w ten sposób on również słyszał, jak Laura wyjaśniała, że jest u przyjaciół, nie ma jeszcze bliżej określonych planów i że prosi o zatrzymanie jej pokoju.

Jest zdenerwowana, pomyślał. Głos jej drży.

Kiedy Amy odłożyła słuchawkę, wymienili z Jakiem spojrzenia.

– Gdziekolwiek jest, nie bawi się zbyt dobrze – powiedział.

– Może po prostu ma kaca – podsunęła Amy.

– To by wszystko wyjaśniało – przyznał Jake, wzruszając ramionami. Amy otworzyła szufladę i wyjęła z niej wizytówkę.

– Obiecałam panu Deeganowi, że zadzwonię do niego, jeśli Laura Wilcox się odezwie.

– Pójdę już – oświadczył Jake. – Do zobaczenia, Amy. – Ruszył do drzwi frontowych, gdy wybierała numer. Wszedł na dwór i uczyniwszy kilka kroków w stronę samochodu, wrócił do recepcji.

– Udało ci się złapać Deegana?

– Tak. Powiedziałałam mu, że pani Wilcox zatelefonowała. Odparł, że to dobra nowina i poprosiłbym dała mu znać, kiedy wróci do hotelu.

– Tego się właśnie obawiałem. Daj mi numer telefonu Deegana.

– Po co? – spytała zaniepokojona Amy.

– Ponieważ moim zdaniem Laura Wilcox była raczej przerażona niż skacowana, i Sam Deegan powinien o tym wiedzieć.

Pierwszą reakcją Sama Deegana po rozmowie z Amy Sachs była myśl, że Laura Wilcox jest straszliwą egoistką, która nie przyszła na nabożeństwo w intencji zmarłej przyjaciółki i pozwoliłaby wszystkim się o nią martwić. Po chwili pomyślał jednak, że w niejasnej historyjce, którą opowiedziała recepcjonistce, jest coś niepokojącego i podejrzanego. Przyczyniła się do tego uwaga Amy, że Laura wydawała się zdenerwowana albo skacowana.

Wrażenie to spotęgował jeszcze telefon od Jake’a Perkinsa. Chłopak stanowczo twierdził, że w głosie Laury brzmiało przerażenie.

– Czy potwierdzasz słowa Amy Sachs, że Laura Wilcox zadzwoniła do hotelu dokładnie o dwudziestej drugiej trzydzieści? – spytał go Sam.

– Tak – potwierdził Jake. – Czy myśli pan o namierzeniu numeru, z którego dzwoniła?

– Owszem.

– Będę miał nadal oczy i uszy otwarte – rzekł Jake. – Z przyjemnością będę zbierał dla pana informacje.

– W porządku – odparł Sam z irytacją. Chłopak strasznie się mądrzył. Miał jednak dobre chęci i starał się mu pomóc. Deegan dodał więc: – Dzięki, Jake.

Wyłączył telefon. Musi zawiadomić Jean, że Laura skontaktowała się z hotelem, oraz zdobyć od sędziego nakaz sprawdzenia hotelowego rejestru rozmów telefonicznych. Wiedział, że w Glen-Ridge mają identyfikator numeru dzwoniącego. A kiedy już będzie miał ten numer, zwróci się do operatora sieci telefonicznej o podanie nazwiska abonenta oraz o zlokalizowanie przekaźnika, z którego korzystał.



## Rozdział siódmy

Wiedziała, że ją zabije. Pytanie tylko kiedy. Mimo przerażenia zasnęła po jego wyjściu. Światło sączyło się przez opuszczone żaluzje, zapewne więc nastał już ranek. Jest poniedziałek czy wtorek? – zastanawiała się Laura.

W sobotę wieczorem, kiedy przywiózł ją tutaj, nalał do kieliszków szampana i powiedział:

– Zbliża się Halloween. Spójrz, jaką maskę kupiłem.

Miał na twarzy maskę sowy – ogromne oczy z szerokimi czarnymi źrenicami, osadzonymi w ohydnie żółtych tęczówkach. Otoczone kępkami szarawego puchu, który stawał się ciemnobrązowy u nasady ostrego dzioba i wokół wąskich warg. Roześmiałam się, przypomniała sobie Laura, ponieważ sądziłam, że tego właśnie oczekuje. Wyczułam jednak, że coś się z nim stało – zmienił się. Zanim jeszcze zdjął maskę i chwycił mnie za rękę, wiedziałam, że wpadłam w pułapkę.

Zawlókł ją na górę, skrępował ręce i nogi, zatkał usta kneblem. Potem przewiązał ją w pasie linką, którą przymocował do ramy łóżka.

– Widziałaś kiedyś „Kochaną mamuszkę”? – spytał. – Joan Crawford przywiązywała dzieci do łóżka, by mieć pewność, że w nocy nie wstaną. Nazywała to „bezpiecznym snem”.

Wychodząc, celowo położył telefon komórkowy na toaletce.

– Tylko pomyśl, Lauro. Jeśli uda ci się dosięgnąć telefonu, będziesz mogła wezwać pomoc. Ale nie rób tego. Linka zaciśnie się, jeśli będziesz próbowała się uwolnić. Możesz mi wierzyć na słowo.

Mimo to spróbowała i teraz jej nadgarstki i kostki u nóg przeszywał pulsujący ból. O Boże, błagam, pomóż mi, myślała ogarnięta paniką, walcząc z falą mdłości.

Gdy wrócił po raz pierwszy, w pokoju było jeszcze dość widno. Obliczyła, że musiało to być niedzielne popołudnie. Rozwiązał jej ręce, przyniósł zupę i bułkę, pozwolił pójść do łazienki. Minęło sporo czasu, zanim przyszedł ponownie. Było bardzo ciemno, pewnie zapadł już zmrok. Wtedy właśnie kazał jej zadzwonić.

Sobotni wieczór. Niedzielny ranek. Niedzielny wieczór. Teraz pewnie jest poniedziałek rano. Utkwiła wzrok w telefonie komórkowym. Nie uda mi się go dosięgnąć, pomyślała. Nie ma mowy. Może ktoś się domyśli, że grozi mi niebezpieczeństwo. Może zaczną mnie szukać. Potrafią przecież namierzać rozmowy z telefonów komórkowych. Może ustalą, do kogo należy aparat, z którego kazał jej rozmawiać. Ta nikła nadzieja przyniosła jej niewielką ulgę.

– Wróciłem, Lauro.

Nie słyszała jego kroków. Mimo że wciąż miała usta zatłkane kneblem, jej krzyk rozdarł ciszę pokoju, w którym mieszkała przez szesnaście lat swego życia.

Jean obudziła się w poniedziałek rano z niezłomnym postanowieniem, że podejmie wszelkie działania, by odnaleźć Lily. Ta determinacja nieco złagodziła uczucie bezsilności. Wzięła prysznic i ubrała się szybko. Włożyła swój ulubiony czerwony sweter z golfem i ciemnoszare spodnie.

Wkładając kolczyki, uznała, że przypuszczenie Sama Deegana, iż u podłoża grózb pod adresem Lily leży chęć wymuszenia pieniędzy, jest całkiem prawdopodobne.

– Jean – powiedział wczoraj – twierdzisz, że nie zwierzyłaś się nikomu ze swojej tajemnicy. Ale ktoś najwyraźniej odkrył, że masz dziecko. Równie dobrze mogło się to zdarzyć niedawno, jak i dziewiętnaście lat temu, kiedy urodziła się twoja córeczka. Kto wie? Spróbuj sobie przypomnieć, czy widziałaś kogoś w gabinecie doktora Connorsa podczas tamtej pamiętnej wizyty. Może pielęgniarkę albo sekretarkę, która domyśliła się, dlaczego tam przyszedłeś i która była na tyle wścibska, by dowiedzieć się, dokąd zabrano twoje dziecko. Nie zapominaj, że jesteś teraz sławna, twoja książka znalazła się na liście bestsellerów. Idę o zakład, że ktoś, kto ma dostęp do Lily, postanowił cię szantażować.

Pielęgniarka doktora Connorsa była pulchną wesołą kobietą koło pięćdziesiątki, przypominała sobie Jean. Peggy. Tak miała na imię. Nazwisko miała chyba... irlandzkie. Zaczynało się na literę K. Kelly... Kimball. Peggy Kimball. Właśnie tak!

Jean otworzyła szufladę i wyjęła z niej książkę telefoniczną. Znalazła w niej kilku Kimballów, postanowiła jednak, że najpierw spróbuje zadzwonić pod numer należący do Stephena i Margaret Kimball.

Włączyła się automatyczna sekretarka. Odezwał się kobiecy głos: „Cześć. Steve’a i Peggy nie ma w tej chwili w domu. Po sygnale zostaw wiadomość i swój numer telefonu. Oddzwonimy”.

Czy to możliwe, bym po dwudziestu latach pamiętała ten głos? – zastanawiała się Jean.

– Peggy, mówi Jean Sheridan – powiedziała, starannie dobierając słowa. – Jeśli dwadzieścia lat temu pracowała pani jako pielęgniarka w gabinecie doktora Connorsa, zależy mi ogromnie na rozmowie z panią. Bardzo proszę, by zadzwoniła pani do mnie na ten numer możliwie szybko.

Otworzyła książkę telefoniczną na literze C. Gdyby doktor Connors żył, miałby teraz co najmniej siedemdziesiąt pięć lat. Jego żona była pewnie w zbliżonym wieku. Może jej numer figuruje w książce. Doktor mieszkał kiedyś przy Winding Way. Jean znalazła pod tym adresem panią Dorothy Connors. Pełna nadziei, wybrała numer. Telefon odebrała starsza kobieta o dźwięcznym głosie. Po kilku minutach rozmowy Jean była umówiona z panią Connors na wpół do dwunastej.

Tego samego ranka, o wpół do jedenastej, Sam Deegan zjawił się w biurze Richa Stevensa, prokuratora okręgowego hrabstwa Orange, by poinformować go o zaginięciu Laury Wilcox oraz o

groźbach pod adresem Lily.

– O pierwszej w nocy uzyskałem zezwolenie na dostęp do rejestru rozmów telefonicznych w Glen-Ridge House – powiedział Sam. – Zarówno recepcjonistka, jak i ten chłopak ze Stonecroft twierdzą, że dzwoniła tam Laura Wilcox. Oboje są zgodni co do tego, że była wyraźnie zdenerwowana. Z rejestrów hotelowych wynika, że na identyfikatorze wyświetlił się prefiks 917, co oznacza, że telefonowała z komórki. Wczoraj wieczorem uzyskałem również nakaz ujawnienia nazwiska i adresu abonenta, musiałem jednak poczekać do dziewiątej rano, kiedy otwierają biuro operatora sieci telefonicznej.

– I czego się dowiedziałeś? – spytał Stevens.

– Upewniłem się, że Wilcox rzeczywiście ma kłopoty. Dzwoniono z aparatu, który kupuje się razem z kartą na sto minut rozmów. Po wyczerpaniu limitu po prostu się go wyrzuca.

– Z takich właśnie korzystają terroryści – mruknął Stevens.

– Albo, jak w tym przypadku, ewentualny porywacz. Przekąźnik znajduje się w Beacon, w hrabstwie Dutchess. Rozmawiałem już z naszymi technikami. W przypadku kolejnej rozmowy, będziemy mogli wyznaczyć odległość i zlokalizować miejsce, skąd telefonowano. Moglibyśmy to zrobić, gdyby telefon był włączony, ale niestety tak nie jest.

Sam przedstawił proponowane działania.

– Chcę zdobyć listę wszystkich absolwentów, którzy wzięli udział w zjeździe koleżeńskim. Może znajdziemy kogoś, kto ma na swoim koncie akty przemocy. Muszę porozmawiać z krewnymi pięciu nieżyjących kobiet.

– Pięć z siedmiu, które siadywały przy jednym stoliku, nie żyje, a szósta zaginęła – rzekł z niedowierzaniem Rich Stevens. – Na twoim miejscu zacząłbym natychmiast od tej ostatniej. To świeża sprawa. Jeśli gliniarze z LA dowiedzą się o innych kobietach, przyjrzą się wszystkiemu bardzo dokładnie. Zażądamy raportów policyjnych dotyczących każdego z tych przypadków.

– Kancelaria szkolna Stonecroft przysła listę uczestników zjazdu koleżeńkiego, jak również innych osób, które były na bankiecie – rzekł Sam. – Są w posiadaniu adresów oraz numerów telefonów wszystkich absolwentów i niektórych mieszkańców miasta obecnych na przyjęciu. – Sam był tak zmęczony, że nie potrafił opanować ziewania.

Czas naglił. Prokurator okręgowy nie zaproponował swojemu doświadczonemu śledczemu, by się trochę przespał.

– Myślę, że chciałbyś zabrać się od razu do pracy, Sam – rzekł.

Sowa przedzemał z przerwami noc z niedzieli na poniedziałek. Po pierwszej wizycie u Laury, o wpół do jedenastej, udało mu się złapać chwilę wytchnienia. Gdy odwiedził ją po raz drugi o

świcie, odczuł głęboką satysfakcję, słysząc jej błagalne prośby o litość – litość, której ona mu odmówiła w szkolnych latach, co zresztą jej wypomniął. Następnie wziął długi prysznic w nadziei, że gorąca woda złagodzi dotkliwy pulsujący w ramieniu ból.

Nastawił głośniejsze telewizor. Pokazywali miejsce, w którym znaleziono ciało Helen Whelan. Dopiero teraz zwrócił uwagę, jak błotnista jest ta okolica. Opony jego wynajętego samochodu muszą być oblepione ziemią. Rozsądnie będzie wstawić go do garażu domu, w którym ukrywał Laurę. Wynajmie jakieś średniej wielkości, nierzucające się w oczy auto. Najlepiej czarne.

Gdyby zaczęli węszyć i sprawdzać samochody uczestników zjazdu, nie zwróci niczyjej uwagi.

Kiedy Sowa, stojąc przed otwartą szafą, zastanawiał się, którą marynarkę wybrać, na ekranie telewizora pojawiła się wiadomość z ostatniej chwili: „Młody dziennikarz ze szkolnej gazety liceum Stonecroft w Cornwall-on-Hudson ujawnia, że zniknięcie aktorki Laury Wilcox może mieć związek z maniakiem, którego nazwał seryjnym mordercą koleżanek z jednego stolika”.

Dorothy Connors była wątłą siwowłosą kobietą po siedemdziesiątce. Mieszkała w jednej z najatrakcyjniejszych nieruchomości, skąd rozciągał się widok na Hudson. Zaprosiła Jean na oszkloną werandę, gdzie – jak wyjaśniła – spędza większość czasu.

Jej wciąż żywe brązowe oczy rozbłysły, gdy opowiadała o swoim zmarłym mężu.

– Edward był najwspanialszym mężem i lekarzem. Zabił go ten okropny pożar – utrata gabinetu i wszystkich dokumentów. To było przyczyną ataku serca.

– Pani Connors, wyjaśniłam już przez telefon, że dostaję listy z groźbami pod adresem mojej córki. Ma obecnie dziewiętnaście lat. Ogromnie mi zależy na odszukaniu jej przybranych rodziców. Muszę ich ostrzec, że Lily może grozić niebezpieczeństwo. Proszę mi pomóc. Czy doktor Connors rozmawiał z panią o mnie? Zrozumiałabym, gdyby tak było. Moi rodzice byli obiektem kpín całego miasteczka z powodu publicznych awantur, które wiecznie urządzali. Dlatego właśnie pani mąż zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zwrócę się do nich o pomoc. Wymyślił całą historyjkę dla zatuszowania powodu mojego wyjazdu do Chicago. Nawet przyjechał do domu opieki, w którym pracowałam, by osobiście odebrać poród.

– Tak, pomógł w ten sposób kilku dziewczętom, które pragnęły zachować swoje sprawy w tajemnicy. Dzisiaj dla większości osób jest rzeczą normalną, że niezamężne kobiety rodzą i wychowują dzieci, ale mój mąż był staroświecki. Robił, co było w jego mocy, by chronić prywatność przyszłych młodych matek. Nie zdradzał ich sekretów nawet mnie. Dopóki mi nie powiedziałaś, nie miałam pojęcia, że byłaś jego pacjentką.

– Ale z pewnością wiedziała pani o moich rodzicach. Dorothy Connors przyglądała się Jean przez długą chwilę.

– Wiedziałam, że mają problemy. Widywałam ich w kościele i czasami z nimi rozmawiałam.

Przypuszczam, moja droga, że pamiętasz tylko złe rzeczy. A oni byli również sympatycznymi, inteligentnymi ludźmi, którzy niestety się nie dobrali.

Jean lekko dotknęły słowa starszej pani. Odebrała je jako niezamierzoną przyganę.

– Zapewniam panią, że faktycznie byli kompletnie niedobraną parą powiedziała, mając nadzieję, że w jej głosie nie słyhać gniewu, który ją ogarnął. – Pani Connors, jestem ogromnie wdzięczna, że zgodziła się pani spotkać ze mną, powiem więc krótko. Moja córka może znajdować się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Jeśli wie pani cokolwiek o rodzinie, w której doktor mógł ją umieścić, proszę mi szczerze o tym powiedzieć. Jest to pani winna i mnie, i jej.

– Przysięgam na Boga, że Edward nigdy nie rozmawiał ze mną o pacjentkach w twojej sytuacji i nigdy nie wspomniał twojego nazwiska.

– I wszystkie dokumenty spłonęły? – spytała Jean.

– Tak. Cały budynek został zniszczony do tego stopnia, że podejrzewano podpalenie, choć niczego nie udowodniono.

Było oczywiste, że Dorothy Connors nie pomoże jej w żaden sposób. Jean wstałaby się pożegnać.

– Pamiętam, że Peggy Kimball pracowała jako pielęgniarka w gabinecie doktora, w czasie gdy byłam jego pacjentką. Zostawiłam jej wiadomość na automatycznej sekretarce i mam nadzieję, że do mnie oddzwoni. Może ona coś wie. Dziękuję pani, pani Connors, proszę nie wstawać, znam drogę.

Podając rękę Dorothy Connors na pożegnanie, ze zdumieniem spostrzegła na twarzy starszej kobiety wyraźny niepokój.

Mark Fleischman zameldował się po raz drugi w Glen-Ridge House o pierwszej po południu, zadzwonił do pokoju Jean, a kiedy nie odebrała telefonu, zszedł do sali restauracyjnej. Ucieszył się, widząc Jean siedzącą samotnie przy narożnym stoliku, i podszedł do niej szybkim krokiem.

Uśmiechnęła się do niego serdecznie.

– Mark, nie spodziewałam się ciebie! Siadaj, proszę, zamierzałam właśnie zjeść lunch.

Usiadł na krześle naprzeciwko niej.

– Odebrałem twoją wiadomość dopiero wczoraj wieczorem – powiedział. – Zadzwońłem dzisiaj rano do hotelu i telefonistka powiedziała mi, że Laura nie wróciła. Postanowiłem więc zmienić plany. Wsiadłem w samolot, wynająłem samochód i jestem.

– To bardzo miło z twojej strony – rzekła szczerze Jean. – Okropnie martwimy się o Laurę. – Pokrótce zrelacjonowała mu wszystko, co zdarzyło się od chwili, gdy wyjechał.

Patrząc ponad stołem na Marka i dostrzegając zaniepokojenie w jego oczach, Jean zapragnęła opowiedzieć mu o Lily, spytać go, czy jako psychiatra uważa groźby za realne, czy sądzi, że raczej ktoś zamierza szantażować.

– Zdecydowali się już państwo na coś? – spytała kelnerka.

– Tak, bardzo prosimy.

Oboje zamówili potrójne kanapki z wędliną, sałatą, pomidorem i majonezem oraz herbatę.

– W drodze z lotniska – rzekł Mark, kiedy kelnerka odeszła – usłyszałem przez radio, że ten smarkaty dziennikarz, który nękał nas podczas zjazdu, opowiada mediom o – jak to nazywa – „seryjnym mordercy koleżanek z jednego stolika”. Nawet jeśli nie przejęłaś się tą ewentualnością, to ja się martwię, Jean. Teraz, gdy zginęła Laura, zostałaś tylko ty.

– Bardzo bym chciała martwić się jedynie o siebie – powiedziała Jean.

– Co cię zatem niepokoi? Powiedz mi, Jean.

Mark wyraźnie chce mi pomóc, pomyślała. Czy powinnam wyznać mu prawdę o Lily?

Zauważyła, że przygląda się jej uważnie i ona również spojrzała mu prosto w oczy. Ma piękne brązowe oczy, pomyślała. Te małe żółte plamki są jak promyki słońca.

Wzruszyła ramionami i uniosła brwi.

– Przypominasz mi mojego profesora z college’u, który zadawał pytanie, a potem wpatrywał się w studenta, dopóki nie otrzymał odpowiedzi.

– Właśnie to robię, Jean. Jeden z pacjentów nazywa to moim mądrym sowym spojrzeniem.

– Twoje mądre sowe spojrzenie przekonało mnie, Mark. Chyba opowiem ci o Lily.

## Rozdział ósmy

Pierwszą rzeczą, którą zrobił Sam Deegan po przyjściu do pracy, był telefon do Carmen Russo, która prowadziła kiedyś śledztwo w sprawie śmierci Alison Kendall.

– Nadal trzymamy się orzeczenia, że śmierć nastąpiła w wyniku przypadkowego utonięcia – oświadczyła Russo. – Drzwi do domu były otwarte, ale niczego nie zabrano. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu – w domu, w ogrodzie, w pawilonie nad basenem. We krwi nie stwierdzono obecności alkoholu ani narkotyków.

– Żadnych śladów, że zastosowano wobec niej przemoc? – spytał Sam.

– Niewielki siniak na ramieniu, nic poza tym. Żadnych wystarczających dowodów, by podejrzewać zabójstwo.

Zniechęcony Sam odłożył słuchawkę. Intuicja podpowiadała mu, że Alison Kendall nie zmarła śmiercią naturalną. Zwracając uwagę na fakt, że pięć zmarłych kobiet z tej samej klasy w Stonecroft jadało lunch przy tym samym stoliku, Jake Perkins na coś wpadł. Sam był tego pewien. Jeśli jednak śmierć Alison Kendall nie wzbudziła podejrzeń, ile szczęścia będzie potrzebowałyby ustalić schemat postępowania mordercy w przypadku czterech innych kobiet, które straciły życie w przeciągu prawie dwudziestu lat?

Rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanął, podekscytowany, jeden z nowych oficerów śledczych.

– Przejrzeliśmy szkolne kartoteki absolwentów uczestniczących w zjeździe i chyba mamy coś na jednego z nich. Nazywa się Joel Nieman.

– Co mianowicie? – spytał Sam.

– Kiedy był w ostatniej klasie, przesłuchiowano go w sprawie historii z szafką Alison Kendall. Wykręcono śruby z zawiasów i gdy Alison otworzyła drzwiczki, spadły na nią. Doznała lekkiego wstrząśnienia mózgu.

– Dlaczego to on był przesłuchiwany? – spytał Sam.

– Ponieważ wpadł w złość z powodu artykułu, który Alison napisała do szkolnej gazety. W ostatniej klasie zagrał Romea i Kendall stwierdziła złośliwie, że nie potrafi zapamiętać roli. Nieman chlubił się, że zna na pamięć całego Szekspira. Tłumaczył wszystkim, że wcale nie zapomniał tekstu, po prostu na kilka sekund dopadła go trema. Zaraz potem nastąpił wypadek z drzwiczkami szafki. Ale to nie wszystko. Nieman ma wredny charakter, jest notowany za bójki w barach.

Facet, który pisze listy o Lily do Jean, zacytował w jednym z nich sonet Szekspira, pomyślał Sam.

– „Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo!”. Młody policjant spojrział na niego pytająco.

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć. Wtedy zobaczymy, jakie jeszcze cytaty z Szekspira może nam przytoczyć Joel Nieman.

O wpół do siódmej Sowa wrócił do domu i wszedł cicho na górę. Kiedy włączył latarkę i skierował ją na Laurę, zobaczył, że kobieta drży na całym ciele.

– Witaj, Lauro – powiedział szeptem. – Cieszysz się, że wróciłem?

– T-tak, cieszę się – odparła również szeptem.

Szybkim ruchem podciągnął ją do pozycji siedzącej i przeciął sznur krępujący jej nadgarstki. Zrobił to tak błyskawicznie, że Laura zachwiała się i niechcący chwyciła go za rękę.

Jęknął z bólu.

– Nie waż się więcej dotykać tej ręki. Zrozumiałaś?

Laura pokiwała głową.

– Wstań. – Sowa wskazał jej krzesło obok toaletki. Laura usiadła na nim niepewnie.

– Proszę. Przyniosłem ci kanapkę z masłem orzechowym i szklankę mleka. No, jedz – ponaglił ją. Podniósł latarkę i skierował światło na szyję Laury. Mógł obserwować wyraz jej twarzy, nie oślepiając jej jednocześnie. Z satysfakcją zobaczył, że płacze.

– Bardzo się boisz, prawda, Lauro? Czy zastanawiałaś się, skąd wiem, że ze mnie szydziłaś. Zaraz ci powiem. Dokładnie dwadzieścia lat temu przyjechaliśmy wszyscy na weekend z college'ów i wieczorem spotkaliśmy się na imprezie. Jak wiesz, nigdy nie należałem do paczki, ale z jakiegoś powodu zostałem wtedy zaproszony. Ty też tam byłaś. Siedziałaś na kolanach swojej ostatniej zdobyczy, Dicka Gormleya, naszej gwiazdy baseballu. Omal mi serce nie pękło, Lauro, tak bardzo byłem w tobie zadurzony. Oczywiście Alison również bawiła się na tej imprezie. Podeszła do mnie. Nigdy jej nie lubiłem. Szczerze mówiąc, bałem się jej ostrego jak brzytwa języka. Przypomniała mi, że na początku ostatniej klasy miałem czelność aprosić cię na randkę. „Sowa chciała umówić się z Laurą” – powiedziała, śmiejąc się, a następnie zademonstrowała, w jaki sposób mnie przedrzeźniałaś: Je-je-jestem... s-s-s-sową... i... mie-mie-mieszkam... n-n-na... Bez wątpienia, Lauro, parodiowałaś mnie rewelacyjnie. Alison zapewniała, że dziewczęta siedzące przy waszym stoliku, płakały ze śmiechu za każdym razem, gdy sobie to przypominały. Nie omieszkałaś dodać, że zanim uciekłem ze sceny, zsikałem się w majtki.

Laura, która ugryzła parę kęsów kanapki, upuściła ją na kolana.

– Przepraszam...



– Czy zdajesz sobie sprawę, że żyłaś o dwadzieścia lat za długo? Pozwól, że ci wyjaśnię. Tamtego wieczoru upiłem się. Byłem tak bardzo pijany, że zapomniałem, iż nie mieszkasz już w tym domu. Przyszedłem tutaj, żeby cię zabić. Wiedziałem, że trzymacie zapasowy klucz pod wypchanym królikiem w ogrodzie na tyłach domu. Nowi właściciele też go tam trzymali. Wszedłem na piętro do tego pokoju. Zobaczyłem rozsypane na poduszce długie jasne włosy i pomyślałem, że to ty. Popełniłem fatalną pomyłkę. Zasztytowałem Karen Sommers. Zabijałem ciebie, Lauro. Ciebie! Nazajutrz rano, po obudzeniu, pamiętałem jak przez mgłę, że byłem tutaj. A potem dowiedziałem się, co się stało, i zdałem sobie sprawę, że jestem sławny. – Mówił coraz szybciej, podniecony wspomnieniami. – Nie znałem Karen Sommers. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by łączyć ją ze mną, ale ta pomyłka wyzwoliła mnie. Tamtego ranka zrozumiałem, że mam władzę nad życiem i śmiercią. I od tamtej pory zacząłem ją wykorzystywać, Lauro. W całym kraju.

Wstał. Laura wpatrywała się w niego rozszerzonymi z przerażenia oczami. Zapomniana kanapka leżała na jej kolanach. Sowa zbliżył twarz do jej twarzy.

– Teraz muszę już iść, ale pomyśl, ile miałaś szczęścia. Mogłaś cieszyć się dodatkowymi dwudziestoma latami życia.

Brutalnie skrępował jej ręce, zakneblował usta i poderwawszy z krzesła, popchnął na łóżko i przywiązał linką do ramy. Następnie wyszedł.

Na niebie wschodził właśnie księżyc. W jego poświacie Laura widziała słaby zarys telefonu komórkowego, leżącego na toalecie.

O wpół do siódmej Jean była w swoim hotelowym pokoju, kiedy wreszcie zadzwoniła pielęgniarka doktora Connorsa, Peggy Kimball.

– Właśnie odsłuchiłam wiadomość od pani – powiedziała energicznie Kimball. – O co chodzi?

– Peggy, spotkałyśmy się dwadzieścia lat temu. Byłam pacjentką doktora Connorsa. Załatwił w zaufaniu adopcję mojego dziecka. Muszę z panią o tym porozmawiać.

– Przykro mi, pani Sheridan – odparła pielęgniarka. – Po prostu nie wolno mi rozmawiać o adopcjach, które załatwił doktor Connors. Jeśli chce pani odszukać swoje dziecko, proszę wykorzystać legalne sposoby.

– Jestem już w kontakcie z detektywem z biura prokuratora okręgowego – wyjaśniła Jean. – Otrzymałam trzy listy, które można zinterpretować wyłącznie jako groźby pod adresem mojej córki. Trzeba koniecznie ostrzec jej przybranych rodziców. Błagam, niech mi pani pomoże.

Przerwał jej pełen przestrawu okrzyk Peggy:

– Tommy, uspokój się! Nie rzucaj tym!

Jean usłyszała brzęk tłuczonego szkła.

– Przepraszam, pani Sheridan – rzekła z westchnieniem Peggy Kimball – ale nie mogę z panią teraz rozmawiać. Opiekuję się wnukami.

– Czy mogłybyśmy wobec tego spotkać się jutro? Pokażę pani faksy z groźbami pod adresem mojej córki. Proszę mi uwierzyć. Jestem dziekanem i profesorem historii w Georgetown.

– Tommy, Betsy, nie zbliżajcie się do tego szkła! Chwileczkę... czy przypadkiem jest pani tą Jean Sheridan, która napisała książkę o Abigail Adams?

– Tak.

– Och, jestem nią zachwycona! Wiem o pani wszystko. Widziałam panią w programie „Today” z Katie Couric. Można by was wziąć za siostry. Proszę posłuchać, pracuję w szpitalu i w drodze do pracy przejeżdżam obok Glen-Ridge. Nie sądzę, bym się pani na coś przydała, ale możemy spotkać się na kawie jutro koło dziesiątej rano.

– Z przyjemnością – ucieszyła się Jean. – Dziękuję, bardzo dziękuję.

– Zadzwoń do pani z recepcji – obiecała Peggy Kimball. – Do zobaczenia jutro.

Jean odłożyła powoli słuchawkę. Pomasażowała skronie w nadziei, że zdoła zapobiec nadchodzącemu bólowi głowy. Może gorąca kąpiel dobrze mi zrobi, pomyślała.

Telefon zadzwonił dziesięć po siódmej, kiedy wychodziła z wanny. Przez moment zastanawiała się, czy go odebrać, po czym owinęła się szybko ręcznikiem i pobiegła do sypialni.

– Słucham.

– Cześć, Jeannie – usłyszała w słuchawce wesoły głos.

Laura! To była Laura!

– Gdzie się podziewasz, Lauro?

– Tam, gdzie wspaniale się bawię. Jeannie, powiedz gliniarzom, żeby zbierali manatki i wracali do domu. Nigdy w życiu nie bawiłam się lepiej. Zadzwoń niedługo. Pa, kochanie.

W poniedziałek, późnym popołudniem, Sam pojechał przesłuchać Joela Niemana w jego biurze w Rye, w stanie Nowy Jork.

Nie wyglądała mi na Romea, pomyślał Sam, przypatrując się puciołowatej twarzy Niemana i jego farbowanym ciemno-rudym włosom.

– Słyszałem w radiu te brednie o seryjnym mordercy koleżanek z jednego stolika – rzekł niepytany Nieman. – Niech pan posłucha, chodziłem z tymi dziewczynami do jednej klasy. Znałem je wszystkie. Koncepcja, że ich śmierci są ze sobą w jakikolwiek sposób powiązane, to bzdura. Zaczniemy od Catherine Kane. Jej samochód stoczył się do Potomacu, kiedy byliśmy na pierwszym roku studiów. Cath zawsze lubiła szybką jazdę. Proszę sprawdzić, ile dostała mandatów za przekroczenie prędkości, kiedy była w ostatniej klasie.

– Nie sądzi pan jednak, że to niezwykle przypadek, kiedy piorun uderza w to samo miejsce nie dwa, lecz pięć razy?

– Z pewnością człowiek dostaje gęziej skórki na myśl, że pięć dziewcząt, które jadały lunch przy tym samym stoliku, nie żyje – przyznał Nieman. – Ale mogę przedstawić panu faceta, który zajmuje się naszymi komputerami. Jego matka i babka zmarły na atak serca tego samego dnia w odstępie trzydziestu lat. W dzień po świętach Bożego Narodzenia. Może uświadomiły sobie, jaką kupę forsy wydały na prezenty, i to je wykończyło. Mogło tak być, nie uważa pan?

Sam popatrzył na Joela Niemana z wyraźnym obrzydzeniem, ale też wyczuwając, że pod pozorną nonszalancją kryje się niepokój.

– Jak rozumiem, pańska żona wyjechała w podróż służbową, opuszczając zjazd już w sobotę rano.

– To prawda.

– Czy w sobotę, po bankiecie, był pan w domu sam, panie Nieman?

– Owszem. Po takich rozwlekłych imprezach chce mi się spać.

To nie jest typ faceta, który wraca do domu sam, kiedy nie ma w nim żony, pomyślał Sam. Postanowił strzelać w ciemno.

– Panie Nieman, widziano, jak wyjeżdżał pan z parkingu z kobietą. Joel Nieman uniósł brwi.

– Cóż, może i wyjechałem stamtąd z kobietą, ale ona bez wątplenia nie dobiegała czterdziestki. Panie Deegan, jeśli próbuje pan złapać mnie na haczyk, dlatego że Laura wypuściła się gdzieś z jakimś facetem i dotąd się nie pokazała, to proponuję, żeby zadzwonił pan do mojego adwokata. A teraz, wybaczy pan, mam do załatwienia kilka telefonów.

Sam wstał i ruszył powoli w kierunku drzwi.

– Ma pan imponujący zbiór dzieł Szekspira, panie Nieman.

– Zawsze lubiłem barda ze Stratfordu.

– W ostatniej klasie Stonecroft grał pan Romea.

– Rzeczywiście.

– Czy Alison Kendall nie oceniła krytycznie pańskiego występu?

– Napisała, że nie pamiętałem tekstu, a to nieprawda. Na chwilę sparaliżowała mnie trema. Koniec kropka.

– Alison miała w szkole wypadek kilka dni po przedstawieniu, prawda?

– Pamiętam. Spadły na nią drzwiczki od jej szafki. Przesłuchiowano w tej sprawie wszystkich chłopaków. Zawsze uważałem, że powinni byli porozmawiać o tym z dziewczynami. Wiele z nich jej nie cierpiało. Niech pan posłucha, to śledztwo donikąd pana nie zaprowadzi. Założę się o ostatniego dolara, iż cztery pozostałe kobiety zginęły przypadkowo. Z drugiej strony, Alison była wredna już jako dziecko. Z tego, co o niej czytałem, ani trochę się nie zmieniła. Rozumiałbym, gdyby tamtego dnia, kiedy utonęła, ktoś doszedł do wniosku, że dość się już napływała.

Podszedł do drzwi i otworzył je z niepozostawiającą wątpliwości miną: Rad gościom, jak wychodzą. To też chyba Szekspir.

Sam miał nadzieję, że nie da po sobie poznać, co myśli o Niemanie i jego lekceważącym stosunku do śmierci Alison Kendall.

– Zna pan cytat z Szekspira o zgniłej lilii? – spytał.

Nieman roześmiał się nieprzyjemnie, ponuro.

– „Lepiej chwast wachać niżli lilię zgniłą”. To z jednego z sonetów. Jasne, że go znam. Prawdę mówiąc, często o nim myślę. Moja teściowa ma na imię Lily.

Sam pędził z Rye do Glen-Ridge House z szybkością znacznie większą od dozwolonej. Poprosił odznaczonych oraz Jacka Emersona, by spotkali się z nim na kolacji o wpół do ósmej. Przedtem intuicja podpowiadała mu, że klucz do tajemnicy zniknięcia Laury znajduje się w posiadaniu jednego z pięciu mężczyzn. Teraz, po rozmowie z Joelem Niemanem, nie był już tego taki pewny. Trzeba bacznie przyjrzeć się panu Niemanowi, pomyślał.

Punktualnie o wpół do ósmej Sam wszedł do Glen-Ridge House. W drodze do hotelowej restauracji minął wszędobylskiego Jake’a Perkinsa, rozpartego w fotelu w holu. Na jego widok chłopak zerwał się na równe nogi.

– Jakieś postępy w śledztwie, proszę pana? – spytał radośnie.

– Nic nowego, Jake.

Z windy wysiadła Jean Sheridan. Nawet z daleka Sam dostrzegł, że jest zdenerwowana.

Spotkali się przy wejściu do restauracji.

– Sam, miałam wiadomość od... – umilkła, zauważywszy Jake’a. Sam ujął ją pod rękę, popchnął do środka i zamknął drzwi.

Carter Stewart, Gordon Amory, Mark Fleischman, Jack Emerson i Robby Brent siedzieli już przy stole. Gdy zobaczyli minę Jean, słowa powitania zamarły im na ustach.

– Właśnie rozmawiałam z Laurą – powiedziała.

Podczas kolacji początkowe uczucie ulgi ustąpiło jednak niepewności.

– Przeżyłam wstrząs, słysząc głos Laury – opowiadała Jean. – Ale ona odłożyła słuchawkę, zanim zdążyłam ją o cokolwiek zapytać.

– Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej czy przestraszonej? – spytał Jack Emerson.

– Nie. Raczej pełnej optymizmu. Nie dała mi jednak szansy, bym zadała jej choć jedno pytanie.

– Jesteś zupełnie pewna, że rozmawiałaś z Laurą? – sondował ją Gordon Amory.

– Chyba tak – odparła Jean, cedząc słowa. – Mówiła jak Laura, ale... – Zawahała się. – Głos ten sam, choć może nie całkiem ten sam. Za krótko rozmawiałyśmy, żebym mogła mieć pewność.

– Rzecz w tym, że jeśli faktycznie dzwoniła Laura i w dodatku zdaje sobie sprawę, że została uznana za zaginioną, to dlaczego nie chciała powiedzieć czegoś więcej o swoich planach? – dziwił się Gordon.

Mark Fleischman chciał się dowiedzieć, jakie zdanie na ten temat ma Sam.

– Jeśli chce pan znać opinię policjanta w kwestii, czy rzeczywiście dzwoniła Laura Wilcox, to powiem, że nie jestem o tym przekonany.

Fleischman pokiwał głową.

– Moje odczucia są podobne.

Carter Stewart zdecydowanymi ruchami kroił stek.

– Należy wziąć pod uwagę jeszcze jeden czynnik. Laura jest aktorką, której sława gaśnie. Wiem też, że urząd skarbowy przejmuje dom Laury za niezapłacone podatki.

Rozejrzał się po zebranych przy stole, z satysfakcją odnotowując ich zaskoczone miny, po czym mówił dalej:

– Co oznacza, że Laura może być zdesperowana. Dla aktorki najważniejszą sprawą jest rozgłos w mediach. Nieważne, czy mówią o niej dobrze, czy źle. Może robi to właśnie po to, by jej nazwisko pojawiała się na pierwszych stronach gazet. Tajemnicze zniknięcie. Tajemniczy telefon. Szczerze mówiąc, uważam, że wszyscy marnujemy czas, martwiąc się o nią.

– Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że się o nią martwisz, Carter – zauważył Robby Brent.

W tym momencie Sam wstał od stołu.

– Proszę mi wybaczyć, ale muszę namierzyć rozmowę telefoniczną – powiedział.

## Rozdział dziewiąty

Peggy Kimball była pulchną kobietą koło sześćdziesiątki o kręconych szpakowatych włosach. Emanowała radością, serdecznością i inteligencją. Jean odniosła wrażenie, że Peggy to osoba, która nie dałaby się łatwo zbić z tropu.

Obie podziękowały za kartę dań i zamówiły kawę.

– Córka odebrała dzieci godzinę temu – powiedziała Peggy. – O siódmej zjadłam z nimi płatki kukurydziane. – Uśmiechnęła się. – Wczoraj wieczorem pomyślała pani pewnie, że to koniec świata.

– Wykładałam na pierwszym roku w college’u – odrzekła Jean. – Czasami studenci są bardziej hałaśliwi niż małe szkraby.

Kelner przyniósł im kawę. Peggy Kimball spojrzała Jean prosto w oczy, jej żartobliwe zachowanie ustąpiło miejsca powadze.

– Pamiętam panią dobrze, Jean. Doktor Connors załatwiał wiele adopcji dla młodych dziewcząt w podobnej sytuacji. Było mi pani żal, ponieważ należała pani do tych bardzo nielicznych, które przychodziły do gabinetu same.

– Tak czy inaczej – powiedziała Jean cicho – spotkałyśmy się tu dzisiaj, ponieważ teraz, jako osoba dorosła, niepokoję się o dziewiętnastoletnią dziewczynę, która jest moją córką i być może potrzebuje pomocy.

Sam Deegan zabrał oryginały faksów, ale Jean zrobiła z nich odbitki ksero, jak również z wyników badań DNA, potwierdzających, że włosy na szczotce należą do Lily. Jean wyjęła kopie z torebki i pokazała je pielęgniarce.

– Założmy, że chodziłoby o pani córkę. Czy potraktowałaby to pani jako groźbę?

– Tak.

– Peggy, czy wie pani, kto zaadoptował Lily?

– Niestety, nie.

– Dokumenty musiał sporządzać prawnik. Czy wie pani, z usług którego prawnika korzystał doktor Connors?

Peggy Kimball zawahała się, po czym odparła powoli:

– Wątpię, by w pani sprawę był zaangażowany prawnik. Jest coś, o czym obawia się mówić, pomyślała Jean.

– Doktor Connors przyleciał do Chicago parę dni przed terminem rozwiązania, wywołał poród i zabrał ode mnie Lily kilka godzin po jej narodzinach. Czy orientuje się pani, gdzie zarejestrował dziecko?

Pielęgniarka wpatrywała się przez chwilę w filiżankę z kawą, po czym podniosła wzrok na Jean.

– Czasami doktor Connors rejestrował dziecko, podając nazwisko przybranych rodziców, jak gdyby kobieta była matką biologiczną.

– Ale to sprzeczne z prawem – zaprotestowała Jean.

– To fakt, ale doktor Connors miał przyjaciela, który wiedział, że jest adoptowanym dzieckiem i przez całe życie szukał biologicznych rodziców. Stało się to jego obsesją, mimo że przybrani rodzice ogromnie go kochali. Zdaniem Connorsa byłoby lepiej, gdyby nie wiedział, że został adoptowany.

– Czyli mówi pani, że istnieje prawdopodobieństwo, iż w ogóle nie ma oryginalnego świadectwa urodzenia i że adopcja odbyła się bez udziału prawnika. Być może Lily wierzy, że ludzie, którzy ją adoptowali, są jej prawdziwymi rodzicami.

– To rzeczywiście możliwe. W ciągu tych wszystkich lat, kiedy pracowałam u doktora Connorsa, wysłał on kilka dziewcząt do domu opieki w Chicago. Zwykle oznaczało to, że nie rejestrował dziecka pod nazwiskiem biologicznej matki. – Peggy impulsywnie ujęła nad stołem dłonie Jean. – Doktor Connors z pewnością był przekonany, iż spełnia pani życzenie, oszczędzając Lily rozterek i pragnienia, by panią odszukać.

Jean miała uczucie, jak gdyby zatrzasnęły się jej przed nosem ogromne stalowe drzwi.

– Muszę ją znaleźć – rzekła powoli, słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – Muszę, Peggy. Wspomniała pani, że doktor Connors nie wszystkie adopcje załatwiał w ten sposób.

– Nie wszystkie.

– W takim razie w niektórych przypadkach korzystał z usług prawnika?

– Tak. Craiga Michaelsona. Nadal praktykuje, ale wiele lat temu przeprowadził się do Highland Falls.

Highland Falls było miastem położonym nieopodal West Point.

Peggy dopiła kawę.

– Muszę już iść – mam dyżur w szpitalu – wyjaśniła. – Żałuję, że nie mogłam być bardziej pomocna.

– Będę wdzięczna za kontakt, jeśli coś jeszcze pani sobie przypomni – powiedziała Jean. –



Faktem jest, że ktoś dowiedział się o Lily, niewykluczone, że stało się to jeszcze w czasie, kiedy byłam w ciąży. Czy ktoś poza panią pracował wtedy w gabinecie doktora i mógł mieć dostęp do kartoteki?

– Nie. Doktor Connors trzymał wszystkie dokumenty pod kluczem.

Kelner położył na stole rachunek. Jean podpisała go i kobiety wyszły do holu.

Craig Michaelson, pomyślała Jean. Zadzwońię do niego ze swego pokoju.

Sprawdzenie zapisu rozmów telefonicznych na terenie, z którego Laura dzwoniła do Jean, dało ten sam rezultat co poprzednio. Laura skorzystała z telefonu na kartę, przy zakupie którego nie są wymagane żadne dane abonenta.

We wtorek rano, o jedenastej piętnaście, Sam siedział w biurze prokuratora okręgowego, zdając mu relację z postępów śledztwa.

– To nie ten sam telefon, z którego Laura Wilcox dzwoniła w niedzielę wieczorem – poinformował Richa Stevensa. – Ten kupiono w hrabstwie Orange, ma prefiks 845. Eddie Zarro sprawdza wszystkie punkty w Cornwall i w okolicy, w których sprzedają takie telefony. Oczywiście, został wyłączony, podobnie jak ten, z którego Wilcox rozmawiała z recepcjonistką Glen-Ridge w niedzielę wieczorem.

Prokurator obracał w palcach długopis.

– Czy Jean Sheridan skontaktowała się już z Craigiem Michaelsonem, prawnikiem, który współpracował z doktorem Connorem przy niektórych adopcjach?

– Jest z nim umówiona o drugiej.

– Jaki będzie twój kolejny krok, Sam?

Przerwał im dzwonek komórki. Deegan wyjął telefon z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz.

– To Eddie Zarro – wyjaśnił. – Czego się dowiedziałeś, Eddie? Stevens patrzył, jak Sam Deegan rozdziawia usta ze zdumienia.

– Chyba żartujesz? Co ten mały szczur kombinuje? Dobra, spotkamy się w Glen-Ridge.

Detektyw wyłączył telefon i spojrzał na przelozonego.

– Tamten aparat kupiono wczoraj wieczorem, kilka minut po siódmej, w drogerii przy Main Street w Cornwall. Sprzedawca pamięta mężczyznę, który dokonał zakupu, ponieważ widział go w telewizji. To był Robby Brent.

– Ten komik? Myślisz, że jest z Laurą Wilcox?

– Nie. Sprzedawca z drogerii obserwował Brenta po jego wyjściu z drogerii. Stał na chodniku i gdzieś zadzwonił. Była to dokładnie ta sama godzina, o której Jean Sheridan odebrała telefon rzekomej Laury Wilcox.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Robby Brent jest komikiem – przerwał mu Sam. – Ale jest też doskonałym parodystą. Przypuszczam, że to on dzwonił do Jean, naśladowując głos Laury. Jadę do Glen-Ridge. Znajdę tego palanta i przyduszę go, żeby wyjaśnił, co mu strzeliło do łba.

– Zrób to – rzekł niecierpliwie Stevens. – I niech lepiej jego historyjka będzie przekonująca, w przeciwnym razie postaw mu zarzut utrudniania policyjnego śledztwa.

Ile czasu upłynęło, odkąd Sowa był tu ostatni raz? – zastanawiała się Laura. Nie wiedziała. Wczorajszej nocy, kiedy czuła, że powinien przyjść, usłyszała jakiś hałas na schodach, a potem znajomy głos.

– Neeee! – krzyczał Robby Brent i był wyraźnie przerażony. Czyżby Sowa zrobił mu krzywdę?

Po pewnym czasie Sowa przyniósł jej coś do jedzenia. Był taki wściekły, że głos mu drżał, kiedy mówił, że Robby zadzwonił do Jean, naśladowując głos Laury.

– Ledwie wysiedziałem przy kolacji, zastanawiając się, jakim cudem udało ci się dosięgnąć telefonu. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że zadzwoniłabyś raczej na policję, a nie do Jean Sheridan, i to tylko po to, by powiedzieć, że nic ci nie jest. Robby zachował się bezdennie głupio, Lauro. Śledził mnie. Zostawiłem drzwi otwarte, a on wszedł tutaj za mną.

Może ja tylko śnię? – Laura była oszołomiona. – Może sama wszystko wymyśliłam?

Usłyszała trzask. Czy to drzwi? Poczowała, że ogarniają panika.

– Obudź się, Lauro. Muszę z tobą porozmawiać. – Głos Sowy był piskliwy, mówił nerwowo, szybko. – Robby nabrał podejrzeń i próbował zastawić na mnie pułapkę. Nie wiem, w którym momencie straciłem czujność, ale już się nim zająłem, możesz być tego pewna. Teraz Jean jest bliska odkrycia prawdy, Lauro. Ale wyprowadzę ją w pole i złapię w sidła. Chcesz mi pomóc, prawda? Prawda? – powtórzył głośno.

Włączył latarkę i położył ją na nocnej szafce. Padające z niej światło rozproszyło ciemność. Podniosła wzrok i ujrzała Sowę stojącego bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy. Nagle podniósł rękę.

– Tak – wykrztusiła Laura przez knebel.

To go chyba udobruchało. Wolno opuścił rękę. Laura zamknęła oczy. Napięcie nieznacznie opadło.

– Lauro – powiedział szeptem – niczego nie rozumiesz. Jestem drapieżnym ptakiem. Kiedy ktoś zakłóca mi spokój, mogę odzyskać równowagę tylko w jeden sposób. Nie prowokuj mnie swoim uporem. Wiem, że jesteś głodna i przyniosłem ci kawę. Ale najpierw opowiem ci o Lily, córce Jean.

Jean? Córka? Laura wpatrywała się w niego nierozumiejącym wzrokiem. W gardle jej zaschło. Ból, pulsujący w dłoniach i stopach, był coraz silniejszy, a mięśnie znów napięte z przerażenia. Zamknęła oczy, próbując się skoncentrować.

Kiedy je otworzyła, latarka była wyłączona. Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Wszedł. Jej nozdrza drażnił aromat kawy, którą zapomniał jej podać.

Kancelaria Craiga Michaelsona zajmowała całe piętro. Poczekalnia była ładnie urządzone, ściany wyłożone boazerią, wygodne fotele. Nie ulegało wątpliwości, że kancelaria świetnie prosperuje.

Craig Michaelson zaprosił ją do swego prywatnego gabinetu. Był to wysoki, postawny mężczyzna po sześćdziesiątce, o gęstych siwych włosach.

Miał na sobie świetnie skrojony ciemnoszary garnitur, białą koszulę i ciemnoniebieski krawat. Powściągliwy, konserwatywny człowiek, pomyślała Jean.

Opowiedziała mu o Lily i pokazała kopie faksów oraz wyniki badań DNA. Przedstawiła w zarysie swoje wykształcenie, podkreślając pozycję naukową, nagrody, które otrzymała, oraz fakt, że w związku z ostatnią książką, która stała się bestsellerem, jej finansowy sukces został odnotowany przez media.

Jean widziała, że Michaelson przygląda się jej, próbując ocenić, czy mówi prawdę, czy też wszystko zręcznie sobie wymyśliła.

– Dowiedziałam się od Peggy Kimball, pielęgniarki Connorsa, że część adopcji, które załatwiał doktor, była sprzeczna z prawem. Błagam, niech mi pan powie, czy zajmował się pan sprawą adopcji mojej córki. Czy wie pan, kto ją adoptował?

– Doktor Sheridan, zacznę może od tego, że nigdy nie uczestniczyłem w adopcjach, które nie były przeprowadzane zgodnie z literą prawa. Jeżeli doktor Connors omijał przepisy, robił to bez mojego udziału i bez mojej wiedzy.

– Czy wobec tego mam rozumieć, że jeśli przeprowadzał pan adopcję mojego dziecka, to zostało ono zarejestrowane jako córka moja oraz Carrolla Reeda Thorntona?

– Powtarzam pani, że wszystkie adopcje, w których brałem udział, były zgodne z prawem.

– Panie Michaelson, dziewiętnastoletniej dziewczynie może grozić poważne niebezpieczeństwo. Jeśli zajmował się pan sprawami prawnymi, związanymi z adopcją mojej córki, zna pan jej przybranych rodziców. Moim zdaniem ma pan moralny obowiązek, by ją chronić.

Nie powinna była tego mówić. Michaelson zmierzył ją lodowatym spojrzeniem.

– Doktor Sheridan, zażądała pani, bym spotkał się z panią dzisiaj. Praktycznie zasugerowała pani, że w przeszłości złamałem prawo, a teraz domaga się pani ode mnie, żebym je złamał, by pani pomóc. Istnieją legalne sposoby odtajnienia aktów urodzenia. Powinna pani udać się do biura prokuratora okręgowego. Jestem pewien, że zwrócą się do sądu o udostępnienie akt. To jedyny sposób. Jak sama pani zauważyła, może tu chodzić o pieniądze. Przypuszczam, że ma pani rację. Ktoś wie, kim jest pani córka, i spodziewa się, że zapłaci pani za tę informację.

Wstał.

Jean nie podnosiła się przez chwilę z fotela.

– Panie Michaelson, intuicja, która rzadko mnie zawodzi, podpowiada mi, że to pan przeprowadził adopcję mojej córki i że zrobił pan to zgodnie z prawem. Przeczucie mówi mi też, że ktoś, kto do mnie pisze, jest niebezpieczny. Zwrócę się do sądu z prośbą o udostępnienie mi aktu urodzenia. Jeśli tymczasem coś przydarzy się mojemu dziecku, dlatego że wykręca się pan od odpowiedzi, to nie ręcę za to, co panu zrobię.

Nie potrafiąc powstrzymać łez, które popłynęły jej z oczu, Jean wybiegła z gabinetu, nie przejmując się ludźmi w poczekalni. Gdy znalazła się na parkingu, wsiadła do samochodu i ukryła twarz w dłoniach.

Craig Michaelson stał w oknie swego gabinetu, obserwując Jean Sheridan biegnącą do samochodu. Jest uczciwa, pomyślał. Nie sprawia wrażenia kobiety opętanej pragnieniem odnalezienia dziecka i zmyślającej niestworzone historie. Czy powinienem ostrzec Charlesa i Gano? Gdyby coś się stało Meredith, chybaby tego nie przeżyli.

Nie zdradzi im tożsamości Jean Sheridan, ale poinformuje Charlesa o groźbach pod adresem ich adoptowanej córki. Generał sam zdecyduje, co powiedzieć Meredith i jak ją chronić. Jeśli historia ze szczotką jest prawdziwa, być może dziewczyna przypomni sobie, gdzie ją zgubiła. A to pozwoli wpaść na trop autora faksów.

Michaelson podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

Po pierwszym sygnale usłyszał energiczny głos:

– Biuro generała Buckleya.

– Mówi Craig Michaelson. Chciałbym rozmawiać z generałem w ważnej sprawie. Zastałem go?

– Przykro mi, generał przebywa za granicą, ale jesteśmy z nim w stałym kontakcie.

– W takim razie proszę mu przekazać, żeby jak najszybciej zadzwonił do mnie w sprawie niecierpiącej zwłoki. – Był pewien, że Charles odezwie się natychmiast po otrzymaniu pilnej wiadomości.

Tak czy owak, Meredith jest bezpieczniejsza w West Point niż gdziekolwiek indziej, pomyślał Michaelson. Ale w tym samym momencie przypomniał sobie, że West Point nie uchroniło od śmierci biologicznego ojca Meredith, Carrolla Reeda Thorntona juniora.

Pierwszą osobą, którą zobaczył Carter Stewart, kiedy wszedł o wpół do czwartej do holu Glen-Ridge House, był Jake Perkins, rozwalony w fotelu.

Czy ten smarkacz nie ma domu? – zastanawiał się Stewart, podchodząc do telefonu w recepcji. Zadzwonił do pokoju Robby’ego Brenta.

Nikt nie podnosił słuchawki, Carter nagrał więc wiadomość na automatycznej sekretarce:

– Robby, myślałem, że mieliśmy się spotkać o wpół do czwartej. Czekam w holu jeszcze kwadrans.

Odkładając słuchawkę, zauważył Sama Deegana siedzącego w pomieszczeniu służbowym za recepcją. Deegan również go spostrzegł i podszedł do kontuaru.

– Cieszę się, że pana widzę, panie Stewart – powiedział Sam. Zostawiłem dla pana wiadomość w pańskim hotelu i miałem nadzieję, że się pan odezwie.

– Pracowałem z reżyserem nad moją nową sztuką – wyjaśnił szorstko Stewart.

– Widziałem, że dzwonił pan z wewnętrznego telefonu. Jest pan z kimś umówiony?

Stewart omal nie odpowiedział: „Nie pański interes”, ale coś w wyglądzie detektywa sprawiło, że się powstrzymał.

– Umówiłem się o wpół do czwartej z Robbym Brentem. Zanim spyta mnie pan, w jakiej sprawie, zaspokoję pańską ciekawość. Brent zgodził się zagrać główną rolę w jakimś nowym sitcomie. Widział scenariusz kilku pierwszych odcinków i uważa, że są do kitu. Prosił mnie, bym rzucił na nie okiem i wyraził opinię, czy da się coś z nich wykrzesać.

– Panie Stewart, krytycy porównują pana do dramaturgów formatu Tennessee Williamsa i Edwarda Albee – rzekł ostro Sam. – Tymczasem większość komedii sytuacyjnych urąga wszelkiej inteligencji. Dziwię się, że ta propozycja mogła pana zainteresować.

– Nie piszę scenariuszy do siteomów, potrafię jednak ocenić rozmaite formy pisarstwa – odparł Stewart lodowatym tonem. – Może wie pan, czy Robby zjawi się niedługo?

– Nie mam pojęcia. Przyszedłem z nim porozmawiać. Nie odbierał telefonu, kiedy do niego dzwoniłem, a potem okazało się, że nikt go nie widział przez cały dzień, poleciłem więc pokojówce, by otworzyła jego pokój. Łóżko było nietknięte. Pan Brent zaginął.

– Zaginął! Och, dajmy sobie spokój, panie Deegan. Myślę, że ten scenariusz jest już trochę ograny. Pozwoli pan, że wyjaśnię: w serialu, o którym wspominałem, jest rola dla seksownej blondynki, w typie zaginionej Laury Wilcox. Kilka dni temu, podczas wycieczki do West Point, Brent powiedział Laurze, że byłaby w tej roli idealna. Zaczynam podejrzewać, że jej zniknięcie jest zwykłym chwytem reklamowym. A teraz przepraszam, ale nie zamierzam dłużej marnować czasu.

Nie lubię tego faceta, pomyślał Sam, odprowadzając spojrzeniem Cartera Stewarta, ubranego w wyświechtany szary dres i brudne adidas, strój, który prawdopodobnie kosztował go fortunę.

Ciekawe, czy maczał palce w tym, co się dzieje, zastanawiał się Sam. Wiemy, że Brent zadzwonił do Jean, udając Laurę. Stewart może mieć rację, że chodzi tu wyłącznie o rozgłos w mediach. Czy rzeczywiście, zamiast chwycić zabójcę grasującego w hrabstwie Orange, tracę tu czas?

Sam wrócił do recepcji. Postanowił wezwać Eddiego Zarro, by go zastąpił, i wrócić do domu. Eddie może pokręcić się po holu Glen-Ridge i zaczekać na Brenta. Ja muszę się porządnie wyspać. Jestem tak wykończony, że nie potrafię trzeźwo myśleć.

Miał nadzieję, że Jean wróci przed jego wyjściem, toteż ucieszył się, widząc, że wchodzi do holu. Podeszedł do niej spiesznie, ciekaw, jak przebiegło jej spotkanie z prawnikiem. Kiedy odwróciła się do niego, stwierdził, że jest zapłakana.

– Postawić ci kawę? – zaproponował.

– Wolałabym herbatę.

Amy Sachs była na swoim posterunku w recepcji.

– Pani Sachs, kiedy zjawi się detektyw Zarro, proszę mu powiedzieć, że jesteśmy w kawiarni.

Sam czekał, dopóki kelner nie przyniósł herbaty dla Jean oraz kawy dla niego, po czym rzekł:

– Domyślałem się, że nie poszło ci najlepiej z Craigiem Michaelsonem.

– I tak, i nie – odparła Jean powoli. – Sam, dałabym głowę, że Michaelson załatwił tę adopcję i wie, gdzie znajduje się teraz Lily. Właściwie mu groziłam. W drodze powrotnej zatrzymałam się na poboczu i zadzwoniłam, by go przeprosić. Napomknęłam, że gdyby znał miejsce pobytu Lily, mógłby spytać ją, czy pamięta, gdzie zgubiła szczotkę do włosów. Być może doprowadziłoby to do autora faksów.

– I co na to Michaelson?

– Zareagował dziwnie. Powiedział, że jemu też przyszło to do głowy. Sam, powtarzam ci, on wie, gdzie jest Lily. Podkreślał, że powinnam była zwrócić się do prokuratora okręgowego, by wniósł prośbę o sądowy nakaz natychmiastowego ujawnienia dokumentów i powiadomienia rodziców Lily o całej sytuacji. – Podniosła wzrok. – O, spójrz, jest Mark Fleischman.

Mark szedł w ich stronę między stolikami.

– Powiedziałaś mu o Lily – uprzedziła Sama. – Możesz mówić przy nim otwarcie.

– Dlaczego to zrobiłaś, Jean? – Sam był wyraźnie zaniepokojony.

– Jest psychiatrą. Pomyślałam, że pomoże mi stwierdzić, czy te faksy zawierają prawdziwe groźby, czy też nie.

Sam spostrzegł, że na widok Fleischmana twarz Jean rozjaśniła się szczęśliwym uśmiechem. Bądź ostrożna, Jeannie, chciał ją ostrzec. Ten facet dźwiga potężny bagaż.

Nie uszło też uwagi Sama, że Fleischman na chwilę nakrył dłoń Jean swoją, gdy zaprosiła go, by się do nich przyłączył.

– Nie przeszkadzam? – spytał Mark, patrząc na Sama.

– Nie – odparł Sam. – Właśnie zamierzałem spytać Jean, czy odezwał się dziś do niej Robby Brent. Teraz mogę o to spytać was oboje.

Jean pokręciła głową.

– Do mnie nie.

– Do mnie również nie – odparł Fleischman.

– Wczoraj wieczorem, po kolacji, Robby musiał wyjść z hotelu – wyjaśnił Sam. – I nie wrócił. Ustaliliśmy, że rzekoma Laura dzwoniła do ciebie z telefonu komórkowego. Kupił go chwilę wcześniej Brent. Jesteśmy też pewni, że w rzeczywistości to jego głos słyszałaś. Jak wiesz, jest doskonałym parodystą.

Jean spojrzała na Sama ze zdumieniem.

– Ale dlaczego miałby to zrobić?

– Carter Stewart uważa, że Brent i Laura są sprawcami mistyfikacji, która przyda im rozgłosu. A co pan o tym o tym sądzi? – Sam spojrzał na Marka Fleischmana.

– To całkiem możliwe – odrzekł po zastanowieniu Mark.

– Nie zgadzam się – zaprzeczyła kategorycznie Jean. – Laura jest w tarapatkach – po prostu czuję to. Sam, proszę, nie rezygnujcie z poszukiwań. Nie wiem, co kombinuje Robby Brent, ale Laura

ma kłopoty.

– Uspokój się, Jeannie – rzekł łagodnie Mark.

Sam wstał od stolika.

– Porozmawiamy jutro rano, Jean. Chciałbym, żebyś przyszła do mojego biura w innej sprawie, o której rozmawialiśmy.

Dziesięć minut później, nakazawszy czujność Eddiemu Zarro, kompletnie wykończony Sam wsiadł do samochodu. Włączył silnik, zawahał się, po czym zadzwonił do Alice Sommers.

– Jest szansa, że poczęstujesz kieliszkiem sherry półżywego ze zmęczenia detektywa? – spytał.

Niedługo potem Sam siedział w głębokim skórzanym fotelu, ze stopami opartymi na podnóżku, zwrócony twarzą do kominka. Wypił ostatni łyk sherry i odstawił kieliszek na stolik obok siebie. Alice nie musiała namawiać go, by się zdrzemnął, gdy ona będzie przygotowywać kolację.

Zamykając oczy, Sam spojrzał na serwantkę z bibelotami, stojącą obok kominka. Zasnął, nim zdołał sobie uświadomić, który ze znajdujących się tam przedmiotów przyciągnął jego uwagę.

Amy Sachs skończyła dyżur o czwartej, wkrótce po wyjściu Sama Deegana z Glen-Ridge House. Umówiła się z Jakiem Perkinsem w pobliskim McDonalddie. Opowiedziała mu o ostatnich posunięciach Deegana i jego rozmowie z tym, jak go nazwała, „zadzierającym nosa dramaturgiem, Carterem Stewartem”, którą udało jej się podsłuchać.

Pałaszując hamburgera, Jake zapisywał wszystko w notesie. Był podekscytowany nieoczekiwanym natłokiem informacji. Przez całe popołudnie siedział w hotelowym holu, bacznie obserwując, co się działo, nie ośmielił się jednak kręcić się w pobliżu recepcji ani też podsłuchiwać rozmów kręcących się w holu gości.

– Jake, nie jestem pewna, czy wszystko dobrze zrozumiałam – powiedziała Amy – ale mam wrażenie, że to Robby Brent zadzwonił wczoraj, udając Laurę Wilcox. Teraz zniknął i możliwe, że był to po prostu chwyt reklamowy, mający narobić trochę szumu wokół nowego serialu telewizyjnego.

– Jesteś naprawdę bystra, Amy – pochwalił ją Jake. – Zauważyłaś coś poza tym?

– Tylko jedno. Mogłabym przysiąc, że Mark Fleischman – wiesz, ten fajny psychiatra – kocha się w doktor Sheridan. Wyszedł wcześniej dziś rano, a kiedy wrócił, natychmiast do niej zadzwonił. Podsłuchiwałam go.

– Jasne – rzekł Jake, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Powiedziałam mu, że pani Sheridan jest w kawiarni. Podziękował mi, ale zanim tam się udał, spytał, czy doktor Sheridan dostała dzisiaj jeszcze jakieś faksy. Kiedy zaprzeczyłam, zdawał się być zawiedziony. Trzeba mieć tupet, żeby pytać o cudzą korespondencję, nie sądzisz?



– Raczej, tak.

– Ale jest sympatyczny. Spytałam go, czy dzień minął mu przyjemnie. Odparł, że owszem, spotkał się ze starymi przyjaciółmi w West Point.

Po wyjściu Deegana Jean i Mark jeszcze przez godzinę siedzieli w kawiarni. Gdy zdawała mu relację ze swego spotkania z Craigiem Michaelsonem, czule ujął jej dłoń.

– Pójdiesz za radą Michaelsona i zwrócisz się do sądu o udostępnienie dokumentacji? – spytał.

– Oczywiście. Jutro idę w tej sprawie do biura Sama Deegana.

– To mądra decyzja, Jean. Ale co z Laurą? Nie wierzysz, że chodzi tu wyłącznie o chwyt reklamowy, prawda?

– Nie, nie wierzę.

– Jeśli jednak Laura naprawdę wpadła w poważne tarapaty, to co w tym wszystkim robi Brent?

– Nie mam pojęcia. – Jean rozejrzała się dookoła. – Lepiej się stąd zabierajmy. Zaczynają już nakrywać do kolacji.

Mark kiwnął na kelnera, żeby podał rachunek.

– Szkoda, że nie mogę zaprosić cię dzisiaj na kolację, ale spotkał mnie niezwykle zaszczyt przełamania się chlebem z moim ojcem.

Jean nie wiedziała, jak ma zareagować.

– Słyszałam, że od pewnego czasu nie utrzymujecie ze sobą stosunków – powiedziała w końcu. – Zadzwoił do ciebie?

– Przechodziłem dzisiaj obok domu, na podjeździe stał jego samochód. Pod wpływem impulsu zadzwoniłem. Odbyliśmy długą rozmowę – nie na tyle długą, by cokolwiek wyjaśnić, ale mam przyjść do niego na kolację. Przystałem na to pod warunkiem, że odpowie mi na kilka pytań. Zgodził się. Zobaczmy, czy dotrzyma słowa.

– Mam nadzieję, że uda ci się znaleźć rozwiązanie wszystkich twoich problemów.

– Ja również mam nadzieję, Jeannie, ale zanadto na to nie liczę. Wsiedli razem do windy. Mark nacisnął guziki czwartego i szóstego piętra.

– Do zobaczenia, Mark – powiedziała Jean, gdy winda zatrzymała się na czwartym piętrze.

Wchodząc do pokoju, zauważyła światelko migające na automatycznej sekretarce. Wiadomość zostawiła Peggy Kimball.

– Jean, właśnie przypomniałam sobie, że Jack Emerson pracował w tamtych czasach w ekipie sprzątającej budynek, w którym mieścił się gabinet doktora Connorsa. Mówiłam pani, że doktor nosił zawsze klucze do szafki z aktami w kieszeni, ale musiał mieć gdzieś schowany klucz zapasowy. Pamiętam, jak pewnego dnia zapomniał wziąć kluczy z domu, a jednak udało mu się otworzyć szafkę. Może to Emerson zajrzał do pani akt? Tak czy owak, pomyślałam, że powinna pani o tym wiedzieć. Powodzenia.

Jack Emerson, pomyślała Jean, odkładając słuchawkę i opadając na łóżko. Czy to możliwe, że on jest moim prześladowcą? Stale mieszka w tym miasteczku. Jeśli ludzie, którzy zaadoptowali Lily, również tutaj mieszkają, może ich znać.

Słyszając szelest, odwróciła się szybko i zdażyła jeszcze zobaczyć, jak przez szparę pod drzwiami wsuwa się szara koperta. Zerwała się z łóżka i otworzyła gwałtownie drzwi.

Boy hotelowy wyprostował się z przepaszającym uśmiechem.

– Doktor Sheridan, faks do pani przyszedł tuż po wielu wiadomościach przeznaczonych dla jednego z naszych gości i dostarczono go przez pomyłkę razem z nimi. Ten pan oddał go przed chwilą w recepcji.

– Nie szkodzi – powiedziała Jean cicho, a strach ścisnął ją za gardło. Zamknęła drzwi i podniosła kopertę. Rozerwała ją drżącymi palcami. Na pewno ma związek z Lily, pomyślała.

Nie pomyliła się. Faks był następującej treści:

„Jean, tak bardzo mi wstyd. Zawsze wiedziałam o Lily i znam ludzi, którzy ją adoptowali. To wspaniała dziewczyna, bardzo inteligentna. Studiuje na drugim roku college’u i jest bardzo szczęśliwa. Nie zamierzałam cię straszyć, grożąc jej. Rozpaczliwie potrzebuję pieniędzy i pomyślałam, że zdobędę je w ten sposób. Nie martw się o Lily, miewa się świetnie. Wkrótce się do ciebie odezwę. Wybacz mi, proszę, i powiedz innym, że nic mi nie jest. Chwył reklamowy był pomysłem Robby’ego. Chce porozmawiać z producentami, zanim wyda oświadczenie dla prasy.”

Laura

Pod Jean ugięły się kolana, osunęła się na łóżko, a następnie, płacząc z ulgi i radości, wybrała numer telefonu komórkowego Sama.

Telefon od Jean wyrwał Sama ze spokojnej drzemki.

– Kolejny faks? Uspokój się, Jean, przeczytaj mi go. – Słuchał przez chwilę. – Mój Boże – powiedział – trudno uwierzyć, że ta kobieta mogła tak wobec ciebie postąpić.

– Czy rozmawiasz z Jean? Coś się stało? – spytała Alice, stając w drzwiach.

– Tak. To Laura Wilcox przysyłała jej fakсы o Lily. W ostatnim przeprosiła Jean, zapewniając, że nigdy nie miała zamiaru skrzywdzić Lily.

Alice zabrała mu telefon.

– Jean, nie jesteś zbyt zdenerwowana, by prowadzić? Wobec tego przyjeżdżaj tutaj...

Kiedy Jean przyjechała, Alice zobaczyła na jej twarzy radość, której doświadczyłaby sama, gdyby jakimś sposobem, wiele lat temu, Karen pozostała przy życiu. Objęła ją.

– Och, Jean, tak się modliłam.

Jean uścisnęła ją gorąco.

– Nie mogę uwierzyć, że Laura mi to zrobiła, ale jestem pewna, że nigdy nie skrzywdziłaby Lily. A zatem chodziło tylko o pieniądze, Sam. Wiesz, pół godziny temu myślałam, że to Jack Emerson jest osobą, która wie o Lily.

– Usiądź, Jean. Wypij kieliszek sherry i powiedz spokojnie, o co chodzi. Co Jack Emerson ma z tym wspólnego?

Jean zdjęła płaszcz, weszła do salonu, usiadła w fotelu stojącym najbliżej kominka, po czym opowiedziała o telefonie od Peggy Kimball.

– Jack sprzątał w budynku, w którym mieścił się gabinet doktora Connorsa, w czasie gdy byłam jego pacjentką. To on zaplanował zjazd koleżeński, by zebrać nas tutaj. Wszystko zdawało się pasować, dopóki nie otrzymałam faksu. Och, nie powiedziałam wam. Faks przyszedł koło południa, ale zaplątał się wśród czyjejś korespondencji.

– Powinnaś była dostać go w południe? – zaciekawiał się Sam.

– Tak. Gdybym miała go wcześniej, nie pojechałabym do Craiga Michaelsona. Po otrzymaniu faksu próbowałam się do niego dodzwonić, by powiedzieć mu, że gdyby zamierzał skontaktować się z przybranymi rodzicami Lily, to niech się wstrzyma, dopóki Laura znowu się ze mną nie skontaktuje. W obecnej sytuacji nie ma potrzeby ich niepokoić.

– Czy powiedziałaś komuś o faksie od Laury? – spytał cicho Sam.

– Nie. Ale powinnam zadzwonić do Marka i go powiadomić, zanim wyjdzie na kolację. Sądzę, że ucieszy go ta wiadomość. Widział, jak bardzo się martwiłam.

Dam głowę, że Jean powiedziała Fleischmanowi, iż dzięki szczotce będzie można dojść, w

czym towarzystwie była Lily, kiedy ją straciła, pomyślał ponuro Sam.

Popatrzyli na siebie z Alice. Widział wyraźnie, że żywi ona te same obawy. Czy faks przysłała naprawdę Laura?

Jakoś trudno mi w to uwierzyć, pomyślał Sam. Jack Emerson pracował w klinice doktora Connorsa i bez trudu mógł się zaprzyjaźnić z małżeństwem z Cornwall, które zaadoptowało Lily.

Fleischman zdobył zaufanie Jean, lecz mnie nie przekonał. Coś złego siedzi w tym facecie.

Jean zostawiła Markowi wiadomość na automatycznej sekretarce.

– Nie ma go w pokoju – wyjaśniła. – Coś tu fantastycznie pachnie – powiedziała do Alice. – Jeśli nie zaprosisz mnie na kolację, to zaproszę się sama. O Boże, jestem taka szczęśliwa, taka szczęśliwa!

## Rozdział dziesiąty

Noc jest moją porą, myślał Sowa, niecierpliwie wyczekując zapadnięcia zmroku.

Wczorajszego wieczoru bez trudu udało mu się przechytryć Robby'ego Brenta. Potem przeszukał jego kieszenie, by znaleźć kluczyki i wprowadzić samochód Robby'ego do garażu. Stał tam już pierwszy wynajęty przez Sowę samochód, z ubłoconymi oponami. Wjechał na wolne miejsce, a następnie zawlókł do auta ciało Brenta.

W jakiś sposób zdradził się przed Robbym. A co z innymi? Czyżby krąg się zacieśniał? Jak długo jeszcze będzie mógł uciekać w bezpieczną ciemność nocy?

O jedenastej wyruszył samochodem na przejażdżkę po okolicy. Niezbyt blisko Cornwall, pomyślał. Może Highland Falls. Może wybrać miejsce gdzieś w pobliżu motelu, w którym Jean Sheridan niegdyś spotykała się z kadetem.

O wpół do dwunastej, wolno krążąc po wysadzonej drzewami ulicy, zauważył dwie kobiety stojące na werandzie pod zapaloną lampą. Gdy na nie patrzył, jedna odwróciła się i weszła do domu, zamykając za sobą drzwi. Druga zaczęła schodzić po stopniach werandy. Sowa zatrzymał samochód przy krawężniku, wyłączył światła i czekał na nią, gdy szła przez trawnik w stronę chodnika.

Patrzyła pod nogi i nie słyszała, jak wysiadał z samochodu. Zaczaił się w cieniu drzewa. Gdy go mijala, wychynął z mroku. Czuł, jak jego sówie ego uwalnia się z klatki. Zatkanął kobiecie usta dłonią i szybko zacisnął linkę wokół jej szyi.

– Przepraszam cię – wyszeptał – ale zostałam wybrana.

Terkot budzika obudził Sama o szóstej rano. Przypomniawszy sobie wczorajszy faks. Zbyt gładki, pomyślał. A teraz nie można mieć pewności, że sędzia wyda zezwolenie na wgląd w akta Lily.

Może taki właśnie był cel faksu. Może prześladowca spanikował, obawiając się, że jeśli sędzia zezwoli na udostępnienie akt, Lily zostanie przesłuchana w kwestii zaginionej szczotki do włosów. A to mogłoby go zdemaskować.

Takiego właśnie scenariusza obawiał się Sam. Usiadł, odrzucając koc. Z drugiej strony, pomyślał, jest przecież możliwe, że Laura jakimś sposobem dowiedziała się przed laty o ciąży Jean.

Nie, nie wierzę w ten faks i nadal uważam, że nie może być zwykłym zbiegiem okoliczności, iż pięć kobiet zmarło w tej samej kolejności, w jakiej siedziały przy stoliku w szkolnej stołówce, pomyślał Sam, idąc powoli do kuchni. Włączył ekspres do kawy i przeszedł do łazienki, by wziąć prysznic.

Włożył spodnie i marynarkę, a gdy wrócił do kuchni, kawa była już gotowa. Nalał do szklanki soku pomarańczowego i włożył do tosterka maślaną bułeczkę. Kiedy żyła Kate, zawsze jadał na śniadanie owsiankę. Przez pewien czas sam próbował ją sobie przyrządzać, ale nigdy mu nie wychodziła. W wykonaniu Kate smakowała o wiele bardziej. W końcu jednak zrezygnował.

Minęły trzy lata od chwili, gdy Kate przegrała swą długą walkę z rakiem. Kochała ten dom. To ona sprawiła, że bez względu na to, jak ciężki dzień miał za sobą, zawsze z radością tu wracał.

To wciąż ten sam dom, myślał, podnosząc gazetę spod kuchennych drzwi i siadając przy stole. Ale bez Kate wydaje się całkiem inny. Kiedy wczoraj zdrzemnął się w saloniku Alice, poczuł się jak niegdyś u siebie.

Wtedy przypomniał sobie, że gdy zasypiał, coś przyciągnęło jego uwagę. Coś w serwantce z bibelotami Alice?

Ledwie zdążył otworzyć gazetę, zadzwonił telefon. Był to Eddie Zarro.

– Sam, właśnie dostaliśmy wiadomość od szefa policji w Highland lalls. Znalezione tam uduszoną kobietę. Na trawniku przed jej domem. W kieszeni miała małą cynową sowę. Sam, mamy do czynienia z kompletnym świrem.

Jean ze zdumieniem stwierdziła, że jest już dziewiąta. Wczoraj, tuż przed zaśnięciem, pomyślała, że musi koniecznie zawiadomić Craiga Michaelsona o faksie od Laury.

Wstała z łóżka, narzuciła szlafrok, znalazła w torebce wizytówkę prawnika i zadzwoniła do jego kancelarii. Odebrał natychmiast. Wysłuchał Jean, po czym zapytał rzeczowo:

– Doktor Sheridan, czy sprawdziła pani, że ten ostatni faks pochodzi rzeczywiście od Laury Wilcox?

– Nie, bo jak miałabym to sprawdzić? Ale czy wierzę, że ona mi go przysłała? Oczywiście. Przyznam, że wstrząsnęło mną odkrycie, iż Laura знаła mój sekret. Musiała wiedzieć, że spotykałam się z Reedem. A poza tym wiadomo, że Robby Brent kupił telefon komórkowy i to on zadzwonił do mnie, podszywając się pod Laurę. Czas się zgadza. Moim zdaniem mamy więc do czynienia z dwiema różnymi sprawami. Laura zna Lily, jest splukana i rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy. Robby zaaranżował jej zniknięcie, ponieważ zamierza dać jej rolę w swoim nowym serialu komediowym i próbuje tym sposobem zrobić mu reklamę. Jest zdolny do tak przebiegłej sztuczki.

Jean czekała na słowa otuchy od Craiga Michaelsona.

– Doktor Sheridan – powiedział w końcu – będę z panią szczerzy. Brał udział w adopcji, pomyślała Jean.

– Ewentualne niebezpieczeństwo grożące pani córce jest na tyle poważne, że postanowiłem skontaktować się z jej przybranym ojcem. Nie ma go w tej chwili w kraju, ale jestem pewny, że

wkrótce się do mnie odezwie. Zamierzam powtórzyć mu wszystko, co usłyszałem od pani. Poinformuję go również, kim pani jest. Ponieważ między mną a panią nie zachodzi stosunek adwokat-klient, czuję się w obowiązku poinformować jego oraz jego żonę, że jest pani osobą godną zaufania, wiarygodną i odpowiedzialną.

– Nie mam nic przeciwko temu – rzekła Jean – ale nie chcę, żeby ci ludzie przeżyli takie piekło, jakie ja przeżyłam w ciągu kilku ostatnich dni. Nie chcę, by myśleli, że Lily grozi teraz niebezpieczeństwo. Ja już tak nie uważam.

– Mam nadzieję, że nic jej nie grozi, doktor Sheridan, lecz dopóki pani Wilcox nie da ponownie znaku życia, nie widzę podstaw do zbytniego optymizmu. Czy pokazała pani faks detektywowi, o którym mi pani wspomniała?

– Samowi Deeganowi? Tak, pokazałam, a właściwie dałam mu go.

– Czy mógłbym dostać jego numer telefonu?

– Oczywiście. – Jean podała mu numer, po czym spytała: – Panie Michaelson, dlaczego pan się niepokoi, skoro ja czuję taką ulgę?

– Chodzi o tę szczotkę do włosów. Jeśli Lily pamięta, gdzie ją zgubiła i kto wtedy z nią był – to być może ustalimy tożsamość osoby, która ją pani przysłała. Jeśli Lily przypomni sobie, że przebywała w towarzystwie Laury, wtedy treść ostatniego faksu jest prawdziwa. Jednakże znając przybranych rodziców Lily oraz styl życia pani Wilcox, żadną miarą nie potrafię sobie wyobrazić, by pani córka mogła znaleźć się w jej towarzystwie.

– Rozumiem – wycedziła Jean, zmrożona logiką jego rozumowania. Pożegnała się z Michaelsonem, ustalając, że będą w kontakcie.

Prokurator okręgowy Rich Stevens położył przed Samem na biurku grubą kopertę.

– To są zdjęcia z miejsca zbrodni – powiedział. – Joy przyjechała tam pierwsza, zaraz po telefonie. Wprowadź Sama w szczegóły dotyczące ofiary, Joy.

W biurze prokuratora poza Samem i Eddiem Zarro było jeszcze czworo detektywów. Joy Lacko, jedyna kobieta w zespole, pracowała od niespełna roku, ale Sam żywił ogromny szacunek dla jej inteligencji i umiejętności wydobywania informacji od zszokowanych lub pogrążonych w bólu świadków.

– Ofiara nazywa się Yvonne Tepper. Rozwódka, sześćdziesiąt trzy lata, dwóch dorosłych synów, obaj żonaci, mieszkają w Kalifornii. – Joy trzymała w dłoni notes, lecz nie zaglądała do niego. Patrzyła Samowi prosto w oczy. – Yvonne była właścicielką salonu fryzjerskiego, wszyscy ją lubili. Jej były mąż ożenił się ponownie i mieszka w Illinois. – Umilkła na chwilę. – Sam, wszystko to prawdopodobnie nie ma znaczenia, zważywszy na fakt, że w kieszeni pani Tepper znaleźliśmy cynową sowę.

– Jak się domyślam, nie było na niej odcisków palców? – spytał Sam.

– Żadnych. Ale musi być to ten sam facet, który napadł na Helen Whelan w piątek wieczorem.

Rich Stevens powiódł kolejno spojrzeniem po twarzach detektywów.

– Biję się z myślami, czy ujawnić prasie informację o sowie. Może ktoś będzie wiedział coś o facecie, mającym obsesję na punkcie sów lub zajmującym się ich kolekcjonowaniem.

– Łatwo sobie wyobrazić, jakie używanie będą miały media, jeśli dowiedzą się o cynowych figurkach, zostawianych w kieszeniach ofiar – rzekł spiesznie Sam. – Jeśli dla tego świra jego postęпки są źródłem narcystycznej satysfakcji, damy mu dokładnie to, czego pragnie. Nie wspomnę już o sprowokowaniu ewentualnych naśladowców.

– Nikogo nie ostrzeżemy, rozgłaszając tę informację – dodała Joy. – On zostawia sowę po dokonaniu morderstwa, a nie przed.

Ostatecznie wszyscy zebrani zgodzili się, że – jak wskazują dowody – Helen Whelan i Yvonne Tepper zostały zamordowane przez tę samą osobę lub osoby.

– Najbardziej przeraża mnie myśl – powiedziała Joy, gdy już zbierali się do wyjścia – że za kilka dni facet znów wypuści się na łowy i kolejna niewinna kobieta straci życie. Tylko dlatego, że przypadkiem znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – oświadczył Stevens ostro. A ja tak, pomyślał Sam. A ja tak.

O dziesiątej do Craiga Michaelsona zadzwonił generał Buckley.

– Jak się masz, Charles? – spytał Michaelson.

– Świetnie, dziękuję – odparł zaniepokojonym tonem generał. – Ale co to za nagła sprawa? Co się stało?

Michaelson wciągnął powietrze.

– Jak zapewne podejrzewałeś, chodzi o Meredith, ale może sprawa nie jest tak poważna, jak się obawiałem. Wczoraj odwiedziła mnie doktor Jean Sheridan. Słyszałeś o niej?

– To ta historyczka? Tak, słyszałem o niej. Pierwszą książkę napisała o West Point. Bardzo mi się spodobała i przeczytałem kolejne. To dobra pisarka.

– Nie tylko – rzekł Michaelson bez ogródek. – Jest też biologiczną matką Meredith.



– Jean Sheridan jest matką Meredith! – wykrzyknął Buckley. Michaelson opowiedział mu o historii Jean Sheridan i o groźbach pod adresem Meredith. Potem oznajmił:

– Craig, wiesz, że fakt adopcji nie jest dla Meredith tajemnicą. Od młodości pragnie odnaleźć swą biologiczną matkę.

– Tak, ale dwadzieścia lat temu nie ujawniłem ci, że biologicznym ojcem Meredith był kadet, który zginął w wypadku samochodowym na terenie West Point. Nazywał się Carroll Reed Thornton junior. Został potrącony przez kierowcę, który zbiegł z miejsca wypadku.

– Znam jego ojca – powiedział cicho Buckley. – Nigdy nie pogodził się ze śmiercią syna. Trudno mi uwierzyć, że jest dziadkiem Meredith.

– Jest, Charlesie. W chwili obecnej Jean Sheridan spadł z serca ogromny ciężar, uwierzyła bowiem, że to Laura Wilcox przysyłała jej faksy o Meredith. W ten ostatni, z rzekomymi przeprosinami, wierzy bez zastrzeżeń. Ja nie.

– Nie bardzo sobie wyobrażam, gdzie Meredith mogłaby spotkać Laurę Wilcox – rzekł po namyśle Charles Buckley.

– Zareagowałem dokładnie w ten sam sposób.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, po czym Buckley spytał:

– Czy Jean Sheridan nadal jest w Cornwall?

– Tak. Zamierza czekać w Glen-Ridge House na następną wiadomość od Laury.

– Zadzwoń do Meredith i spytam, czy kiedykolwiek spotkała Laurę Wilcox i czy pamięta, gdzie zgubiła tamtą szczotkę. Mam dziś naradę w Pentagonie, ale jutro rano przylecimy z Gano do Cornwall. Możesz zadzwonić do Jean Sheridan i powiadomić ją, że chcielibyśmy zaprosić ją jutro na kolację?

– Oczywiście.

– Nie chcę straszyć Meredith, ale mogę poprosić ją, by przyrzekła, że nie ruszy się na krok z terenu West Point, dopóki nie zobaczymy się z nią w piątek.

– I możesz liczyć na to, że dotrzyma obietnicy?

– Jasne, że tak – odparł Buckley.

Mam nadzieję, że się nie mylisz, pomyślał Craig Michaelson.

– Zadzwoń do mnie po rozmowie z córką, Charles.

– Oczywiście.

General Buckley oddzwonił po godzinie. W jego głosie słycać było wyraźny niepokój.

– Craig, miałeś rację, traktując sceptycznie ten faks. Meredith jest pewna, że nigdy nie spotkała Laurę Wilcox i nie ma zielonego pojęcia, gdzie zgubiła tamtą szczotkę. Rano czeka ją ważny egzamin, nie chciałem jej więc zbyt mocno denerwować. Cieszy się ogromnie, że przyjeżdżamy do niej oboje z matką. Podczas weekendu powiemy jej o Jean Sheridan i stworzymy im okazję, by się poznały. Poprosiłem Meredith, by mi obiecała, że pozostanie na terenie akademii, dopóki się tam nie zjawimy. Wyśmiała mnie, mówiąc, że ma tyle nauki, iż nie wytknie nosa poza uczelnię do soboty rano. Ale swoją drogą dała mi słowo.

To dobrze, pomyślał Craig Michaelson, odkładając słuchawkę. Teraz wiadomo z całą pewnością, że to nie Laura Wilcox wysłała tamten faks i Jean Sheridan musi się o tym dowiedzieć.

## Rozdział jedenasty

Zeszłej nocy – a może było to rano? – przyniósł jej bułkę z dżemem. Pamiętał też, że lubi kawę z chudym mlekiem. Nie mogła przestać myśleć o tym, co opowiedział jej, gdy siedziała w fotelu.

– Wczoraj w nocy, Lauro, wyruszyłem na polowanie. W hołdzie dla Jean postanowiłem pojechać do Highland Falls. To tam spotykała się potajemnie ze swoim kadetem. Wiedziałaś o tym, Lauro?

Laura pokręciła przecząco głową.

– Odpowiadaj, Lauro! – ponaglił ją, wpadając w gniew. – Wiedziałaś, że Jean ma romans z kadetem?

– Spotkałam ich raz na koncercie w West Point, ale niczego nie podejrzewałam – odpowiedziała Laura. – Jeannie nigdy nie mówiła o nim żadnej z nas.

Sowa pokiwał głową, zadowolony z odpowiedzi.

– Ja wiedziałem, że Jean bywa w West Point niemal w każdą niedzielę. Zwykle siadywała na jednej z ławek z widokiem na rzekę. Pewnego razu, kiedy jej szukałem, zobaczyłem, że przysiadł się do niej kadet. Śledziłem ich, gdy wybrali się na spacer. Kiedy myślał, że są sami, pocałował ją. Od tamtej pory miałem ich na oku, Lauro. Szkoda, że nie widziałaś wyrazu twarzy Jean, gdy byli razem. Wprost promieniała! Jean, którą uważałem za pokrewną duszę, biorąc pod uwagę wieczne awantury jej rodziców – wiodła życie, z którego mnie wyłączyła.

A ja byłem głęboko przekonana, że on durzy się we mnie, pomyślała Laura, i że nienawidzi mnie, bo się z niego wyśmiewałam. Tymczasem on kochał Jeannie. Potworne rzeczy, które jej potem opowiedział, wciąż przenikały do jej świadomości.

– Śmierć Reeda Thorntona nie była przypadkiem, Lauro – oznajmił Sowa. – W ostatnią niedzielę maja jeździłem po kampusie, wypatrując ich. Przystojny złotowłosy Reed szedł sam drogą prowadzącą na tereny piknikowe. Czy chciałem go zabić? Oczywiście, że tak. Miał wszystko, czego ja nie miałem – urodę, odpowiednie pochodzenie, obiecującą przyszłość. I miłość Jeannie. To nie było sprawiedliwe. Nie było sprawiedliwe!

Potem opowiedział jej ze szczegółami o kobiecie, którą zabił wczoraj wieczorem i o tym, że ją przeprosił. Lecz kiedy nadejdzie pora śmierci Laury i Jean, żadnych przeprosin nie będzie.

Meredith ma być jego ostatnią ofiarą.

Ciekawe, kim jest Meredith, myślała apatycznie Laura. W końcu zapadła w sen, w którym atakowały ją sowy, upiornie pohukując i trzepocząc cicho skrzydłami. Próbowwała przed nimi uciec, lecz nogi odmawiały jej posłuszeństwa.

Przez długie minuty po zakończeniu rozmowy z Craigiem Michaelsonem, Jean siedziała przy biurku i zastanawiała się, czy nie zbyt spieszenie uznała faks za autentyczny. Tak bardzo pragnęła wierzyć, że Lily jest bezpieczna.

Wreszcie wstała. Muszę iść na spacer, pomyślała. Tylko w ten sposób zdołam uporządkować myśli. Włożyła czerwony dres, w którym zwykle biegała.

Obawiając się, że podczas jej nieobecności mogłaby zadzwonić Laura, podniosła słuchawkę telefonu znajdującego się w pokoju i po przeczytaniu instrukcji, nagrała wiadomość, podając numer swojej komórki. Po namyśle dodała:

– Lauro, chcę ci pomóc. Proszę, zadzwoń do mnie!

Odłożyła słuchawkę i przetarła oczy. Wcześniejsza euforia ulotniła się bez śladu. Miała jednak odrobinę nadziei, że faks przysłała Laura. A jeśli nawet nie Laura wysyłała te pogróżki, myślała nerwowo, wie, kto to robił. Dlatego muszę ją przekonać, że chcę jej pomóc.

Włożyła do kieszeni telefon komórkowy, okulary przeciwsłoneczne i klucz od pokoju. Po namyśle wyjęła z portfela dwudziestodolarowy banknot. Może wstąpi gdzieś na kawę i rogalika?

Zeszła do holu. W recepcji siedziała kobieta w ogromnych okularach. To niewątpliwie ona odebrała telefon od Laury, pomyślała Jean. Podeszła do kontuaru i zerknęła na plakietkę z nazwiskiem. „Amy Sachs”.

– Amy – powiedziała Jean z uśmiechem. – Jestem przyjaciółką Laury Wilcox i ogromnie się o nią niepokoję. Podobnie zresztą jak wszyscy. Z tego, co wiem, pani oraz Jake Perkins rozmawialiście z nią w niedzielę wieczorem. Prawie nie znała pani Laury Wilcox, czy jest pani absolutnie pewna, że z nią pani rozmawiała?

– Tak, doktor Sheridan – odparła poważnym tonem Amy Sachs. – Proszę nie zapominać, że znam jej głos z serialu „Henderson County”. Przez trzy lata nie opuściłam ani jednego odcinka. Regularnie, jak w zegarku, o ósmej wieczorem w każdy wtorek, siadałyśmy z mamą przed telewizorem, by śledzić losy naszych ulubionych bohaterów.

– W takim razie rzeczywiście zna pani głos Laury. Amy, czy może mi pani powiedzieć, jak brzmiał tamtego wieczoru?

– Cóż, brzmiał dziwnie. To znaczy dziwnie inaczej. W pierwszej chwili wydawało mi się, że może ma kaca, ale teraz uważam, że Jake miał rację. Pani Wilcox nie sprawiała wrażenia osoby, która za dużo wypija. Była bardzo zdenerwowana – bardzo, bardzo zdenerwowana, jak gdyby siłą woli powstrzymywała się od płaczu.

– Rozumiem. – A więc nie myliłam się. To nie jest chwyt reklamowy.

– Jeszcze jedno, doktor Sheridan, bardzo przepraszam, że wczorajszy faks do pani zaplątał się

w korespondencję pana Cullena. Szczycimy się tym, że dostarczamy natychmiast nasze fakсы pod właściwy adres. Muszę wyjaśnić tę pomyłkę doktorowi Fleischmanowi, kiedy go zobaczę.

– Doktorowi Fleischmanowi? – spytała z zaciekawieniem Jean. – Czy istnieje jakiś powód, dla którego miałaby pani udzielić tego wyjaśnienia?

– Cóż, kiedy wrócił wczoraj po południu ze spaceru, zadzwonił z recepcji do pani pokoju. Wiedziała, że jest pani w kawiarni, toteż poinformowałam go, że tam panią znajdzie. Wtedy zapytał, czy dostała pani nowe fakсы, i był wyraźnie zaskoczony, kiedy usłyszał, że nie. Wydawało mi się, że nie jest dla niego tajemnicą, iż oczekuje pani na wiadomości.

– Aha. Dziękuję, Amy – rzekła Jean, starając się ukryć zdenerwowanie. Dlaczego Mark się tym interesuje? – zastanawiała się, wychodząc przez frontowe drzwi.

Włożyła przeciwsłoneczne okulary, ruszyła przed siebie, nie mogąc opędzić się od myśli, której nie chciała przyjąć do wiadomości. Czy to Mark był autorem faksów z groźbami pod adresem Lily? Czy to on przysłał jej szczotkę do włosów należącą do jej córki? Mark, który tak ją pocieszał, kiedy zwierzała mu się ze swoich obaw?

Mark wiedział, że spotykałam się z Reedem. Sam mi powiedział, że widział nas razem, kiedy biegał w West Point. Czy jakimś sposobem zdołał poznać mój sekret? Jeśli to nie on przysyłał mi fakсы, dlaczego miałoby go obchodzić, czy dostałam wiadomość wczoraj po południu? Czyżby to on stał za tym wszystkim?

Nie chcę w to wierzyć. Nie mogę w to wierzyć! Ale dlaczego pytał recepcjonistkę, czy dostałam faks? Dlaczego nie zapytał mnie?

Jean krążyła bez celu po ulicach, które w latach dzieciństwa znała jak własną kieszeń. Wreszcie wstąpiła do barku na końcu Mountain Road. Przygnębiona, usiadła przy kontuarze i zamówiła kawę. Teraz jest jeszcze gorzej niż na początku, pomyślała. Nie wiem, komu ufać i w co wierzyć.

Chuderlawy, siwowłosy sprzedawca nazywał się Duke Mackenzie, tak przynajmniej głosił napis wyhaftowany czerwoną nitką na jego fartuchu.

– Jest pani tutaj po raz pierwszy? – spytał, nalewając jej kawy.

– Nie. Spędziłam tu dzieciństwo i młodość.

– Brała pani udział w tym zjeździe koleżeńskim w Stonecroft?

– Owszem.

– Gdzie pani kiedyś mieszkała?

Jean machnęła ręką w kierunku zaplecza barku.

– Tam, na Mountain Road.

– Serio? Nie mieszkaliśmy wtedy tutaj. Na miejscu naszego bistra znajdowała się kiedyś pralnia chemiczna.

– Pamiętam. – Jean upiła łyk kawy.

– Mojej żonie i mnie spodobało się Cornwall. Kupiliśmy ten lokal jakieś dziesięć lat temu. Musieliśmy przeprowadzić generalny remont.

Jean pokiwała głową. Nagle zapragnęła jak najprędzej stąd wyjść, wypiła więc jednym haustem resztę kawy, położyła na ladzie dwudziestodolarowy banknot i poprosiła o rachunek.

Kiedy Duke sięgał do kasy, by wydać jej resztę, zadzwonił telefon komórkowy Jean. Był to Craig Michaelson.

– Cieszę się, że zostawiła mi pani swój numer, doktor Sheridan – powiedział. – Czy możemy swobodnie mówić?

– Tak. – Jean odsunęła się od kontuaru.

– Rozmawiałem przed chwilą z przybranym ojcem pani córki. Przyjeżdża jutro z żoną do Cornwall. Zapraszają panią na kolację. Lily, jak nazywa pani córkę, wie, że została adoptowana, i zawsze pragnęła poznać swoją biologiczną matkę. Jej rodzice również są za tym. Poza tym muszę pani powiedzieć, że praktycznie nie jest możliwe, by pani córka zetknęła się kiedykolwiek z Laurą Wilcox. Musi pani wobec tego założyć, że ostatni faks jest mistyfikacją. Ponieważ jednak znam obecne miejsce pobytu Lily, mogę panią zapewnić, że nic jej nie grozi.

Przez chwilę Jean była tak osłupiała, że nie mogła wykrztusić słowa.

– Doktor Sheridan?

– Słucham, panie Michaelson – wyszeptała.

– Czy ma pani wolny jutrzejszy wieczór?

– Tak, oczywiście.

– Zaproponowałem, żebyśmy umówili się na kolację u mnie w domu. Dzięki temu nikt nie zakłóci wam spokoju. Potem, podczas najbliższego weekendu, spotka się pani z Meredith.

– Meredith? Tak ma na imię moja córka? – Jean zdała sobie sprawę, że jej głos stał się nagle piskliwy, ale nie potrafiła nad tym zapanować. Wkrótce ją zobaczę, pomyślała. Będę mogła ją przytulić. Nie przejmowała się tym, że łzy spływają jej po twarzy ani tym, że Duke gapi się na nią i chłonie każde jej słowo.

– Tak – powiedział Michaelson łagodnym tonem. – Przyjadę po panią do hotelu jutro o

siódmej.

- Jutro o siódmej – powtórzyła Jean. Wyłączyła telefon, po czym otarła łązy wierzchem dłoni.
- Wygląda na to, że dostała pani dobrą wiadomość – wtrącił swoje trzy grosze Duke.
- Tak, rzeczywiście. – Jean wzięła z kontuaru resztę i żwawym krokiem opuściła bistro.

Duke Mackenzie odprowadził ją uważnym spojrzeniem. Kiedy tu przysła, była raczej w ponurym nastroju, ale po rozmowie telefonicznej miała minę, jak ktoś, kto trafił główną wygraną na loterii. O co, u licha, jej chodziło, gdy pytała, jak ma na imię jej córka?

Patrzył przez okno, jak Jean zaczyna iść w górę Mountain Road. Gdyby się tak nie śpieszyła, spytałby ją o tego faceta w ciemnych okularach i czapce, który od dwóch dni przychodzi tu rano o szóstej, gdy tylko otworzą barek. Za każdym razem zamawia to samo na wynos – sok, bułkę z masłem i kawę. Potem wsiada do samochodu i jedzie w górę Mountain Road.

Ten typek to kompletny dziwak, myślał Duke, wycierając blat. Spytałem go, czy jest uczestnikiem zjazdu, a ten mądrała odpowiedział: „To ja jestem zjazdem”.

Duke nalał sobie filiżankę kawy. Mnóstwo się dzieje, odkąd zjechali się tu ci ludzie w zeszłym tygodniu. Jeśli tamten gburowaty facet przyjdzie dzisiaj po kanapkę i kawę, spytam go o tę babkę. Ona też brała udział w zjeździe i jest naprawdę atrakcyjna, toteż na pewno będzie wiedział, kto to taki. To jakieś wariactwo pytać o imię własnej córki. Może on wie, co jest z tą kobitą nie tak.

Lili... Meredith. Lily... Meredith – szeptała Jean do siebie, wracając do hotelu. Może zobacze ją podczas tego weekendu, myślała. Spróbowała na chwilę odsunąć od siebie radosne myśli o spotkaniu z córką i skoncentrować się na Laurze oraz na nowym scenariuszu wydarzeń, który przyszedł jej do głowy.

Robby Brent. Czy to on jest nadawcą faksów? Czyżby przed laty dowiedział się o tym, że jestem w ciąży? A teraz uświadomił sobie, że może być pociągnięty do odpowiedzialności za wysyłanie pogroźek i chce obarczyć winą Laurę.

Całkiem niewykluczone, doszła do wniosku Jean. Robby ma tak wstrętny charakter, że dowiedziawszy się w jakiś sposób o Lily, może wysyłać mi te faksy w charakterze żartu. Okrutnego żartu. Ale jeśli rzeczywiście to on wysyłał faksy i szczotkę, musi się teraz niepokoić, że grozi mu sprawa sądowa. Jeśli zaplanował wspólnie z Laurą chwyt reklamowy, to jego postępek odniósł skutek odwrotny do zamierzonego. W takim razie skontaktuje się zapewne ze swoimi producentami, by wymyślić jakąś historyjkę. Media będą ich nękać, żądając wyjaśnień.

Z drugiej strony to Jack Emerson sprzątał wieczorami w gabinecie doktora Connorsa i mógł dobrać się do akt pacjentek. Poza tym muszę się dowiedzieć, dlaczego Mark pytał recepcjonistkę, czy dostałam faks, a potem był rozczarowany, gdy powiedziała mu, że nie. Cóż, przynajmniej to mogę dość szybko wyjaśnić, pomyślała Jean, wchodząc do holu Glen-Ridge House.

Skierowała się prosto do recepcji i spytała Amy Sachs, czy jest dla niej jakaś korespondencja.

– Nie – odparła Amy.

Jean skinęła głową, podniosła słuchawkę wewnętrznego telefonu i podała telefonistce nazwisko Marka. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Jean, niepokoiłem się o ciebie – powiedział.

– Ty mnie też niepokoisz – odrzekła spokojnie. – Jest prawie pierwsza, a ja jeszcze nie miałam w ustach nic poza filiżanką kawy. Idę do kawiarni. Będzie mi miło, jeśli się do mnie przyłączysz, ale nie zadawaj sobie trudu, by sprawdzać w recepcji, czy przysły do mnie jakieś nowe faksy. Nie przysły.

W środę rano Jake Perkins uczestniczył we wszystkich zajęciach z wyjątkiem seminarium na temat kompozycji literackiej. Uważał, że jest do niego lepiej przygotowany niż nauczyciel. Udał się więc do klasy, w której mieściła się redakcja szkolnej gazety. Zaczął przekopywać się przez akta, oglądając zdjęcia do „Stonecroft Gazette”, robione podczas czterech lat pobytu Laury Wilcox w Stonecroft. Laura występowała w wielu szkolnych przedstawieniach i Jake znalazł kilka fotografii, o które mu chodziło. Na jednym, absolutnie kapitalnym, znajdowała się wśród dziewcząt tańczących w jednym rzędzie. Miała wysoko uniesioną nogę, na ustach olśniewający uśmiech. Była bez wątpienia szalową laską.

Kiedy jednak natrafił na zdjęcie klasy Laury, zrobione podczas rozdania świadectw, otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Wziął lupę i przyjrzał się badawczo twarzom absolwentów. Laura, oczywiście, wyglądała przepięknie. Ale to Jean Sheridan przyciągnęła jego uwagę. Jest smutna, pomyślał Jake, naprawdę smutna. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że właśnie otrzymała medal za osiągnięcia w historii oraz pełne stypendium do Bryn Mawr.

Większość absolwentów miała przyklejone do twarzy sztuczne uśmiechy. Tylko jeden chłopak uśmiechał się wesoło. Nie patrzył jednak w obiektyw aparatu, lecz na Jean Sheridan. Co za niesamowity kontrast, pomyślał Jake, ona wygląda, jakby straciła ostatniego przyjaciela, a on śmieje się od ucha do ucha.

Pokręcił głową, patrząc na stertę zdjęć, leżących przed nim na stole. Na razie mam dość, stwierdził w duchu. Muszę porozmawiać z Jill Ferris. Była to nauczycielka, mająca pod opieką „Gazette”. Uważał ją za równą babkę. Miał nadzieję, że zdoła ją przekonać, by pozwoliła mu zamieścić zdjęcie tańczącej Laury na pierwszej stronie następnego numeru, a zbiorowe, z rozdania świadectw, na ostatniej. W środku znajdzie się historia dziewczyny, która niegdyś miała wszystko, a teraz jej sława gasła, oraz o gamoniach, którzy osiągnęli szczyty kariery.

Poszedł do pracowni, gdzie trzymano sprzęt fotograficzny. Spotkał tam panią Ferris. Przedstawił jej swój pomysł, ona zaś pozwoliła mu wypożyczyć ciężki staroświecki aparat, którym Jake uwielbiał robić zdjęcia.



Nie mógł się doczekać, by sfotografować dom, w którym mieszkała Laura Wilcox, kiedy była jeszcze dziewczynką. W tym samym domu zamordowano później studentkę medycyny, Karen Sommers. Jake uznał, że jego artykuł zyska dzięki temu na atrakcyjności.

Carter Stewart spędził prawie cały środowy poranek w swoim apartamencie w Hudson Valley Hotel. Nie cierpiał, gdy ktoś przeszkadzał mu w trakcie pisania, o czym jego agent, Tim Davis, doskonale wiedział. Mimo to o jedenastej przeraźliwy dzwonek telefonu zniweczył twórcze skupienie Cartera. Dzwonił Tim.

– Carter – zaczął się tłumaczyć Tim – wiem, że obiecałem nie przeszkadzać ci, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne, ale...

– Lepiej niech to będzie absolutnie konieczne, Tim – warknął Carter.

– Przed chwilą dzwonił do mnie Angus Schell. To agent Robby’ego Brenta. Dostaje świra, ponieważ Robby obiecał przesłać mu najdalej do wczoraj dopracowany scenariusz nowego serialu, a on na razie niczego nie dostał. Angus zostawił mu kilkanaście wiadomości, lecz Robby się nie odezwał. Sponsor wściekł się z powodu rzekomego chwytu reklamowego, który zastosowali Robby Brent i Laura Wilcox. Grozi, że zrezygnuje z serialu.

– To nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia – odparł Carter Stewart lodowatym tonem.

– Carter, mówiłeś mi niedawno, że Robby zamierzał pokazać ci te poprawki w scenariuszu. Widziałeś je?

– Nie, nie widziałem. Kiedy przyjechałem do niego do hotelu, by się z nimi zapoznać, nie zastałem go. Od tamtego czasu się nie odezwał. A teraz wybacz...

– Carter, proszę, wyjaśnijmy wszystko do końca. Twoim zdaniem Robby dokonał poprawek, które obiecał sponsorowi?

– Tim, słuchaj uważnie, wyjaśnię ci to w łopatologiczny sposób. Robby powiedział mi, że wprowadził te poprawki. Poprosił mnie, żebym rzucił na nie okiem. Obiecałem mu, że to zrobię, a kiedy przyjechałem do jego hotelu, nie było go tam. Innymi słowy, dokonał poprawek i zmarnował mój czas.

– Posłuchaj, Carter, naprawdę bardzo cię przepraszam – rzekł potulnie Davis, starając się uspokoić swego klienta – ale czy mógłbyś wyświadczyć mi grzeczność i sprawdzić, czy Robby nie zostawił przypadkiem scenariusza w swoim pokoju w hotelu? Kiedy rozmawiałem z nim ostatnio, chwalił się, że dzięki dokonany przez niego przeróbkom, scenariusz będzie szalenie zabawny. Kiedy używa tego słowa, naprawdę tak myśli. Gdyby udało nam się wysłać scenariusz przesyłką priorytetową, może uratowalibyśmy serial.

Stewart nic nie odpowiedział.

– Carter, nie lubię przeceniać własnej roli, ale dwanaście lat temu, kiedy ty wciąż pukałeś do rozmaitych drzwi, to ja otworzyłem ci moje i doprowadziłem do wystawienia twojej pierwszej sztuki. Nie zrozum mnie źle. Od tamtej pory mnie również świetnie się wiodło, ale teraz proszę cię w zamian o drobną przysługę.

– Omal się nie popłakałem, Tim – rzekł Carter. – Ale zgoda, pojedę do hotelu Robby’ego i sprawdzę, czy uda mi się nakłonić obsługę, by wpuściła mnie do jego pokoju.

– Carter, nie wiem, jak mam...

– Jak masz mi dziękować? Z pewnością nie wiesz. Do widzenia, Tim. Stewart miał na sobie dżinsy i sweter. Kurtka i czapka leżały na fotelu tam, gdzie je rzucił. Wstał, wzdychając z rozdrażnieniem, włożył kurtkę, sięgnął po czapkę i wyszedł z pokoju.

Po godzinie Carter Stewart był już w pokoju Robby’ego Brenta w Glen-Ridge House. Towarzyszyli mu dyrektor hotelu, Justin Lewis, oraz jego zastępca, Jerome Warren, obaj wyraźnie zdenerwowani z powodu ewentualnej odpowiedzialności hotelu za to, że pozwolili Stewartowi zabrać cokolwiek z pokoju gościa.

Stewart podszedł do biurka, na którym leżał gruby maszynopis.

– To jest scenariusz, który redagował pan Brent – powiedział. – Jest on bezzwłocznie potrzebny wytwórni filmowej. Nie wezmę go do ręki nawet na chwilę. – Zaprosił gestem dłoni Justina Lewisa. – Proszę, niech pan go weźmie, a pan – wskazał na Jerome’a Warrena – niech przytrzyma kopertę. Potem panowie sami zdecydujecie, kto ją zaadresuje. Czy satysfakcjonuje panów takie rozwiązanie?

– Oczywiście, proszę pana – odparł nerwowo Lewis. – Mam nadzieję, że rozumie pan, dlaczego staramy się zachować ostrożność.

Carter Stewart nie odpowiedział. Wpatrywał się w kartkę, którą Robby zostawił opartą o aparat telefoniczny. „Wtorek, o trzeciej, spotkanie z Howiem w sprawie scenariusza”.

Dyrektor również ją zauważył.

– Panie Stewart – zauważył – jak rozumiem, to pan miał się spotkać w sprawie tego scenariusza z panem Brentem?

– Owszem.

– Wobec tego, czy mogę spytać, kim jest Howie?

– Pan Brent miał mnie na myśli. To taki żart.

– Ach, rozumiem.

– Jestem pewien, że tak. Panie Lewis, zna pan przysłowie, że ten się śmieje, kto się śmieje ostatni?

– Znam – odrzekł Justin Lewis.

– To dobrze – zachichotał Carter. – Bo doskonale pasuje do tej sytuacji. A teraz, podam panom adres.

Sam Deegan wyszedł z biura prokuratora okręgowego o dwunastej. Rich Stevens wycofał go ze śledztwa w sprawie dwóch zabójstw i polecił mu skoncentrować się na odnalezieniu Laury Wilcox oraz zapewnieniu bezpieczeństwa córce Jean Sheridan.

Przed powrotem do swego biura Sam wstąpił do kantyny mieszczącej się w budynku sądu i zamówił kawę oraz kanapkę z ciemnego chleba z szynką i serem szwajcarskim na wynos.

– Chciał pan powiedzieć „kanapkę w butach” – zażartował nowy bufetowy. Zauważywszy zdziwioną minę Sama, wyjaśnił: – Nikt już teraz nie mówi „na wynos”, lecz „w butach”.

Mógłbym przeżyć resztę życia, nie wiedząc tego, pomyślał Sam, gdy znalazł się wreszcie w swoim gabinecie i wyjął kanapkę z torebki. Położył ją właśnie na biurku, gdy do gabinetu weszła Joy Lacko.

– Szef wycofał mnie ze śledztwa w sprawie morderstw – oznajmiła. – Chce, żebym pracowała z tobą. Zaznaczył, że wszystko mi wyjaśnisz.

Sam zdał jej szczegółową relację z tego, co wiedział o Jean Sheridan i jej córce Lily.

– Nie jestem w stanie uwierzyć, że to zrzędzeniem ślepego losu pięć kobiet, absolwentek Stonecroft, umarło w takiej samej kolejności, w jakiej siedziały kiedyś przy stoliku w stołówce – zakończył Sam. – Teraz kolej na Laurę.

– Chcesz powiedzieć, że zagięły dwie sławne osoby, co może, ale nie musi być chwytem reklamowym, ktoś grozi przybranej córce generała, która jest kadetem West Point, a pięć kobiet zmarło w kolejności, w jakiej siedziały niegdyś przy stoliku w szkolnej stołówce? Nic dziwnego, że zdaniem Richa Stevensa potrzebna ci pomoc – powiedziała Joy.

– Naprawdę jej potrzebuję – przyznał Sam. – Najważniejsze jest teraz odnalezienie Laury Wilcox. Jeśli tamte pięć kobiet rzeczywiście zamordowano, to jest rzeczą oczywistą, że Laura znajduje się w niebezpieczeństwie.

– A co z rodziną Laury, z jej bliskimi przyjaciółmi? Rozmawiałeś z jej agentem? – Joy wyjęła notes.

– Zadajesz właściwe pytania, Joy – rzekł Sam. – W poniedziałek zadzwoniłem do jej agencji. Okazuje się, że Alison Kendall osobiście zajmowała się sprawami Laury. Rozmawiałem z facetem z

Kalifornii, który prowadził śledztwo w sprawie śmierci Alison Kendall. Stwierdził, że nic nie wskazywało na morderstwo. Ale mnie to nie zadowala. Kiedy powiedziałem Stevensowi o koleżankach z jednego stolika, poleciłby odpowiednie komisariaty, które prowadziły śledztwo w sprawie kolejnych śmierci, dostarczyły dokumentację. Pierwsza kobieta zginęła dwadzieścia lat temu, toteż uda nam się zebrać wszystko pewnie nie szybciej niż w ciągu tygodnia. Gdy już zgromadzimy materiały, weźmiemy je pod lupę i zobaczymy, czy jest w nich coś ciekawego.

Począł, aż Joy zapisze wszystko w notesie.

Po chwili wstał i przeciągnął się.

– Zamierzam też złożyć wizytę Dorothy Connors, wdowie po lekarzu, który odebrał poród Jean Sheridan. Jean spotkała się z nią parę dni temu i odniosła wrażenie, że starsza pani coś ukrywa. Może mnie się uda więcej uzyskać.

– Sam, jestem biegła w surfowaniu po Internecie – powiedziała Joy. – Pozwól, że poszukam czegoś na temat śmierci dziewcząt ze Stonecroft, a ty odwiedź panią Connors. – Zamknęła notes. – Pogadamy później.

## Rozdział dwunasty

Jean, miałem naprawdę ważny powód, żeby pytać w recepcji, czy dostałaś faks – rzekł cicho Mark, kiedy dołączył do niej w kawiarni.

– Wobec tego wyjaśnij mi to.

Mark przyglądał się jej z zatroskaną miną, a Jean zdawała sobie sprawę, że nie potrafi ukryć przed nim nieufności, która się w niej zrodziła.

Lily-Meredith jest bezpieczna i niebawem ją zobaczę, pomyślała. Tylko to jest teraz ważne.

Ale przesyłka ze szczotką, potem faksy z pogrózkami, róża przy grobie Reeda – wszystko to wyczerpało ją psychicznie.

Powinnam była dostać ostatni faks wczoraj późnym popołudniem, przypomniała sobie, patrząc ponad stołem na Marka. Ufałam ci, myślała. Wczoraj, kiedy opowiadałam o Lily, byłeś pełen zrozumienia i współczucia. Czyżbyś tylko kpił ze mnie?

– Jean – powiedział – szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że będziesz nadal otrzymywała wiadomości, ktokolwiek ci je przysyła.

– Dlaczego?

– Ponieważ znaczyłoby to, że ów ktoś, on czy ona, chce pozostać z tobą w kontakcie. Teraz dostałaś faks od Laury i cieszysz się, że nie robi krzywdy Lily. Ale najważniejsze, że odezwała się do ciebie. Tego właśnie szukałem wczoraj. Tak, byłem zmartwiony, kiedy recepcjonistka powiedziała, że nie otrzymałaś żadnej wiadomości. Niepokoiłem się o bezpieczeństwo Lily.

Popatrzył na nią uważnie i troska malująca się na jego twarzy ustąpiła miejsca zdumieniu.

– Jean, myślałaś, że to ja przysyłałem ci te faksy i dlatego wiedziałem, że ten, który otrzymałaś wczoraj, powinien być nadejść wcześniej?

Czy mu wierzę? – zastanawiała się Jean. Nie wiem. Do ich stolika podszedł kelner.

– W Stonecroft lubiłaś ser i pomidory opiekane na ruszcie – powiedział Mark. – Nadal to lubisz?

Pokiwała głową.

Mark zamówił dla nich dwie kanapki z serem i pomidorami z rusztu oraz dwie kawy. Począł, aż kelner oddali się na bezpieczną odległość, po czym rzekł: – Wciąż milczysz, Jean. Nie wiem, czy to oznacza, że mi wierzysz, czy wręcz przeciwnie, a może po prostu nie jesteś pewna. To przykre, ale jestem w stanie cię zrozumieć. Powiedz mi tylko jedno: Czy nadal jesteś przekonana, że to Laura

przysłała te faksy i że Lily nic nie grozi?

Nie wspomnę mu ani słowem o rozmowie z Craigiem Michaelsonem, pomyślała Jean. Nie mogę zaufać nikomu.

– Tak, jestem przekonana, że Lily nic nie grozi – chciałyby zabrzmiało to przekonująco.

Mark czuł, że Jean nie jest z nim szczerą.

– Biedna Jean – rzekł. – Nie wiesz, komu możesz zaufać. Właściwie trudno mieć o to do ciebie pretensję. Ale co teraz zrobisz? Będziesz po prostu czekała w nieskończoność, dopóki Laura się nie odnajdzie?

– Przynajmniej przez kilka dni. A ty?

– Zostanę do piątku rano – odparł Mark. – Ojciec chce, bym dziś wieczorem znowu zjadł z nim kolację.

– A zatem odpowiedział ci na pytania, które miałaś zamiar mu zadać.

– Tak. Znasz połowę tej historii, Jeannie. Zaslugujesz na to, by usłyszeć resztę. Mój brat, Dennis, zmarł miesiąc po ukończeniu Stonecroft. Jesienią miał rozpocząć studia w Yale.

– Wiem o tym wypadku – przyznała Jean.

– Wiesz to i owo o tym wypadku – poprawił ją Mark. – Skończyłem właśnie ósmą klasę w St. Thomas i miałem we wrześniu rozpocząć naukę w Stonecroft. Rodzice podarowali Dennisowi kabriolet z okazji ukończenia liceum. Mój brat był świetny we wszystkim. Najlepszy uczeń w klasie, kapitan drużyny baseballowej, przewodniczący szkolnego samorządu, przystojny i zabawny. Złoty chłopak.

– Z którym trudno było rywalizować – zauważyła Jean.

– Wiem, że ludzie tak uważają, ale Dennis był dla mnie wspaniały. Grał ze mną w tenisa, zabierał mnie na przejażdżki kabrioletem, a potem – ponieważ strasznie go męczyłem – nauczył mnie prowadzić samochód.

– Ale przecież miałaś wtedy zaledwie czternaście lat!

– Trzynaście. Och, nigdy nie wyjeżdżałem na ulicę i Dennis zawsze był ze mną w samochodzie. Nasz dom stał na dużej parceli. Tamtego popołudnia, kiedy zdarzył się wypadek, wierciłem Dennisowi dziurę w brzuchu, żeby ze mną pojeździł. W końcu, koło czwartej, rzucił mi kluczyki i rzekł: „Wsiadaj do samochodu. Zaraz przyjdę”. Siedziałem w kabrioletcie, czekając na niego i licząc minuty, dopóki się nie zjawi. Ale przyszło kilku jego kolegów i Dennis powiedział mi, że pogra z nimi przez chwilę w kosza. „Obiecuję ci, że za godzinkę z tobą poćwiczę” – zapewnił mnie. A potem zawołał: „Wyłącz silnik i nie zapomnij zaciągnąć ręcznego hamulca”. Rozczarowany i wściekły, wpadłem do domu, trzaskając drzwiami. Matka była w kuchni. Po czterdziestu minutach samochód

Denisa stoczył się ze wzniesienia. Kosz do koszykówki ustawiony był na końcu podjazdu. Kolegom Dennisa udało się uciec. Dennisowi nie.

– Mark, jesteś psychiatrą. Rozumiesz przecież, że to nie była twoja wina, to był wypadek.

Wrócił kelner z zamówionymi przekąskami. Mark zabrał się do jedzenia, lecz po chwili dodał:

– Racjonalnie tak, lecz po wypadku stosunek obojga rodziców do mnie bardzo się zmienił. Słyszałem, jak matka mówiła ojcu, że z pewnością umyślnie zostawiłem niezaciągnięty hamulec, nie po to, by celowo wyrządzić krzywdę Dennisowi, lecz by odpłacić mu za to, że mnie zawiódł.

– Co na to odrzekł ojciec?

– Spodziewałem się, że będzie mnie bronił, on jednak tego nie uczynił. Potem któryś chłopak powtórzył mi zasłyszane gdzieś słowa mojej matki, że jeśli Bóg chciał zabrać do siebie któregoś z jej synów, to dlaczego musiał to być Dennis?

– Słyszałam tę historię – przyznała Jean.

– I ty, i ja w okresie dorastania pragnęliśmy uciec od naszych rodziców, Jean. Zawsze czułem, że jesteśmy bratnimi duszami. Oboje zajęliśmy się nauką i trzymaliśmy język za zębami. Często widzisz się z rodzicami?

– Ojciec mieszka na Hawajach, byłam u niego w zeszłym roku. Ma przyjaciółkę, lecz deklaruje, że jedno małżeństwo skutecznie wyleczyło go z chęci stawania na ślubnym kobiercu. Matka wydaje się naprawdę szczęśliwa. Odwiedziła mnie kilkakrotnie ze swym drugim mężem. Robi mi się niedobrze, kiedy widzę, jak trzymają się za ręce i przytulają do siebie. Natychmiast przypominam sobie, co wyczyniała, będąc z moim ojcem. Pretensje do nich mam już chyba za sobą. Wciąż jednak pamiętam, jak w wieku osiemnastu lat, kiedy przeżywałam prawdziwe problemy, nie mogłam się zwrócić do nich o pomoc.

– Moja matka zmarła, kiedy byłem na studiach. Nie powiadomiono mnie, że miała atak serca i że jest umierająca. Wskoczyłbym do samolotu i wróciłbym tu, by się z nią pożegnać. Ale ona nie chciała mnie widzieć. To było ostateczne odrzucenie. Nie przyjechałem na pogrzeb. Nigdy więcej nie odwiedziłem rodzinnego domu i przez czternaście lat nie utrzymywałem stosunków z ojcem.

– Jakie pytania zadałeś ojcu?

– Po pierwsze, dlaczego nie posłał po mnie, kiedy matka leżała na łożu śmierci.

Jean upiła łyk kawy.

– I co ci odpowiedział?

– Że cierpiała na urojenia. Na krótko przed atakiem serca poszła do jasnowidza, który powiedział, że jej młodszy syn celowo zwolnił hamulec, ponieważ był zazdrosny o brata i postanowił zrobić mu krzywdę. Matka zawsze uważała, że chciałem uszkodzić samochód Dennisa,

ale jasnowidz doprowadził do tego, że ostatecznie w to uwierzyła. Chcesz usłyszeć, jakie było drugie pytanie, które zadałem ojcu?

Jean skinęła głową.

– Matka nie tolerowała picia alkoholu, a ojciec lubił strzelić sobie drinka późnym popołudniem. Wymykał się do garażu, gdzie trzymał schowaną butelkę. Pod pretekstem czyszczenia samochodu, urządzał sobie małą imprezkę. Czasami dekował się na kielicha w samochodzie Dennisa. Wiem, że zaciągnąłem hamulec. Spytałem ojca, czy tamtego popołudnia nie zamelinował się w kabriolecie, żeby wypić w spokoju parę szkockich. A jeśli tak, to czy niechcący nie zwolnił hamulca?

– I co on na to?

– Przyznał, że faktycznie siedział w kabriolecie i wysiadł z niego na chwilę wcześniej, zanim samochód się stoczył. Nigdy nie zdobył się na odwagę, by powiedzieć o tym matce. Nawet wówczas gdy tamten jasnowidz zatruwał jej umysł.

– Jak sądzisz, dlaczego przyznał się teraz?

– W moim kalendarzu pełno jest pacjentów, którzy idą przez życie z nierozwiązanymi konfliktami. Kiedy parę dni temu zobaczyłem samochód ojca na tym samym podjeździe, postanowiłem wejść i po czternastu latach milczenia wreszcie wszystko wyjaśnić.

– Byłeś u niego wczoraj, zobaczysz się z nim dzisiaj. Czy to pojednanie?

– Ojciec skończy wkrótce osiemdziesiąt lat, Jean, i zdrowie mu szwankuje. Żył w kłamstwie przez dwadzieścia pięć lat. Jest żaloszny, kiedy mówi, jak bardzo pragnie mi wszystko wynagrodzić. To oczywiście niemożliwe, ale mam nadzieję, że spotkania z nim pomogą mi zostawić tę sprawę za sobą. Ma rację, twierdząc, że gdyby moja matka dowiedziała się, że pił w samochodzie i że to on spowodował wypadek, wyrzuciłaby go z domu tego samego dnia.

– Zamiast tego odwróciła się od ciebie.

– Co wyzwoliło we mnie kompleks niższości, na który cierpiałem w Stonecroft. Starałem się być podobny do Dennisa, ale nie byłem taki przystojny, nie byłem sportowcem i nie miałem cech przywódcy. Poczucia koleżeństwa doświadczyłem dopiero w ostatniej klasie, kiedy kilku z nas pracowało razem wieczorami i później chodziliśmy na pizzę. Cóż, plusem jest to, że nauczyłem się współczucia dla dzieciaków, które nie mają łatwego życia. Jako dorosły próbuję im jakoś pomóc.

– Z tego, co słyszałam, świetnie ci to wychodzi.

– Mam nadzieję. Producenci chcą przenieść program do Nowego Jorku, zaproponowano mi też pracę w New York Hospital. Dojrzałem chyba do zmiany.

– Nowy etap życia – stwierdziła Jean.

– Właśnie – to, czego nie można wybaczyć lub zapomnieć, da się przynajmniej zamknąć



bezpowrotnie w przeszłości. – Podniósł filiżankę z kawą. – Wypijemy za to, Jeannie?

– Jasne. – W pierwszym odruchu miała ochotę wyciągnąć rękę i nakryć jego dłoń swoją. Coś ją jednak powstrzymało. Nie mogła mu zaufać.

– Mark, a gdzie pracowałeś w ostatniej klasie? – spytała nagle.

– Byłem członkiem ekipy sprzątającej budynek, który później spłonął. Ojciec Jacka Emersona załatwił nam tę robotę. Wszyscy faceci, którzy zostali odznaczeni na zjeździe, machali tam szczotkami.

– Wszyscy? – spytała Jean. – Carter, Gordon, Robby i ty?

– Tak. Och, i jeszcze jeden. Joel Nieman vel Romeo. Wszyscy pracowaliśmy z Jackiem. – Umilkł. – Zaraz, zaraz, chwileczkę. Powinnaś znać ten budynek, Jean. Byłaś pacjentką doktora Connorsa.

Jean poczuła, że jej ciało lodowacieje.

– Nie mówiłam ci o tym, Mark.

– Musiałaś wspomnieć, w przeciwnym razie skąd bym o tym wiedział? Właśnie, skąd? – zastanawiała się Jean, wstając od stołu.

– Mark, mam kilka telefonów do załatwienia. Nie pogniewasz się, jeśli nie poczekam z tobą na rachunek?

Will Ferris była w pracowni, gdy Jake wrócił do szkoły.

– Co nowego? – zainteresowała się.

– To prawdziwa przygoda, pani Ferris – odparł, zdejmując kurtkę.

– Okropnie zmarzłem – poskarżył się – ale przynajmniej na posterunku policji było ciepło.

– Na posterunku policji? – spytała Jill ostrożnie.

– Aha. Zaraz wszystko wyjaśnię. Najpierw fotografowałem drugi dom Laury Wilcox, tę rezydencję McMansion. Jest naprawdę imponująca. Od frontu ma wielki dziedziniec, a obecny właściciel ustawił na trawniku kilka greckich posągów. Moim zdaniem są pretensjonalne, ale to pomoże zrozumieć moim czytelnikom, że Laura nie jadała w dzieciństwie lunchów niespodzianek.

– Lunchów niespodzianek? – powtórzyła zaintrygowana nauczycielka.

– Dziadek opowiadał mi o komiku nazwiskiem Sam Levenson, który pochodził z tak biednej

rodziny, że matka kupowała na przecenie puszki po dwa centy. Były takie tanie, ponieważ podpadały z nich etykiety i nikt nie wiedział, co jest w środku. Mówiła swoim dzieciom, że na lunch będzie niespodzianka. Tak czy owak, zdjęcia drugiego domu Laury są dowodem, że wychowywała się w rodzinie należącej do wyższej warstwy klasy średniej. – Jake spochmurniał. – Kiedy skończyłem z McMansion, pojechałem na Mountain Road, gdzie Laura mieszkała przez pierwsze szesnaście lat życia. To bardzo sympatyczna ulica i, szczerze mówiąc, ten dom podoba mi się nieporównanie bardziej niż rezydencja z greckimi posągami. W każdym razie, ledwie zabrałem się do pstrykania zdjęć, podjechał radiowóz policyjny i bardzo agresywny funkcjonariusz zaczął mnie wypytywać, co robię. Gdy mu wyjaśniłem, że korzystam z mojego obywatelskiego prawa do robienia zdjęć na ulicy, zaprosił mnie do samochodu, a następnie zawiózł na posterunek.

– Zaaresztował cię? – zawołała Jill Ferris.

– Niezupełnie. Kapitan przesłuchał mnie, a ponieważ oddałem ceną przysługę Samowi Deeganowi, uczulając go na fakt, że Laura Wilcox wydawała się niezwykle zdenerwowana, kiedy dzwoniła do hotelu, czułem się w prawie powiedzieć kapitanowi, że jestem specjalnym pomocnikiem pana Deegana w śledztwie w sprawie zniknięcia Laury.

– Czy kapitan ci uwierzył?

– Zadzwoił do pana Deegana, który nie tylko nie potwierdził mojej prawdomówności, lecz zasugerowałby kapitan wsadził mnie za kratki. – Jake spojrzał na nauczycielkę. – To wcale nie jest zabawne, pani Ferris. W moim odczuciu pan Deegan zawiódł moje zaufanie. Jak się okazało, kapitan był o wiele bardziej życzliwy. Powiedział, że mogę skończyć jutro zdjęcia na Mountain Road. Teraz wywołam dzisiejszą kliszę, a jutro, jeśli pani pozwoli, znów wypożyczę aparat.

– Dobrze, Jake.

Wszedł do ciemni i zabrał się do pracy. Stwierdził, że obserwowanie, jak na negatywach pojawiają się ludzie i przedmioty, jest naprawdę pasjonujące. Porozwieszał fotografie na sznurze i zaczął je uważnie studiować. Wszystkie ujęcia były udane, ale jedno wydało mu się szczególnie interesujące. Coś zaintrygowało go w wyglądzie domu Laury, nie potrafił jednak powiedzieć, co. Wszystko było tam w idealnym porządku. Może właśnie o to chodziło? Dom wyglądał zbyt schludnie. Przyjrzał się bliżej. Rolety, pomyślał z triumfem. Te w narożnej sypialni są inne niż w pozostałych oknach. Znacznie ciemniejsze. Zaraz, zaraz. Z informacji, które znalazłem w Internecie o Karen Sommers, pamiętam chyba, że dziewczyna została zamordowana właśnie w narożnej sypialni, po prawej stronie domu.

Może zamieścić w gazecie zdjęcie tych właśnie dwóch okien? – zastanawiał się. Mógłbym zwrócić w ten sposób uwagę, że ten pechowy pokój, w którym przez szesnaście lat sypiała Laura i w którym została zamordowana młoda kobieta, otacza mroczna aura. Doda to mojemu artykułowi odrobiny tajemniczości.

Kiedy powiększył zdjęcie, okazało się, że różnicę w kolorze spowodowały prawdopodobnie wewnętrzne ciemne rolety.

Przypuścimy, że ukrywa się tam ktoś, kto nie chce, by z ulicy widziano światło? – myślał Jake. Byłaby to wspaniała kryjówka. Dom został wyremontowany. Na werandzie stoją fotele, należy więc przypuszczać, że w środku również jest umeblowany. Nikt w nim nie mieszka. A kto go kupił? Ależ wybuchłaby sensacja, gdyby to Laura Wilcox była właścicielką swojego starego domu i ukrywała się w nim teraz razem z Robbym Brentem.

Wizyta Sama u Dorothy Connors trwała piętnaście minut. Prędko zdał sobie sprawę, jak bardzo obawiała się o reputację zmarłego męża.

– Pani Connors – powiedział – doktor Sheridan rozmawiała z Peggy Kimball, która pracowała kiedyś u pani męża. Pragnąc pomóc doktor Sheridan w odnalezieniu córki, pani Kimball przyznała, że w pewnych przypadkach mąż mógł omijać przepisy regulujące adopcje. Jeśli to panią martwi, informuję, że córka doktor Sheridan została odnaleziona, a adopcję przeprowadzono całkowicie legalnie. Co więcej, doktor Sheridan wybiera się dziś wieczorem na kolację z przybranymi rodzicami swojej córki, spotka się też niebawem z nią samą.

Na twarzy pani Connors odmalowała się wyraźna ulga.

– Mój mąż był takim wspaniałym człowiekiem. Byłoby straszne, gdyby dziesięć lat po jego śmierci ludzie zaczęli myśleć, że robił coś niezgodnego z prawem.

Owszem, robił, pomyślał Sam, ale dziś nie dlatego tu jestem.

– Pani Connors, obiecuję, że nic z tego, co mi pani powie, nie zostanie nigdy wykorzystane, by rzucić cień na reputację pani męża. Ale proszę odpowiedzieć mi na jedno pytanie: Czy myśli pani, że ktoś mógł mieć dostęp do karty zdrowia Jean Sheridan w gabinecie pani męża?

Dorothy Connors spojrzała Samowi prosto w oczy.

– Daję panu słowo, że nie mam pojęcia o nikim takim.

Pani Connors odprowadziła Sama do drzwi. Otworzyła je, po czym rzekła po chwili wahania:

– Mój mąż załatwiał dziesiątki adopcji. Zawsze fotografował dziecko tuż po narodzinach. Na odwrocie każdego zdjęcia zapisywał datę urodzenia oraz imię, jeśli matka je nadała przed podpisaniem odpowiednich dokumentów.

Zaprosiła go z powrotem do środka.

– Proszę za mną do biblioteki.

Sam podążył za nią do salonu, połączonego z wnęką pełną regałów.

– Albumy są tutaj – powiedziała. – Po wyjściu doktor Sheridan znalazłam fotografię jej córeczki. Na odwrocie znajdowało się imię Lily. Strasznie się bałam, że była to jedna z tych adopcji,

które uniemożliwiają odszukanie dziecka. Skoro jednak doktor Sheridan odnalazła córkę, jestem pewna, że pragnęłaby mieć zdjęcie, na którym dziewczynka miała zaledwie trzy godziny.

Pani Connors zdjęła album z półki. Otworzyła go, wysunęła zdjęcie z plastikowej koszulki i podała je Samowi.

– Proszę powtórzyć pani doktor Sheridan, że ogromnie cieszę się z jej szczęścia.

Wróciwszy do samochodu, Sam ostrożnie schował do wewnętrznej kieszeni marynarki zdjęcie noworodka o ogromnych oczach, z kosmykami delikatnych włosów okalających małą buzię. Ale ślicznotka, pomyślał. Jestem niedaleko od Glen-Ridge. Jeśli Jean nie wyszła z hotelu, podrzucę jej fotografię.

Rzeczywiście zastał Jean w hotelu, umówili się więc, że spotkają się w holu.

– Czy coś się stało, Sam? – spytała.

– Absolutnie nic, Jean. – Przynajmniej na razie, pomyślał. Spodziewał się, że Jean będzie promieniała radością na myśl o spotkaniu z Lily, tymczasem zauważył, że coś ją martwi.

– Może usiadzimy tam? – zaproponował, wskazując kąt holu, w którym stały dwa wolne fotele oraz sofa.

Po krótkiej chwili Jean zdradziła mu powód swego niepokoju.

– Sam, zaczynam podejrzewać, że to Mark przysyła mi te faksy. W jej oczach wyraźnie dostrzegł ból.

– Dlaczego tak myślisz?

– Wyrwało mu się, że wiedział, iż byłem pacjentką doktora Connorsa. Nigdy mu o tym nie wspomniałam. I jeszcze coś. Pytał wczoraj w recepcji, czy dostałam jakiś faks i był zawiedziony, kiedy usłyszał, że nie. Chodziło o faks, który dotarł do mnie z kilkugodzinnym opóźnieniem. Poza tym Mark pracował wieczorami w budynku, gdzie mieścił się gabinet Connorsa, w czasie gdy byłem pacjentką doktora.

– Jean, obiecuję ci, że weźmiemy pod lupę Marka Fleischmana. Szczerze mówiąc, nie ucieszyło mnie, że zwierzyłaś mu się ze wszystkiego. Mam nadzieję, że nie powtórzyłaś tego, co powiedział ci rano Craig Michaelson.

– Nie.

– Uważam, że powinnaś być bardzo ostrożna. Idę o zakład, że osoba, która przysyła ci faksy, to ktoś z twojej klasy. Nie wierzę już, że chodzi o pieniądze. Sądzę, że mamy do czynienia z niebezpiecznym maniakiem. – Przyglądał jej się przez długą chwilę. – Zaczynałaś lubić Marka Fleischmana, prawda?

– Tak – przyznała Jean. – Dlatego tak trudno mi uwierzyć, że może okazać się kimś zupełnie innym, niż wydawał się z pozoru.

Sam westchnął głęboko i dodał:

– Tego na razie nie wiesz. A teraz mam dla ciebie coś, co powinno poprawić ci humor. – Wyjął z kieszeni zdjęcie Lily i podał je Jean, wyjaśniając najpierw, skąd je ma. Potem dostrzegł kątem oka, że do hotelu wchodzi Gordon Amory i Jack Emerson. – Lepiej idź na górę i spokojnie je sobie obejrzyj. Zjawili się właśnie Amory i Emerson. Pewnie za moment do nas podejda.

– Dziękuję, Sam – wyszeptała Jean i szybkim krokiem ruszyła w kierunku windy.

Sam zorientował się, że Gordon Amory zauważył Jean i zamierzają dogonić. Pośpieszył, by mu w tym przeszkodzić.

– Panie Amory, jak długo zamierza pan tutaj zostać?

– Wyjeżdżam podczas weekendu. A czemu pana to interesuje?

– Jeśli pani Wilcox się nie odezwie w najbliższym czasie, uznamy ją za zaginioną. W takim wypadku będziemy musieli bardziej szczegółowo porozmawiać z tymi osobami, które kontaktowały się z nią przed jej zniknięciem.

Gordon Amory wzruszył ramionami.

– Na pewno się odezwie – rzekł z lekceważeniem. – Jeśli jednak chciałby pan skontaktować się ze mną, pozostanę w tej okolicy. Za pośrednictwem Jacka Emersona składamy ofertę na kupno sporego kawałka ziemi. Zamierzam wybudować na nim centralę mojej firmy. Po wymeldowaniu się z hotelu, zatrzymam się na kilka tygodni w moim mieszkaniu na Manhattanie.

Jack Emerson, który rozmawiał z kimś, stojąc obok recepcji, podszedł teraz do nich.

– Jakież wiadomości o gadzinie? – spytał.

– Gadzinie? – Sam uniósł brwi. Doskonale wiedział, że Emerson ma na myśli Robby'ego Brenta, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Naszym etatowym komiku, Robbym. Dałby już sobie spokój z tą reklamową sztuczką.

– Zakładam, że nie będę miał kłopotu ze znalezieniem pana, gdybym chciał porozmawiać o Laurze Wilcox, panie Emerson – rzekł Sam, ignorując wzmiankę o Brencie. – Jak wyjaśniłem już panu Amory'emu, uznamy ją za zaginioną, jeśli w najbliższym czasie nie da znaku życia.

– Nie tak szybko, panie Deegan – odparł Emerson. – Gdy tylko Gordie – to znaczy Gordon – i ja sfinalizujemy transakcję, wyjeżdżam stąd. Mam w St. Bart dom, który muszę odwiedzić. Nie obchodzi mnie, czy Laura i Robby wrócą. Stonecroft nie potrzebuje tego rodzaju reklamy.

Gordon Amory słuchał z uśmiechem pełnym rozbawienia.

– Muszę przyznać, panie Deegan, że Jack trafnie to ujął. Chciałem zobaczyć się z Jean, ale wsiadła do windy i nie zdążyłem spytać, jakie ma plany. Wie pan coś na ten temat?

– Nie – rzekł krótko Sam. – A teraz, wybaczenie, panowie, muszę wracać do biura.

Gdy szedł przez hol, zadzwonił jego telefon komórkowy. Była to Joy Lacko.

– Sam, mam dla ciebie prawdziwą bombę – powiedziała mu. – Na wyczucie sprawdziłam raport w sprawie samobójstwa Glorii Martin, zanim zaczęłam badać inne przypadkowe śmierci.

Sam czekał bez słowa.

– Gloria Martin popełniła samobójstwo, wkładając na głowę plastikowy worek. I posłuchaj tylko, Sam. Kiedy ją znaleziono, ścisnęła w dłoni małą cynową sowę.

## Rozdział trzynasty

O dziewiątej wieczorem do barku Duke'a Mackenziego znów wstąpił małowówny uczestnik zjazdu koleżeńskiego w Stonecroft. Zamówił grillowaną kanapkę z serem i kawę z chudym mlekiem. Kiedy kanapka się opiekąła, Duke odezwał się:

– Była tu dzisiaj rano uczestniczka waszego zjazdu. Powiedziała, że mieszkała kiedyś przy Mountain Road.

Nie widział oczu mężczyzny, ukrytych za ciemnymi okularami, ale ten wyraźnie zeszywniał, co upewniło Duke'a, że zainteresowała go ta informacja.

– Zna pan jej nazwisko? – spytał gość obojętnie.

– Nie. Ale mogę ją opisać. Naprawdę ładna, brązowe włosy, niebieskie oczy. Jej córka ma na imię Meredith.

– Ona to panu powiedziała?

– Nie. Ale rozmawiała przez telefon z kimś, od kogo się o tym dowiedziała. Było widać, że przeżyła wstrząs. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie znała imienia własnej córki.

– Nie słyszał pan imienia osoby, która do niej zadzwoniła?

– Nie. Mówiła tylko, że spotka się z nimi – to znaczy z nim lub z nią – jutro wieczorem, o siódmej.

Duke odwrócił się tyłem do kontuaru i wyjął łopatką kanapkę z grilla. Nie zauważył lodowatego uśmiechu na twarzy klienta ani nie usłyszał, jak ten szepcze do siebie:

– Nie, nie spotka się, Duke. Nie spotka się.

– Proszę bardzo – rzekł wesoło Duke Mackenzie, podając mu zapakowaną kanapkę.

Sowa rzucił pieniądze na ladę i wyszedł, mrużąc wściekle pod nosem: „dobranoc”.

Wolno pojechał w górę Mountain Road, postanowił jednak, że nie skręci w podjazd do domu Laury. Zabawne, że nadał go tak nazywam, pomyślał. Zamiast tego pojechał dalej, sprawdzając w lusterku, czy nie ma przypadkiem ogona. Następnie zawrócił i ruszył z powrotem. Zbliżając się do domu, wyłączył światła, skręcił na podjazd i wjechał na podwórko na tyłach domu.

Dopiero teraz mógł spokojnie przemyśleć to, co przed chwilą usłyszał. Jean znała imię Meredith! To zapewne z Buckleyami ma się spotkać jutro wieczorem. Meredith nie przypomniła sobie, gdzie zgubiła szczotkę do włosów, w przeciwnym razie ten Deegan pukałby już do jego drzwi. Oznaczało to, że Sowa powinien działać szybciej. Będzie musiał częściej wchodzić do domu i

wychodzić z niego za dnia. Nie powinien jednak zostawiać samochodu na zewnątrz. Mimo szczelnego ogrodzenia, sąsiad mógłby go zauważyć i zadzwonić na policję. Dom Laury jest przecież niezamieszkały.

Samochód Robby'ego, mieszczący w bagażniku jego zwłoki, zajmował pół garażu. Pierwszy wynajęty samochód, do którego opon przyłgnęło błoto z miejsca, gdzie wyrzucił ciało Helen Whelan, stał obok. Musi pozbyć się jednego z samochodów, żeby mieć dostęp do garażu. Wynajęty doprowadziłby do niego policję, lepiej go zostawić i zwrócić, gdy będzie to już bezpieczne.

Mam już za sobą daleką drogę, pomyślał Sowa. Nie mogę się zatrzymać. Jego wzrok padł na kanapkę i kawę, które kupił dla Laury. Nie jadłem kolacji, przypomniał sobie. Co za różnica, czy Laura zje coś dzisiaj, czy nie.

Pochłonął szybko kanapkę i napił się kawy. Kiedy skończył, otworzył kuchenne drzwi i wszedł do środka. Po namyśle nie poszedł jednak do sypialni Laury. Pchnął drzwi prowadzące do garażu, po czym zatrzasnął je za sobą z hukiem. Włożył plastikowe rękawiczki, które zawsze nosił w kieszeni.

Laura z pewnością usłyszała hałas i już zaczyna trząść się z przerażenia. Pewnie zgłodniała i zastanawia się, co przyniósł jej do jedzenia. Kiedy jednak na schodach nie rozlegną się jego kroki, ogarnie ją jeszcze większy strach, załamie się i posłusznie zrobi wszystko, czego zażąda Sowa.

Zostawił kluczyki w stacyjce auta Robby'ego. Otworzył pilotem drzwi garażowe, wsiadł do wozu i wycofał go na ulicę. Po kilku minutach, które wydały mu się wiecznością, ukrył w garażu drugi wynajęty samochód.

Jechał z wyłączonymi światłami. Ostatnia podróż komika Robby'ego Brenta miała się skończyć w rzece Hudson.

Po czterdziestu minutach, zatopiwszy samochód, Sowa wrócił do swojego pokoju hotelowego. Jutrzejsza misja będzie niebezpieczna, ale robi wszystko, by zminimalizować ryzyko.

Sam Deegan nie jest głupi. Zapewne już przestudiował akta dotyczące śmierci innych dziewcząt z tego stolika, badając wypadki, które nie były wypadkami. Dopiero przy Glorii zacząłem zostawiać mój podpis, wspominał Sowa. Jak na ironię, ową pierwszą cynową sowę ta głupia kobieta kupiła sobie sama.

– Odniosłeś ogromny sukces! Pomyśleć, że kiedyś nazywałyśmy cię Sową – powiedziała ze śmiechem. Była lekko wstawiona i tak jak kiedyś zupełnie niewrażliwa. Pokazała mu cynową sowę. – Zobaczyłam ją w centrum handlowym – wyjaśniła – a kiedy zadzwoniłeś, by zawiadomić mnie, że jesteś w mieście, poszłam tam specjalnie, by ją kupić. Pomyślałam, że oboje się uśmiejemy.

Po śmierci Glorii kupił dwanaście cynowych sów, po pięć dolarów za sztukę. Zostały mu już tylko trzy – po jednej dla każdej z nich. Laury, Jean i Meredith.

Nastawił budzik na piątą rano i położył się spać.



Jean spędziła niespokojną noc. Przewracała się z boku na bok, aż wreszcie o piątej rano zapadła w głęboki sen.

Za kwadrans siódma obudził ją ostry dzwonek telefonu. Sięgnęła po słuchawkę.

– Słucham – powiedziała z niepokojem.

– Jeannie... To ja.

– Laura! – wykrzyknęła Jean. – Gdzie jesteś? Co się stało?

Laura szlochała tak rozdzierająco, że trudno było zrozumieć, co mówi.

– Jean... pomóż mi. Tak bardzo się boję. Zrobiłam coś... strasznie... głupiego... Przepraszam... Faksy... o Lily...

Jean zeszywniała.

– Nigdy nie spotkałaś Lily, wiem o tym.

– Robby... zabrał... jej... szczotkę. To... był... jego... pomysł.

– Gdzie jest Robby?

– W... drodze... do... Kalifornii. Zrzu-zrzuca... na... mnie... winę. Jeannie, przyjedź... do mnie... proszę. Sama... tylko sama.

– Lauro, gdzie jesteś?

– W... motelu... Muszę... wyjechać.

– Gdzie możemy się spotkać?

– Jeannie... taras widokowy.

– Chodzi ci o taras w parku Storm King?

– Tak... tak.

Laura wybuchnęła jeszcze głośniejszym płaczem.

–Zabiję... się...

– Lauro, posłuchaj – przerwała jej Jean gorączkowo. – Będę tam za dwadzieścia minut. Obiecuję ci, wszystko będzie dobrze.

Sowa rozłączył rozmowę.

– No, no, Lauro – rzekł z aprobatą. – Całkiem dobra z ciebie aktorka. To był występ wart Oscara.

Laura bezwładnie opadła na poduszkę. Jej szloch przeszedł w spazmatyczne westchnienia.

– Zrobiłam to, bo obiecałeś, że nie skrzywdzisz córki Jeannie.

– Tak, tak, obiecałem – przyznał Sowa. – Lauro, na pewno jesteś głodna. Nie miałaś nic w ustach od wczoraj rana. Mam dla ciebie trochę kawy. I zobacz, co jeszcze przyniosłem.

Przez zapuchnięte powieki dostrzegła, że mężczyzna trzyma w rękach trzy plastikowe worki.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

– Jeden dla ciebie, jeden dla Jean, jeden dla Meredith – wyjaśnił. – Domyślasz się, co zamierzam z nimi zrobić? Domyślasz się?

– Przepraszam Rich, ale nikt mnie nie przekona, że to wyłącznie dziwny zbieg okoliczności, iż Gloria Martin, jedna z grupki dziewcząt siedzących przy wspólnym stoliku w stołówce w Stonecroft, w chwili śmierci miała zaciśniętą w dłoni cynową sowę – rzekł stanowczo Sam.

To była kolejna bezsenna noc. Po telefonie od Joy Lacko, Sam wrócił natychmiast do biura. Policja z Bethlehem w Pensylwanii nadesłała akta dotyczące samobójstwa Glorii Martin, i teraz oboje z Joy analizowali każde słowo.

Rich Stevens, który przyszedł do biura o ósmej rano, wezwał ich niezwłocznie na naradę. Na początek wysłuchał Sama, po czym zwrócił się do Joy i spytał:

– Co o tym sądzisz?

– Początkowo myślałam, że to łatwizna. Że ten stuknięty Sowa przez dwadzieścia lat mordował dziewczęta ze Stonecroft i teraz wrócił tutaj – odparła Joy. – W tej chwili nie jestem już tego taka pewna. Rozmawiałam z Rudym Havermanem, policjantem, który prowadził sprawę samobójstwa Glorii Martin osiem lat temu. Powiedział mi, że ta Martin zbierała tanie figurki zwierząt, ptaków itp. Ta, którą trzymała w dłoni w chwili śmierci, była wciąż w plastikowym opakowaniu. Haverman odnalazł sklepik w centrum handlowym, w którym ją kupiła. Sprzedawczyni pamiętała, jak dziewczyna mówiła, że kupuje sówkę dla żartu.

– Mówisz, że poziom alkoholu we krwi wskazuje, iż w chwili śmierci była zalana w trupa? – spytał Rich Stevens.

– Tak. Haverman twierdzi, że zaczęła pić po rozwodzie. Podobno powiedziała przyjaciółkom, że nie ma po co żyć.

– Joy, czy trafiłaś w raportach w sprawie śmierci innych kobiet na wzmiankę o tym, że znaleziono przy nich cynowe sowy, czy to w ubraniu, czy zaciśnięte w dłoni?

– Na razie nie – przyznała Joy.

– Nie obchodzi mnie, czy Gloria Martin kupiła tę sowę sama – burknął z uporem Sam. – Fakt, że miała ją w dłoni, świadczy o tym, że została zamordowana. Co z tego, że opowiadała przyjaciółkom o swojej depresji? Większość ludzi jest przygnębionych po rozwodzie, nawet jeśli sami do niego dążyli. Martin nie zostawiła listu pożegnalnego, a sądząc po ilości alkoholu, który w siebie wlała, nie byłaby w stanie wciągnąć na głowę plastikowej torby, nie wypuszczając sowy z ręki.

– Zgadzasz się z jego oceną, Joy? – spytał Stevens.

– Tak, proszę pana. Haverman jest przekonany, że było to samobójstwo, nie miał jednak do czynienia z dwoma innymi ciałami, przy których znaleziono sowy.

Rich Stevens odchylił się na oparcie krzesła.

– Czysto teoretycznie przyjmijmy, że ten, kto zamordował Helen Whelan oraz Yvonne Tepper, być może – powtarzam, być może – pozbawił życia przynajmniej jedną z pięciu dziewcząt ze Stonecroft.

– Szósta, Laura Wilcox, zaginęła – powiedział Sam. – Została już tylko Jean Sheridan. Niewykluczone, że potrzebuje ochrony.

– Gdzie jest teraz? – spytał Stevens.

– W hotelu – odparł Sam. – Jean absolutnie nie zgodzi się na ochronę osobistą. Ale mnie lubi i jeśli powiem jej, że chciałbym jej towarzyszyć, ilekroć będzie wychodziła z hotelu, przypuszczalnie nie będzie miała nic przeciwko temu.

– To chyba dobry pomysł, Sam – zgodził się Stevens. – Brakuje nam tylko tego, by coś się przydarzyło doktor Sheridan.

– I jeszcze jedno – dodał Sam. – Chciałbym, żeby wzięto pod obserwację jednego z uczestników zjazdu, który nadal przebywa w mieście. Nazywa się Mark Fleischman. Jest psychiatrą.

Joy popatrzyła na Sama zaskoczona.

– Doktor Fleischman! Sam, ależ on udziela najsensowniejszych porad, jakie kiedykolwiek od kogokolwiek słyszałam w telewizji!

– Sprawdź, kto jest wolny i zleć mu inwigilację – zdecydował Rich Stevens. – Trzeba też umieścić Laurę Wilcox na liście osób zaginionych. Upłynęło już pięć dni od jej zniknięcia.

– Myślę, że powinniśmy umieścić ją na liście osób zaginionych, prawdopodobnie nieżyjących

– dodał Sam bezbarwnym głosem.

Jean odłożyła słuchawkę po rozmowie z Laurą, szybko opłukała twarz wodą, włożyła strój do joggingu, wrzuciła do kieszeni komórkę, złapała torebkę i pobiegła pędem do samochodu. Taras widokowy w parku Storm King był oddalony o jakieś piętnaście minut jazdy od hotelu. O tak wczesnej porze nie ma jeszcze dużego ruchu. Była dopiero siódma.

Laura jest zrozpaczona, pomyślała. Dlaczego chce się spotkać ze mną właśnie tam? Jean prześladowała koszmarna myśl, że Laura dotrze na taras widokowy pierwsza. Jest wystarczająco zdesperowana, by przechylić się przez barierkę i skoczyć w dół. Taras znajdował się prawie sto metrów nad rzeką.

Na ostatnim zakręcie samochód zarzuciło i przez jedną przerażającą chwilę Jean nie była pewna, czy zdoła utrzymać panowanie nad kierownicą. Na szczęście koła odzyskały przyczepność. Dostrzegła samochód zaparkowany na tarasie widokowym. Niech to będzie Laura, modliła się.

Z piskiem opon zahamowała na parkingu. Wyłączyła silnik, wysiadła i podbiegła do drugiego auta. Otworzyła gwałtownie drzwi po stronie pasażera.

– Lauro...

Słowa powitania zamarły jej na wargach. Mężczyzna za kierownicą miał na twarzy plastikową maskę sowy.

W ręku trzymał pistolet.

Przerażona Jean chciała rzucić się do ucieczki, lecz znajomy głos rozkazał:

– Wsiadaj do samochodu, Jean, jeśli nie chcesz umrzeć tutaj. I nie wymawiaj mojego imienia. To zabronione.

Sparaliżowana strachem, stała przez chwilę niezdecydowanie. Chciała zyskać na czasie. Powoli uniosła nogę, jak gdyby zamierzała wsiąść do samochodu. Odskoczę w tył, pomyślała. Będzie musiał wsiąść, żeby do mnie strzelić. Może dam radę dostać się do swojego auta. Ale Sowa błyskawicznym gestem schwycił ją za ramię i wciągnął na miejsce obok kierowcy, po czym przechylił się przez nią i zatrzasnął drzwi.

Wycofał samochód i zaczął kierować się w stronę Cornwall. Zerwał maskę i uśmiechnął się do niej szeroko.

– Jestem Sową – powiedział. – Nie wolno ci nigdy nazywać mnie inaczej. Rozumiesz?

Ten człowiek jest obłąkany, pomyślała Jean, kiwając głową.

– Jestem... s-sową... i... mie-mieszkam... na-a... – wyskandował śpiewnie. – Pamiętasz,

Jeannie? Pamiętasz?

– Pamiętam. – Zamierza mnie zabić, pomyślała. Szarpnę kierownicą i spróbuję spowodować wypadek.

Odwrocił się do niej z pełnym wyższości uśmiechem.

Moja komórka, przypomniała sobie. Mam ją w kieszeni. Skuliła się na siedzeniu i zaczęła jej ukradkiem szukać. Udało jej się wyciągnąć aparat i przesunąć na tę stronę, z której nie mógł go zobaczyć. Zanim jednak zdążyła otworzyć go i wybrać 911, Sowa wyciągnął gwałtownie prawą rękę. Jego silne palce zacisnęły się na jej szyi.

Szarpnęła się, próbując odsunąć się od niego i w ostatnim świadomym odruchu, wepchnęła telefon pod oparcie fotela.

Kiedy się ocknęła, była przywiązana do krzesła. Miała zakneblowane usta. W pokoju panowała ciemność, ale widziała kobiecą postać leżącą na łóżku po przeciwnej stronie pokoju.

Co się stało? – myślała półprzytomnie. Głowa mnie boli. Dlaczego nie mogę się poruszyć? Jechałam na spotkanie z Laurą. Wsiadłam do samochodu i...

– Obudziłaś się, Jeannie?

Odwrociła z trudem głowę. Stał w drzwiach.

– Pamiętasz szkolne przedstawienie w drugiej klasie? Wszyscy śmiali się ze mnie.

Nie, ja się nie śmiałam, pomyślała Jean. Było mi cię żal.

– Odpowiedz, Jean.

Knebel był założony tak ciasno, że nie wiedziała, czy Sowa usłyszy jej odpowiedź.

– Pamiętam – odrzekła, kiwając głową.

– Teraz muszę iść – powiedział. – Ale niebawem wrócę. I będzie ze mną ktoś, kogo ogromnie pragniesz zobaczyć. Zgadnij kto.

Zniknął. Od strony łóżka dobiegło ją pochlipywanie, a po chwili głos Laury, stłumiony przez knebel.

– Jeannie – wykrztusiła. – On... obiecał... że... nie skrzywdzi Lily... ale... ją też zamierza... zabić.

Sam przyjechał do Glen-Ridge House za piętnaście dziewięć. Jean nie podnosiła słuchawki.

Był zawiedziony, lecz nie zmartwiło go to zanadto. Pewnie zeszła do kawiarni na śniadanie, pomyślał.

Kiedy jednak nie znalazł jej tam, po raz pierwszy zaniepokoił się, że coś się stało. Recepcjonista, mężczyzna o zabawnym kolorze włosów, nie był pewien, czy wyszła na spacer.

Zauważył Gordona Amory'ego, który wysiadał z windy. Miał na sobie ciemnoszary elegancki garnitur, koszulę i krawat. Widząc Deegana, podszedł do niego.

– Czy przypadkiem rozmawiał pan dziś rano z Jean? – spytał Amory.

– Byliśmy umówieni na śniadanie, ale nie zeszła i nie odbiera telefonu.

– Nie wiem, gdzie jest – odrzekł Sam, starając się ukryć niepokój.

– No cóż – powiedział mężczyzna – złapię ją później. – Pomachał mu z uśmiechem dłonią i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

Sam wyjął portfel i zaczął w nim grzebać w poszukiwaniu numeru telefonu komórkowego Jean, nie mógł go jednak znaleźć. Ale jest przecież ktoś, kto może mu pomóc – Alice Sommers.

Wybierając jej numer, uświadomił sobie po raz kolejny, jak niecierpliwie czeka, by usłyszeć dźwięk jej głosu. Przecież jadłem z nią wczoraj kolację, pomyślał. Szkoda, że nie mamy planów na dzisiejszy wieczór.

Alice rzeczywiście miała numer Jean i podała mu go.

– Sam, Jean dzwoniła do mnie wczoraj, by mi powiedzieć, jak bardzo przeżywa spotkanie z przybranymi rodzicami Lily. Cieszyła się, że być może podczas weekendu zobaczy się również z Lily. Czyż to nie wspaniale?

Spotkanie z córką po blisko dwudziestu latach! Alice cieszy się razem z Jean, pomyślał. Pewnie jednak wspomina jednocześnie, że od śmierci Karen minęło praktycznie tyle samo czasu.

– To rzeczywiście wspaniale, Alice, ale muszę kończyć. Gdyby Jean odezwała się do ciebie, a mnie nie udałoby się z nią skontaktować, poproś, żeby do mnie zadzwoniła, dobrze? To bardzo ważne.

– Wyczuwam, że się o nią martwisz, Sam. Dlaczego?

– Sporo się dzieje. Ale ona zapewne wyszła po prostu na spacer.

– Daj mi znać natychmiast, jak ją złapiesz.

– Oczywiście, Alice.

Sam wyłączył telefon i podszedł do recepcji.

– Czy doktor Sheridan zamawiała rano śniadanie do pokoju?

– Nie – odparł bez namysłu recepcjonista.

Do holu wszedł właśnie Mark Fleischman. Zauważył Sama i ruszył w jego stronę.

– Chciałem z panem koniecznie porozmawiać, panie Deegan. Niepokoję się o Jean.

– Dlaczego, doktorze Fleischman? – spytał Sam.

– Ponieważ, moim zdaniem, osoba, która komunikuje się z nią w sprawie córki, jest niebezpieczna. Po zaginięciu Laury Jean to jedyna dziewczyna z tego wspólnego stolika, która żyje i której nic się nie przytrafiło.

– Ja również o tym myślałem.

– Jean jest na mnie zła i mi nie ufa. Źle odczytała powód, dla którego pytałem recepcjonistkę o faks. Teraz nie posłucha niczego, co jej powiem.

– Skąd pan wiedział, że była pacjentką doktora Connorsa?

– Jean pytała mnie o to i najpierw odpowiedziałem, że usłyszałem o tym od niej samej. Jednakże później, po zastanowieniu się, przypomniałem sobie, jak było naprawdę. Kiedy inni odznaczeni – to znaczy, Carter, Gordon, Robby i ja rozmawialiśmy z Jackiem Emersonem na temat pracy w ekipie sprzątaczy, któryś z nich o tym wspomniał. Nie pamiętam tylko który.

Czy Fleischman mówi prawdę? – zastanawiał się Sam.

– Proszę sobie przypomnieć tę rozmowę, doktorze Fleischman – ponaglił go. – To bardzo ważne.

– Postaram się. Ale w tej chwili zamierzam trochę pojeździć po mieście i poszukać Jeannie.

Sam wiedział, że jest jeszcze zbyt wcześnie, by policjant, przydzielony do inwigilacji Fleischmana, zdążył dotrzeć do hotelu.

– Może poczeka pan trochę, a nuż Jean się zjawi – zaproponował. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że krążąc po mieście, rozminie się pan z nią.

– Nie zamierzam siedzieć beczynnie – powiedział szorstko. Podał Samowi swoją wizytówkę. – Bardzo proszę o telefon, gdyby się do pana odezwała.

Szybkim krokiem ruszył do wyjścia. Deegan odprowadził go wzrokiem. Albo ten facet mówi prawdę, albo jest cholernie dobrym aktorem, pomyślał, sprawia bowiem wrażenie równie zaniepokojonego o Jean jak ja.

Krzesło, do którego Jean była przywiązana sznurem, stało pod ścianą przy oknie, zwrócone przodem do łóżka. Pokój wydał jej się dziwnie znajomy. Z rosnącym przerażeniem Jean wyęzżała słuch, by zrozumieć zduszone wynurzenia Laury, która mamrotała niemal bez przerwy. Na przemian traciła i odzyskiwała przytomność, próbując wykrztusić coś, mimo knebla nadającego jej głosowi niesamowite gardłowe brzmienie.

Lily. Laura powiedziała, że on zabije Lily. Ale Craig Michaelson zapewnił ją, że Lily jest bezpieczna. Czy Laura cierpi na urojenia? Wciąż powtarza, że jest głodna. Czy on w ogóle jej nie karmił?

O mój Boże! – pomyślała Jean, przypominając sobie Duke'a, właściciela barku. Wspomnił jej o facecie, uczestniku zjazdu, który regularnie kupował u niego jedzenie – miał na myśli jego!

Jean poruszyła dłońmi, by przekonać się, czy zdoła wysunąć je spod sznurów, lecz były zbyt mocno skrępowane. Czy jest możliwe, że to on zamordował Catherine, Cindy, Debrę, Glorię, Alison i tamte dwie nieznanne kobiety? Widziałam, jak wjechał z wyłączonymi światłami na hotelowy parking wczesnym rankiem w sobotę, pomyślała. Może gdybym powiedziała o tym Samowi, sprawdziłby go i zdołał powstrzymać.

Mój telefon komórkowy jest w jego samochodzie. Jeśli go znajdzie, bez wątpienia go wyrzuci. Jeśli jednak nie znajdzie, może Samowi uda się namierzyć komórkę. Błagam, Boże, niech Sam zlokalizuje mój telefon, zanim Lily stanie się krzywda.

Laura oddychała ciężko, tłumiąc szloch, w końcu z jej ust popłynęły ledwie zrozumiałe słowa.

– Worki na śmieci... nie... nie...

Mimo ciemnych rolet na oknach do pokoju sączyło się nagle światło. Jean dostrzegła plastikowe worki, zawieszane na haczykach umocowanych nad lampą przy łóżku. Na wiszącym naprzeciwko niej był jakiś napis, nie mogła go jednak odczytać.

Dotykała ramieniem krawędzi ciężkiej rolety. Przeniosła ciężar ciała na jedną stronę, aż wreszcie krzesło odrobinę się przesunęło. Roleta zaczepiła o jej ramię i przekrzywiła się.

W świetle, które wpadło przez powstałą szparę, grube czarne litery na plastikowym worku stały się na tyle wyraźne, że zdołała je odczytać. „Lily/Meredith”.



## Rozdział czternasty

Jake nie mógł opuścić zajęć o ósmej rano, lecz natychmiast po ich zakończeniu pośpieszył do ciemni. Odbitki zdjęć, które zrobił wczoraj, wyglądały jeszcze lepiej w świetle dziennym.

Rezydencja McMansion przy Concord Avenue naprawdę zdaje się krzyczyć: „Spójrz na mnie, jestem bogata”, pomyślał. Dom przy Mountain Road jest jej całkowitym przeciwieństwem – wygodny, podmiejski. Teraz otoczony aurą tajemniczości. Sprawdził w Internecie i upewnił się, że Karen Sommers rzeczywiście została zamordowana w narożnej sypialni na piętrze, po prawej stronie budynku. Wiem, że doktor Sheridan mieszkała w młodzieńczych latach w sąsiednim domu. Spytałem ją, czy to faktycznie pokój Laury.

Jake włożył wczorajsze zdjęcia wraz z zapasowym filmem do torby. Chciał je mieć pod ręką, na wypadek gdyby trzeba było coś porównać.

O dziewiątej rano zbliżał się do Mountain Road. Doszedł wcześniej do wniosku, że parkowanie na ulicy nie byłoby rozsądnym posunięciem. Ludzie zwracają uwagę na obce samochody i tamten policjant mógłby rozpoznać jego dziesięcioletnie subaru, które dostał od rodziców na swoje szesnaste urodziny. W takich chwilach żałował, że pomalował je jak zebra w czarno-białe paski.

Kupię sobie ciastko z kruszonką, zostawię samochód na parkingu przy barze, a potem pójde pieszo do domu Laury, postanowił. Pożyczył od matki torbę na zakupy od Bloomingdale'a, tak więc ani aparat, ani samochód nie rzucą się nikomu w oczy. Wślizgnę się podjazdem do domu Laury i sfotografuję dom od tyłu.

Dziesięć po dziewiątej siedział przy kontuarze barku, znajdującego się w dole Mountain Road, gawędząc z Dukiem.

– Mówisz, że uczysz się w Stonecroft? – spytał Duke. – To super. Niektórzy uczestnicy zjazdu wpadają do nas. O, właśnie jedzie...

Duke popatrzył w okno.

– Kto jedzie? – zainteresował się Jake.

– Ten facet, który zaglądał do nas wcześniej rano i czasami późnym wieczorem, żeby kupić kawę i coś do zjedzenia.

– Wie pan, kto to jest? – spytał Jake, choć właściwie go to nie interesowało.

– Nie, ale z pewnością był to jeden z uczestników zjazdu.

– Aha – mruknął Jake, wstając i wyjmując z kieszeni pogniecione jednodolarówki. – Muszę rozprostować nogi. Mogę zostawić auto pod barem na jakieś piętnaście minut?

– Jasne, ale nie na dłużej.

– Proszę się nie martwić. Też się śpieszę.

Po upływie ośmiu minut Jake był już na podwórku na tyłach dawnego domu Laury. Zrobił zdjęcie domu od tamtej strony, a także kilka zdjęć kuchni przez szybę w drzwiach. Mogłaby to być wystawa sklepu meblowego, pomyślał. Blaty szafek lśniły pustką – nie było tam ani tostera, ani ekspresu do kawy, ani też puszek na kawę i herbatę. Nie dostrzegł żadnego innego śladu, że ktoś tu mieszka. Chyba po raz pierwszy w życiu pomyliłem się, przyznał się w duchu.

Przyjrzał się uważnie śladom opon na podjeździe. Wjeżdżało tu parę samochodów. Ale mógł je zostawić facet, który grabi liście. Drzwi garażu były zamknięte i nie miały szybek, toteż nie mógł sprawdzić, czy w środku stoją jakieś samochody.

Wrócił podjazdem na ulicę, przeszedł na drugą stronę i zrobił szybko jedno zdjęcie domu od frontu. Następnie schował z powrotem aparat do torby na zakupy i zaczął schodzić ulicą w dół.

Byłoby znacznie fajniej, gdybym odnalazł Laurę Wilcox i Robby'ego Brenta, zadekowanych tutaj, pomyślał. Ale co mogę na to poradzić? Piszę artykuły, ale nie zmyślam historii.

Po pierwszych zajęciach Meredith Buckley, kadet West Point, pobiegła do pokoju, by po raz ostatni przejrzeć notatki przed egzaminem z algebry liniowej. Najtrudniejszym na drugim roku.

Przez dwadzieścia minut koncentrowała się na notatkach. Gdy chowała je do teczki, zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i uśmiechnęła się. Zanim zdążyła się odezwać, wesoły głos powiedział:

– Czy kadet Buckley wyświadczyłaby mi zaszczyt i zechciała spędzić wraz z rodzicami następny weekend w moim domu w Palm Beach?

– Nie ma pan pojęcia, jak cudownie to brzmi – odparła z entuzjazmem Meredith, wspominając fantastyczny weekend u znajomego rodziców. – W tej chwili jednak nie chciałabym być niegrzeczna, ale właśnie idę na egzamin.

– Wystarczy, jeśli poświęcisz mi trzy minuty, Meredith. Byłem na zjeździe koleżeńskim w Cornwall. Chyba wspominałem ci wcześniej, że się tam wybieram.

– Tak, wspominał pan. Bardzo przepraszam, ale po prostu nie mogę teraz rozmawiać.

– Będę się streszczał, Meredith. Moja szkolna koleżanka, która też uczestniczyła w zjeździe, jest bliską przyjaciółką Jean, twojej biologicznej matki. Napisała do ciebie list. Obiecałem jej, że dostarczę go osobiście. Powiedz mi, kiedy mam się zjawić na parkingu przed muzeum, a będę na ciebie czekał z listem.

– Moja biologiczna matka? Ktoś z waszego zjazdu ją zna? – Meredith ścisnęła słuchawkę, czując, że serce wali jej jak młot. Spojrzała na zegar. Musi już iść. – Kończę egzamin o jedenastej

czterdzieści – rzekła spiesznie. – Będę na parkingu za dziesięć dwunasta.

– Pasuje. Połam pióro, generale.

Meredith musiała zebrać całą siłę woli, by skoncentrować się na egzaminie i odsunąć od siebie myśl, że za niespełną godzinę dowie się czegoś o dziewczynie, która wydalają na świat. Wiedziała wyłącznie, że jej matka kończyła liceum, gdy okazało się, że jest w ciąży, a ojciec zginął w wypadku samochodowym. I na tym koniec.

Rodzice obiecali Meredith, że gdy ukończy West Point, spróbują odszukać jej biologiczną matkę i zaaranżować spotkanie.

Skończyła pisać pracę egzaminacyjną i udała się spiesznie na parking przy muzeum. Biegąc tam, uświadomiła sobie, że wzmianka o Palm Beach podsunęła jej odpowiedź na pytanie, które ojciec zadał jej wczoraj przez telefon. To tam zgubiłam szczotkę do włosów, przypomniała sobie nagle.

O dziesiątej do hotelu wszedł z kamienną twarzą Carter Stewart. Sam, który siedział w holu, natychmiast ruszył w jego stronę. Dogonił go przy recepcji.

– Panie Stewart, jeśli pan pozwoli, chciałbym zamienić z panem słowo.

– Chwileczkę, panie Deegan. – Za kontuarem siedział recepcjonista o włosach koloru forniru. – Muszę zobaczyć się z dyrektorem i jeszcze raz dostać się do pokoju pana Brenta – warknął Stewart. – Wytwórnia otrzymała wczorajszą przesyłkę. Podobno potrzebują scenariusza jeszcze jednego odcinka i poproszono mnie o powtórne spełnienie przysłowiowego dobrego uczynku. Ponieważ ten scenariusz nie leżał z innymi na biurku, trzeba będzie sprawdzić w szufladach.

– Bezwłocznie powiadomię pana Lewisa – zapewnił go nerwowo recepcjonista.

Stewart odwrócił się do Deegana.

– Mam w nosie, czy zgodzą się na szperanie w biurku Robby’ego. Spłacam dług wdzięczności, który zdaniem mojego agenta zaciągnąłem kiedyś u niego.

Cóż za nieprzyjemny typ, pomyślał Sam.

– Panie Stewart – powiedział – podobno kilka dni temu pan oraz panowie Amory, Brent, Emerson, Fleischman i Nieman żartowaliście sobie na temat wspólnej pracy w ekipie sprzątającej budynek administrowany przez ojca Jacka Emersona.

– Tak, tak, rzeczywiście. To było wiosną w ostatniej klasie liceum.

– Czy słyszał pan, by ktokolwiek wspominał, że doktor Sheridan była pacjentką doktora Connorsa, który miał gabinet w tym budynku?

– Nie, nie słyszałem. Poza tym dlaczego Jean miałaby być pacjentką Connorsa? Przecież on był położnikiem. – Stewart otworzył szeroko oczy. – O rany, czyżby miał wyjść na jaw jakiś mały sekrecik, panie Deegan? Jeannie była pacjentką doktora Connorsa?

Sam zmierzył go spojrzeniem pełnym pogardy.

– Spytałem pana tylko, czy ktoś tak twierdził – odparł. – Ani przez moment nie sugerowałem, że to prawda.

Podszedł do nich dyrektor hotelu, Justin Lewis.

– Panie Stewart, jak rozumiem, chce pan się dostać do pokoju pana Brenta i przejrzeć zawartość jego biurka. Niestety, ale tym razem nie mogę na to zezwolić.

– I to by było na tyle – rzekł Stewart, odwracając się tyłem do dyrektora. – Nie mam tu już nic do roboty, panie Deegan. Omówiliśmy z reżyserem moją sztukę, wracam więc dziś po południu na Manhattan. Życzę powodzenia w oczekiwaniu, aż Laura i Robby wypłyną na powierzchnię.

Sam oraz dyrektor patrzyli za nim, gdy wychodził z holu.

– Wyjątkowo niesympatyczny facet – powiedział Lewis.

Zanim Deegan zdążył w pełni potwierdzić tę opinię, zadzwonił jego telefon komórkowy. Był to Rich Stevens.

– Otrzymałem wiadomość od policji z Cornwall. Odnaleziono w Hudsonie samochód, częściowo zanurzony. W bagażniku znajdują się zwłoki Robby’ego Brenta. Nie żyje prawdopodobnie od paru dni.

– Jadę natychmiast, Rich. – Sam zamknął telefon. Kiedy Laura i Robby „wypłyną na powierzchnię”? W dosłownym znaczeniu? – zastanawiał się Sam. Czyżby Carter Stewart był nie tylko sławnym dramaturgiem, ale i psychopatycznym mordercą?

O dziesiątej Jake wywoływał swoje ostatnie zdjęcia. Tamte, które zrobił na tyłach domu przy Mountain Road, nie wniosły niczego nowego do interesującej go historii, a to, które pstryknął od frontu, było trochę nieostre. Właściwie zmarnował cały ranek.

Usłyszał za drzwiami ciemni czyjś głos. Wołała go Jill Ferris, wyraźnie zdenerwowana.

– Już wychodzę, pani Ferris! – odkrzyknął.

Gdy tylko spojrział na nią, zrozumiał, że coś musiało ją wstrząsnąć do głębi.

– Jake, miałam nadzieję, że cię tutaj znajdę – powiedziała. – Przeprowadzałeś wywiad z Robbym Brentem, prawda?

– Tak. Powiem nieskromnie, bardzo dobry wywiad.

– Właśnie podali w najnowszych wiadomościach, że znaleziono ciało Robby’ego Brenta w bagażniku samochodu, który zatonął w Hudsonie w pobliżu Cornwall Landing.

Robby Brent nie żyje! Jake chwycił aparat.

– Dziękuję, pani Ferris – zawołał, wybiegając z pracowni.

Samochód z ciałem Robby’ego Brenta wpadł do rzeki Hudson w pobliżu Cornwall Landing. W spokojnym zazwyczaj parku, pośród ławek i płaczących wierzb uwijali się teraz policjanci. Teren ogrodzono taśmą, by powstrzymać ciekawskich gapiów oraz dziennikarzy.

Kiedy o wpół do jedenastej Sam zjawił się na miejscu zdarzenia, ciało Robby’ego umieszczono już w ambulansie z kostnicy. Cal Grey, lekarz sądowy, zdał Samowi szczegółowe sprawozdanie.

– Brent nie żyje co najmniej od dwóch dni. Rana kłuta w klatce piersiowej. Musisz wiedzieć, Sam, że był to taki sam nóż o ząbkowanym ostrzu, jakim zasztyletowano Helen Whelan.

Jadąc na miejsce zbrodni, Sam zadzwonił na komórkę Jean. Włączyła się poczta głosowa, zostawił więc wiadomość, by pilnie się z nim skontaktowała. Nie mógł przestać myśleć o tamtym budynku. Intuicja podpowiadała mu, by nie zwlekał z podjęciem intensywnych poszukiwań Jean.

– Kiedy Brent zaginął? – spytał Cal Grey.

– Nie widziano go od poniedziałkowego wieczoru – odparł Sam.

– Założę się, że został zamordowany niewiele później. Oczywiście będę mógł dokładniej określić czas zgonu po dokonaniu sekcji.

Wyciągnięto już z wody samochód Brenta. Stał na brzegu, ociekając wodą, a technicy policyjni obfotografowywali go z każdej strony. Miejscowy policjant pobieżnie wprowadził Sama w szczegóły.

– Przypuszczamy, że samochód zepchnięto do rzeki wczoraj wieczorem, koło dziesiątej. Małżonkowie z New Windsor, którzy biegali w tej okolicy mniej więcej za kwadrans dziesiąta, zeznali, że widzieli jakiś samochód zaparkowany w pobliżu torów kolejowych. Kierowca siedział w środku. Po przebiegnięciu około półtora kilometra drogą, zawrócili. Kiedy znaleźli się w tym samym miejscu, samochód zniknął, ale zauważyli mężczyznę, który opuszczał teren parku w dużym pośpiechu.

– Przyjrzeni mu się?

– Nie. Mąż powiedział, że facet był średniego wzrostu. Żona twierdzi, że raczej wysoki.

Boże, chroń mnie przed naocznymi świadkami, pomyślał Sam. Odwróciwszy się, dostrzegł

Jake'a Perkinsa, przepychającego się do taśmy. W rękę trzymał nieodłączny aparat fotograficzny.

Czy ten chłopak posiada dar przebywania w kilku miejscach jednocześnie? – pomyślał Sam. Nie tylko wydaje się być wszędzie, on jest wszędzie. Ich spojrzenia się spotkały, lecz Jake natychmiast odwrócił wzrok. Obraził się na mnie za to, że powiedziałem Tony'emu, by go wsadził za kratki. Mogłem potwierdzić, że stara się mi pomóc. W końcu to on zwrócił moją uwagę na fakt, że Laura była zdenerwowana, dzwoniąc do hotelu.

Zastanawiał się, czy podejść do Jake'a i zagadnąć go, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Była to Joy Lacko.

– Sam, kilka minut temu dostaliśmy zgłoszenie na 911, że kabriolet, zarejestrowany na nazwisko Jean Sheridan, stoi od dwóch godzin na tarasie widokowym w parku Storm King. Dzwonił akwizytor, który przejeżdżał tamtędy o siódmej czterdzieści pięć, a potem znowu dwadzieścia minut temu. Wydało mu się dziwne, że samochód parkuje tak długo i postanowił sprawdzić, czy wszystko w porządku. Kluczyki są w stacyjce, torebka Sheridan leży na miejscu pasażera. Nie wygląda to dobrze.

– Dlatego nie odbierała telefonu – rzekł z ciężkim sercem Sam. – Joy, czy jej samochód wciąż tam jest?

– Tak. Rich wiedział, że zechcesz wszystko obejrzeć, zanim go zabierzemy. Będę z tobą w kontakcie.

Ambulans ze zwłokami Robby'ego Brenta właśnie odjeżdżał. Trzy ciała w ciągu niespełna tygodnia w tym cholernym karawanie, pomyślał Sam. Oby Jean Sheridan nie była następna, modlił się.

Jake Perkins natychmiast pożałował, że nie uklonił się Samowi Deeganowi, gdy ich oczy się spotkały. Żaden dobry dziennikarz, choćby nie wiem jak go obrażono, nie zachowałby się w ten sposób.

Może Deegan wie, gdzie jest doktor Sheridan. Chciał uzyskać od niej potwierdzenie, że w domu przy Mountain Road Laura Wilcox sypiała w pokoju, w którym później popełniono morderstwo.

Niosąc ciężki aparat, Jake z trudem przepchnął się przez tłum i dogonił detektywa przy samochodzie.

– Panie Deegan, czy wie pan, gdzie mogę złapać doktor Sheridan? Dzwonię do niej, ale nie odbiera telefonu.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest – warknął Sam, wsiadając do samochodu. Zatrzęsął drzwiami i włączył syrenę.

Coś się stało, doszedł do wniosku Jake. Deegan obawia się o doktor Sheridan, ale nie pojechał w stronę hotelu. Jedzie za szybko, żebym mógł go śledzić. Wobec tego wpadnę do Glen-Ridge, może uda mi się coś wywąchać.

W drodze do parku Storm King, Sam zatelefonował do Glen-Ridge House i poprosił o połączenie z dyrektorem.

– Proszę posłuchać, panie Lewis – powiedział – właśnie znaleziono samochód doktor Sheridan, a ona zaginęła. Proszę podać mi spis wszystkich numerów telefonów, z których dzwoniono do niej między dziesiątą wieczorem wczoraj a dziewiątą rano dzisiaj.

Był przygotowany na sprzeciw, lecz nic takiego nie nastąpiło.

– Niech mi pan poda swój numer – odparł rzeczowo Lewis. – Zaraz oddzwonie.

Sam położył komórkę na siedzeniu obok i dodał gazu. Wyjeżdżając zza zakrętu, zobaczył kabriolet BMW Jean i stojącego obok policjanta. Zaparkował za nim i właśnie wyjmował notes oraz ołówek, gdy zadzwonił Justin Lewis.

– Dziś rano siedmiokrotnie łączono rozmowy z pokojem doktor Sheridan – poinformował energicznie Sama. – Pierwsza miała miejsce za piętnaście siódma!

– Za piętnaście siódma? – przerwał mu Sam.

– Tak. Dzwoniono z telefonu komórkowego gdzieś z tej okolicy. Nazwisko abonenta nie jest znane. Podaję numer...

Sam zanotował numer, ten sam, z którego Robby Brent telefonował w poniedziałek, udając Laurę.

– Pozostałe telefony były od Alice Sommers i Jake’a Perkinsa. Oboje kilkakrotnie próbowali dodzwonić się do doktor Sheridan. Dwie rozmowy odnotowano z pańskiego prywatnego telefonu.

– Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł – rzekł Sam, po czym się wyłączył. Robby Brent nie żyje od paru dni, lecz ktoś skorzystał z jego telefonu, by wywabić Jean Sheridan z hotelu. Musiała opuścić go w pośpiechu natychmiast po tej rozmowie. Jej samochód zauważono o siódmej czterdzieści pięć na tarasie widokowym. Z kim miała się tam spotkać? Przynależała, że będzie ostrożna i w grę wchodziły wyłącznie dwie osoby, z którymi spotkałaby się bez namysłu – jej córka Lily lub Laura. Sam był tego absolutnie pewien.

Kimkolwiek jest ten psychopata, ma Jean. Czy córka Jean jest naprawdę bezpieczna? – pomyślał z nagłym niepokojem. Otworzył portfel, znalazł wizytówkę, której potrzebował i wybrał numer Craiga Michaelsona.

– Bardzo mi przykro – powiedziała jego sekretarka. – Jest na ważnej naradzie i nie można mu przeszkadzać.

– Musi mu pani przeszkodzić – odparł ostro Sam. – Jestem z policji, chodzi o sprawę życia i

śmierci.

– Och, bardzo mi przykro, proszę pana – powtórzyła sekretarka – ale...

– Proszę mnie posłuchać, młoda damo. Połączy się pani z Michaelsonem i powie mu pani, że dzwonił Sam Deegan. Zaginęła Jean Sheridan i Michaelson koniecznie musi skontaktować się z West Point i polecić, by jej córce przydzielono ochronę. Zrozumiała mnie pani?

– Oczywiście. Spróbuję go złapać, ale...

– Żadnych ale! Ma go pani zawiadomić! Natychmiast! – wrzasnął Sam i się rozłączył. Wysiadł z samochodu. Trzeba namierzyć telefon Robby'ego Brenta, pomyślał, choć prawdopodobnie niewiele to da. Pozostaje tylko jedna szansa.

Pośpiesznie minął policjanta pilnującego kabriolet Jean, otworzył drzwi samochodu i wysypał zawartość jej torebki na siedzenie. Następnie przeszukał schowek i całe wnętrze samochodu.

– Może zyskaliśmy pewną szansę – rzekł do funkcjonariusza. – Jean ma prawdopodobnie telefon przy sobie. Tutaj go nie znalazłem.

Było wpół do dwunastej.

O jedenastej czterdzieści pięć Craig Michaelson zadzwonił do Sama, który był już wtedy w Glen-Ridge House. Siedział w pomieszczeniu znajdującym się na zapleczu recepcji.

– Właśnie otrzymałem wiadomość – powiedział. – Co się stało?

– Jean Sheridan została uprowadzona – odparł krótko Sam. – Mam w nosie to, czy jej córka przebywa w West Point w otoczeniu samych wojskowych. Musimy mieć pewność, że przydzielono jej osobistą ochronę. Mamy do czynienia z psychopatą. Dwie godziny temu wyciągnięto z rzeki Hudson zwłoki jednego z uczestników zjazdu w Stonecroft. Został zasztyletowany.

– Jean Sheridan zaginęła! Generał z żoną znajdują się na pokładzie samolotu z Waszyngtonu, lecą na spotkanie z nią, zaplanowane na dziś wieczór. Nie mogę się z nimi skontaktować podczas lotu.

Tłumiony do tej pory niepokój i frustracja Sama eksplodowały.

– Owszem, może pan! – krzyknął. – Mógłby pan przekazać wiadomość za pośrednictwem linii lotniczych do pilota, ale na to jest i tak za późno. Proszę mi podać nazwisko córki Jean Sheridan, sam zadzwonię do West Point.

– To kadet Meredith Buckley. Ale generał zapewnił mnie, że Meredith na pewno nie opuści terenu West Point ani dziś, ani w piątek, ponieważ ma egzaminy.



– Módlmy się, by generał się nie mylił – warknął Sam. Zakończył rozmowę i wybrał numer West Point.

Tymczasem technicy namierzali telefon komórkowy Jean, powinno im to zająć kilka minut. Kiedy wyznaczą odległość, będą mogli ustalić dokładne położenie aparatu. To nam pomoże – pod warunkiem, że komórka nie leży gdzieś na śmietniku, pomyślał Sam.

Kiedy wreszcie połączono go z komendantem akademii, Deegan wyjaśnił zwięźle sytuację.

– Kadet Buckley jest chyba teraz na egzaminie – odrzekł komendant. – Każę natychmiast wezwać ją do siebie.

– Muszę mieć pewność, że rzeczywiście jest u pana – powiedział Sam. Zaczekam przy telefonie.

Po upływie niespełna pięciu minut usłyszał w słuchawce podenerwowany głos komendanta:

– Pięć minut temu widziano kadet Buckley, jak opuszcza Thayer Gate i zmierza w kierunku parkingu przy muzeum. Nie wróciła. Nie ma jej ani na parkingu, ani w muzeum.

Sam nie chciał wierzyć własnym uszom.

– Przecież obiecała ojcu, że nie ruszy się na krok z West Point.

– I nie złamała danego słowa – odparł komendant. – Choć Muzeum Akademii Wojskowej jest ogólnie dostępne, uważane jest za część campusu West Point.

Jake wrócił do Stonecroft i udał się do ciemni. Nie wiedział, co zrobi ze zdjęciami z miejsca zbrodni. Mało prawdopodobne, by kiedykolwiek zamieszczono je w „Stonecroft Academy Gazette”.

Te, które zrobił rano przy Mountain Road, wciąż suszyły się na sznurze. Jego wzrok padł na ostatnie. Było to nieostre zdjęcie fasady budynku. Kiedy przyjrzał mu się bliżej, szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

Chwycił lupę, przestudiował zdjęcie dokładnie, po czym zdjął je ze sznura i wpadł jak bomba do pracowni. Zastał tam Jill Ferris, która oceniała prace. Rzucił je na biurko i podał jej lupę.

– Jake! – zaprotestowała.

– To naprawdę ważne. Proszę przyjrzeć się tej fotografii i powiedzieć mi, czy coś jest na niej nie tak. Proszę, pani Ferris, ale uważnie.

Nauczycielka wzięła z westchnieniem lupę i spełniła jego prośbę.

– Chodzi ci chyba o to, że roleta w narożnym oknie na pierwszym piętrze jest przekrzywiona, tak?

– Właśnie – potwierdził triumfalnie Jake. – Wczoraj nie była przekrzywiona. Ktoś mieszka w tym domu!

## Rozdział piętnasty

Sam postanowił pojechać do Glen-Ridge House. Zaczął nabierać pewności, że groźby pod adresem Lily przesyłał któryś z odznaczonych absolwentów Stonecroft, a może Jack Emerson lub Joel Nieman. Wszyscy pracowali kiedyś w budynku, w którym mieścił się gabinet doktora Connorsa.

Podczas weekendu jeden z nich powiedział, że Jean była pacjentką doktora. Do tej pory Samowi nie udało się ustalić który.

W Glen-Ridge mógł mieć przynajmniej oko na Marka Fleischmana i Gordona Amory'ego, którzy nadal byli zameldowani w hotelu. Informacja o zaginięciu Jean błyskawicznie pojawi się w mediach i Sam był pewien, że ta wiadomość sprowadzi tutaj również Jacka Emersona.

Poprosił już Richa Stevensa, by zlecił inwigilację ich wszystkich. Dziesięć po dwunastej zadzwonił do niego jeden z techników.

– Sam, namierzyliśmy komórkę Jean Sheridan. Znajduje się w samochodzie jadącym w kierunku Cornwall, niedaleko Storm King.

– Wraca z West Point – stwierdził Sam. – Ma dziewczynę. Nie zgubcie go. Nie zgubcie go.

– Nie mamy takiego zamiaru.

– Proszę, niech pan zawróci – powiedziała Meredith. – Nie wolno mi opuszczać terenu uczelni. Kiedy poprosił pan, żebym wsiadła do samochodu, myślałam, że chce pan chwilę porozmawiać. Ale skoro zostawił pan list od przyjaciółki mojej matki w innej marynarce, będę musiała na niego zaczekać. Naprawdę muszę wracać, panie...

– Chciałaś wypowiedzieć na głos moje nazwisko, Meredith. Nie pozwalam, byś to robiła. Masz nazywać mnie Sową lub panem Sową.

Wpatrywała się w niego, czując, jak ogarniają nagłe przerażenie.

– Nie rozumiem. Proszę mnie odwieźć na uczelnię. – Meredith zacisnęła dłoń na klamce. Wskoczę, kiedy zatrzyma się na światłach, postanowiła. Jest jakiś inny. Nie, nie tylko inny – on jest szalony!

Samochód pędził na północ drogą numer 218. Ten wariat znacznie przekracza dopuszczalną prędkość, pomyślała Meredith. Boże, błagam Cię, spraw, by zauważył nas jakiś policjant.

– Dokąd pan mnie zabiera? – spytała. Coś uwierało ją w plecy. Co to mogło być?

– Meredith, skłamałem, mówiąc, że spotkałem na zjeździe przyjaciółkę twojej matki.

Spotkałem tam twoją matkę. Zabieram cię do niej.

– Moja matka! Zabiera mnie pan do niej?

– Tak. A potem obie spotkacie się w niebie z twoim biologicznym ojcem. Jesteś do niego bardzo podobna. W każdym razie wyglądasz tak jak on, kiedy rozwaliłem go na drodze. Wiesz, gdzie się to wydarzyło, Meredith? Na drodze w pobliżu terenów piknikowych West Point. Tam zginął twój prawdziwy tatuś. Szkoda, że nie miałaś okazji odwiedzić jego grobu.

Na tablicy nagrobkowej jest wyryte jego nazwisko: Carroll Reed Thornton junior. Zabrakło mu tygodnia do skończenia akademii. Ciekawe, czy pochowają ciebie i Jeannie obok niego. Czy nie byłoby to miłe?

– Mój ojciec szedł do West Point, a pan go zabił?

– Oczywiście. Twoim zdaniem to sprawiedliwe, że on i Jeannie byli tacy szczęśliwi, a ja zostałem na łodzi? Tak uważasz, Meredith? – Odwrócił do niej głowę, piorunując dziewczynę wzrokiem.

On jest szalony, pomyślała znowu.

– Nie, proszę pana. Uważam, że to niesprawiedliwe – odpowiedziała cicho, próbując zapanować nad wzburzeniem. Nie mogę zdradzić, jak bardzo się boję.

Sprawiał wrażenie udobruchanego.

– Ach, te twoje nawyki z West Point. Nie kazałem ci mówić: „proszę pana”. Masz mnie nazywać Sową.

Znaleźli się na przedmieściach Cornwall. Nie panikuj, poleciła sobie w duchu Meredith. Rozejrzyj się. Zorientuj się, czy nie ma tu czegoś, co mogłabyś wykorzystać do obrony.

Trzymała dłonie splecione na kolanach. Co uwierają w plecy? Może jest to coś, dzięki czemu zdoła uratować siebie i matkę. Bardzo, bardzo ostrożnie rozplotła palce i przesunęła prawą dłoń do swego boku, a następnie za siebie. Natrafiła na wąski przedmiot, który wydał jej się znajomy.

Był to telefon komórkowy. Musiała mocno pociągnąć, by go wyjąć, lecz Sowa chyba niczego nie zauważył.

Meredith powoli manipulowała dłonią, w której trzymała komórkę. Otworzyła wieczko, spojrziała w dół, wcisnęła palcem 91...

Nie zauważyła szybkiego ruchu ręki mężczyzny, ale poczuła, że ścisnął ją za szyję. Osunęła się do przodu, tracąc przytomność, a Sowa wyrwał jej telefon, opuścił szybę i wyrzucił go na drogę.

Po upływie niespełna dziesięciu sekund drogą przejechał z łoskotem samochód pocztowy, doszczętnie miażdżąc plastikowy aparat.

– Sam zgubiliśmy go! – krzyknął do słuchawki technik. – Jest w Cornwall, ale przestaliśmy odbierać sygnał.

– Jak to się stało? – spytał Sam. To było idiotyczne pytanie. Znał na nie odpowiedź – facet znalazł aparat i zniszczył go.

– Co robimy? – spytał technik.

– Modlimy się – odparł Sam. – Modlimy się.

Jake poprosił jeszcze raz, by pozwolono mu zostawić samochód na parkingu przed barem, i otrzymał zgodę. Gdy jednak był już w progu, zadzwonił jego telefon komórkowy. Była to Amy Sachs, która miała właśnie dyżur w recepcji.

– Jake – powiedziała szeptem – powinieneś tu przyjechać. Rozpętało się istne piekło. Zaginęła doktor Sheridan. Znaleźli jej samochód porzucony na tarasie widokowym w parku Storm King. Jest tutaj detektyw Deegan.

– Zaraz przyjeżdżam. Chyba nie będę musiał parkować tu samochodu – rzekł do Duke'a. – Ale i tak panu dziękuję.

– O, tam jedzie ten facet ze zjazdu, o którym ci mówiłem. – Duke wskazał na ulicę. – Nieźle przekracza dozwoloną prędkość. Zarobi mandat, jeśli nie będzie uważał.

Jake wyjrzał przez okno na tyle szybko, że zdążył rozpoznać kierowcę.

– To on kupował u pana jedzenie? – spytał zaskoczony.

– Tak. Zwykle kupuje kawę i grzankę. Czasami wieczorem wstępował po kawę i kanapkę.

Czy to możliwe, by kupował je dla Laury? – zastanawiał się Jake. A teraz zaginęła doktor Sheridan. Muszę zawiadomić Sama Deegana. Jestem pewien, że zechce sprawdzić dawny dom Laury. Pojadę tam i zaczekam na niego, postanowił.

Zadzwonił do hotelu.

– Amy, proszę, połącz mnie z detektywem Deeganem. Nie czekał długo na reakcję.

– Pan Deegan kazał ci powtórzyć, żebyś spadał.

– Powiedz mu, że chyba wiem, gdzie może znaleźć Laurę Wilcox.

Jean podniosła głowę, gdy ktoś otworzył pchnięciem drzwi sypialni. W progu stanął Sowa.

Niósł na rękach szczupłą dziewczynę w ciemnoszarym mundurze kadeta West Point. Przeszedł przez pokój i położył Meredith u stóp Jean.

– Oto twoja córka! – rzekł triumfującym tonem. – Czyż nie jest naprawdę piękna?

Reed, pomyślała Jean. Skóra zdjęta z Reeda! Wąski orli nos, szeroko rozstawione oczy, jasnozłote włosy.

– Nie rób jej krzywdy! Nie waż się zrobić jej krzywdy! – krzyknęła, ale jej głos tłumił knebel. Od strony łóżka dobiegał przerażony szloch Laury.

– Nie mam zamiaru robić jej krzywdy, Jeannie. Mam zamiar ją zabić, a ty będziesz na to patrzyła. Potem przyjdzie kolej na Laurę, a po Laurze na ciebie. Wtedy, jak sądzę, wyświadczę ci przysługę. Nie wyobrażam sobie, byś chciała żyć po tym, gdy będziesz świadkiem śmierci własnej córki, prawda?

Powolnym krokiem podszedł do wieszaka, zdjął z niego worek z napisem „Lily/Meredith” i wrócił do nieprzytomnej dziewczyny. Ukląkł obok niej i rozpostarł worek.

Oniemiała z przerażenia Jean patrzyła, jak Sowa zaczyna wsuwać plastikowy worek na głowę Lily.

– Nie, nie, nie... – Zanim worek przesłonił nozdrza dziewczyny, Jean przechyliła krzesło, upadając do przodu i chroniąc dziecko własnym ciałem. Krzesło przygwoździło rękę Sowy. Krzyknął przeraźliwie z bólu. Kiedy próbował się uwolnić, usłyszał głośny trzask wyłamywanych na dole drzwi.

Kiedy Sam Deegan zdecydował się w końcu odebrać telefon od Jake’a, nie dopuścił go do głosu.

– Posłuchaj, Jake, Jean Sheridan i Laura znajdują się w rękach niebezpiecznego dla otoczenia maniaka. Nie traćmy czasu. Wiesz, gdzie jest Laura czy nie?

Na takie dictum, Jake spiesznie wyłuszczył wszystko, co wiedział.

– Ktoś przebywa w dawnym domu Laury przy Mountain Road, panie Deegan, choć podobno nikt tam nie mieszka. Jeden z odznaczonych uczestników zjazdu kupuje jedzenie w barze na tej samej ulicy, niedaleko jej domu. Właśnie przed chwilą tędy przejeżdżał. Myślę, że kierował się w tamtą stronę. – Ledwie zdążył wydusić z siebie nazwisko mężczyzny, kiedy Sam przerwał połączenie.

Tym razem bez wątpienia zwróciłem uwagę Deegana, pomyślał Jake, czekając na ulicy nieopodal dawnego domu Laury. Nie minęło pięć minut, gdy samochód Deegana zahamował z piskiem opon przy krawężniku. Za nim nadjechały dwa radiowozy.

Jake powiedział Samowi, że jego zdaniem ktoś jest w narożnej sypialni od frontu. Niemal

natychmiast policjanci wyłamali drzwi i wdarli się do środka. Sam krzyknął, by Jake pozostał na zewnątrz.

Akurat! – pomyślał Jake. Pobiegł za policjantami z aparatem przewieszonym przez ramię. Gdy dotarł do szczytu schodów, usłyszał trzaśnięcie drzwi. Druga sypialnia, pomyślał. Ktoś tam jest.

Sam Deegan wyszedł z narożnej sypialni w tylnej części domu, z bronią w ręku.

– Zejdź na dół, Jake! – rozkazał. – Gdzieś tu ukrywa się morderca. Jake wskazał korytarz za sobą.

– Jest tam.

Sam i dwaj policjanci minęli go pędem. Jake podbiegł do drzwi frontowej sypialni, zajrzał do środka i po chwilowym szoku, spowodowanym tym, co zobaczył, nastawił aparat i zaczął pstrykać zdjęcia.

Pierwsze zrobił Laurze Wilcox. Leżała na łóżku w pomiętej sukni, ze zmierzwionymi włosami. Policjant podtrzymywał jej głowę i poił wodą ze szklanki.

Jean Sheridan siedziała na podłodze, tuląc w ramionach młodą kobietę w mundurze kadeta West Point. Płakała, szepcząc w kółko: „Lily, Lily, Li -ly”. W pierwszej chwili Jake pomyślał, że dziewczyna nie żyje, po chwili jednak poruszyła się.

Wycelował w nie obiektyw aparatu, dzięki czemu mógł utrwalić dla potomności chwilę, gdy Lily uniosła powieki i po raz pierwszy od dnia narodzin spojrzała w oczy swojej matki.

Kwestia sekund, zanim wyważą te drzwi, pomyślał Sowa. Spojrzał na cynowe sowy, które ścisnął w dłoni i które zamierzał zostawić przy ciałach Laury, Jean i Meredith. Stracił tę szansę.

– Poddaj się! – krzyknął Sam Deegan. – Nie uda ci się stąd uciec! Ależ uda mi się, pomyślał Sowa. Z westchnieniem wyjął swoją maskę z kieszeni. Włożył ją i przejrzał się w lustro, sprawdzając, jak leży. Położył cynowe sowy na komodzie.

– Jestem sową i mieszkam na drzewie – powiedział głośno. Wyjął z drugiej kieszeni pistolet i przyłożył go do skroni.

– Noc jest moją porą – wyszeptał. Potem zamknął oczy i pociągnął za spust.

Słyszac huk strzału, Sam kopnięciem otworzył drzwi. Wpadł do środka, za nim policjanci.

Ciało mordercy leżało rozciągnięte na podłodze, pistolet obok. Sowa upadł na wznak, na twarzy wciąż miał maskę, przez którą sączyła się krew.

Sam pochylił się, ściągnął maskę i spojrzał w twarz człowiekowi, który pozbawił życia tyle

niewinnych osób. Teraz, po śmierci, blizny po operacjach plastycznych były bardziej widoczne, a twarz, która dzięki staraniom chirurga stała się taka przystojna, wyglądała odrażająco.

– Zabawne – powiedział Sam. – Gordon Amory był ostatnim człowiekiem, którego podejrzewałbym o całe to zamieszanie z sowami...

Tego samego wieczoru Jean spotkała się na kolacji z Charlesem i Gano Buckleyami w domu Craiga Michaelsona. Meredith wróciła do West Point.

– Gdy przebadał ją lekarz, uparła się, że tam pojedzie – rzekł generał Buckley. – Martwiła się o jutrzejszy egzamin z fizyki. Jest ogromnie zdyscyplinowanym dzieckiem. Będzie z niej wspaniały żołnierz. – Starał się nie okazywać, jak bardzo był wstrząśnięty, gdy dowiedział się, że jego jedyne dziecko tak blisko otarło się o śmierć.

– Dokładnie tak samo postąpiłby Reed – powiedziała Jean. Nadal odczuwała niewymowną radość, podobnie jak wówczas, gdy policjant rozciął jej więzy i mogła wziąć w ramiona Lily. W uszach dźwięczał jej wzruszający głos Lily szepczącej: „Jean – mama”.

Zabrano je do szpitala na badania. Siedziały obok siebie, starając się nadrobić dwadzieścia lat.

– Zawsze zastanawiałam się, jak wyglądasz – powiedziała Lily – i właśnie tak sobie ciebie wyobrażałam.

– A ja ciebie. Muszę nauczyć się mówić do ciebie Meredith. To piękne imię.

– Większość kobiet – oświadczył lekarz, wypisując je – potrzebowałyby po takich przejściach środków uspokajających. Wy jesteście bardzo dzielne.

Wstąpiły na chwilę do Laury. Była poważnie odwodniona, podłączono jej więc kroplówkę. Leżała pogrążona w dobroczynnym śnie.

Sam wrócił do szpitala, by odwiedzić je do hotelu. W holu spotkali Buckleyów.

– Mamo! Tato! – zawołała Meredith, a Jean patrzyła ze zrozumieniem, zaprawionym odrobiną smutku, jak rzuca im się w ramiona.

– Jean, dałaś jej życie i uratowałaś jej życie – rzekła Gano Buckley. – Od tej chwili Meredith zawsze już będzie częścią twojego życia.

Jean przyglądała się siedzącej naprzeciw niej przystojnej parze. Oboje dobiegali sześćdziesiątki.

Charles Buckley miał stalowo-siwe włosy, przenikliwe spojrzenie, wyraziste rysy. Przeciwwagę dla jego wyraźnie władczego charakteru stanowił urok osobisty i ciepły uśmiech Gano



Buckley. Była drobną kobietą o subtelnej urodzie.

W sobotę po południu mieli razem odwiedzić Meredith w akademii. To jej rodzice, myślała Jean. Oni ją wychowali, kochali i sprawili, że wyrosła na wspaniałą młodą kobietę. Ale teraz przynajmniej i ja będę miała miejsce w jej życiu. Pójdę z nią na grób Reeda i opowiem jej o nim. Musi dowiedzieć się, jakim był niezwykłym człowiekiem.

Radość tego wieczoru zaprawiona była jednak goryczą. Buckleyowie zrozumieli, gdy zaraz po kawie wymówiła się skrajnym wyczerpaniem i pożegnała z nimi.

Kiedy Craig Michaelson odwiózł ją o dziesiątej do hotelu, czekali tam na nią w holu Sam Deegan i Alice Sommers.

– Pomyśleliśmy, że może zechcesz wypić z nami kieliszek na dobranoc – powiedział Sam.

Jean wodziła spojrzeniem od jednego do drugiego, czując, że do oczu napływają jej łzy wdzięczności. Zdają sobie sprawę, że mam za sobą bardzo ciężki dzień, pomyślała. Potem zauważyła Jake'a Perkinsa stojącego wyczekująco przy recepcji. Skinęła na niego dłonią. Chłopak podbiegł do niej natychmiast.

– Jake, byłam dziś po południu półprzytomna. Nawet nie wiem, czy ci podziękowałam. Gdyby nie ty, Meredith, Laura i ja nie żyłybyśmy już.

– Objęła go i pocałowała w policzek.

Jake był wyraźnie wzruszony.

– Doktor Sheridan – powiedział – żałuję, że nie okazałem się dość inteligentny. Kiedy zobaczyłem te cynowe sowy na komodzie obok ciała Gordona Amory'ego, powiedziałem panu Deeganowi, że identyczny gadżet znalazłem przy grobie Alison Kendall. Może gdybym wcześniej o tym wspomniał, natychmiast przydzielono by pani ochronę.

– Daj spokój – wtrącił Sam. – Nie mogłeś wtedy wiedzieć, że sowa jest symbolem, który coś znaczy. Doktor Sheridan ma rację. Gdybyś nie domyślił się, że Laura może być w tym domu, wszystkie trzy już by nie żyły. A teraz chodźmy na drinka. Ty również, Jake.

Sam zauważył, że słowa Jake'a zaskoczyły stojącą obok niego Alice.

– Sam, w zeszłym tygodniu znalazłam cynową sowę na grobie Karen – wyznała cicho. – Mam ją w domu w serwantce z bibelotami.

– No właśnie! – rzekł Sam. – Wiedziałem, że coś zwróciło tam moją uwagę, Alice. Teraz już wiem, co to było.

Otoczył ją ramieniem, gdy wchodzili do baru. Powiedział jej wcześniej, że Sowa przyznał się

Laurze, iż zamordował Karen przez pomyłkę. Alice była zdruzgotana – więc Karen zginęła tylko dlatego, że przypadkiem przyjechała tamtego wieczoru do domu.

– Zabiorę tę sowę z serwantki, kiedy odwiozę cię dzisiaj do domu. Nie chcę, żebyś więcej na nią patrzyła.

Stanęli przy stoliku.

– Dla ciebie, Sam, to zamknięcie starej sprawy – zauważyła Alice. – Przez dwadzieścia lat nie zrezygnowałeś z prób odnalezienia zabójcy Karen.

Jake chciał usiąść obok Jean, gdy nagle ktoś poklepał go w ramię.

– Pozwolisz?

Mark Fleischman wślizgnął się na krzesło.

– Wpadłem do szpitala, by odwiedzić Laurę – oznajmił. – Czuje się lepiej, choć jej psychika jest oczywiście w fatalnym stanie. Ale niebawem wyjdzie z tego.

Jake usiadł po drugiej stronie Jean.

– Te koszmarne przeżycia staną się zapewne punktem zwrotnym w karierze Laury – rzekł poważnie. – Dzięki rozgłosowi w mediach propozycje posypią się jak z rękawa. To jest show-biznes.

Chłopak prawdopodobnie ma rację, pomyślał Sam. I wstrząśnięty tą myślą, postanowił zamówić podwójną szkocką.

Jean dowiedziała się wcześniej od Sama, że Mark jeździł po całym mieście, próbując ją znaleźć. Później, po telefonie od detektywa, udał się spiesznie do szpitala, do którego zabrano ją, Meredith oraz Laurę. Wyszedł stamtąd, nie zobaczywszy się z nią, gdy zapewniono go, że niedługo zostanie wypisana. Teraz spojrzała mu prosto w oczy. Patrzył na nią z taką czułością, że zrobiło się jej okropnie wstyd, iż mu nie ufała.

– Bardzo cię przepraszam, Mark – powiedziała. – Jest mi naprawdę ogromnie przykro.

Przykrył jej dłoń swoją takim samym gestem, jakim kilka dni temu ją pocieszał. Poczowała przebłysk czegoś, czego od bardzo dawna brakowało jej w życiu.

– Jeannie – uśmiechnął się do niej serdecznie – nie przepraszaj. Dostarczę ci mnóstwo okazji, byś mi to wynagrodziła.

– Czy kiedykolwiek podejrzewałeś, że to może być Gordon? – spytała.

– Cóż, nie ulega wątpliwości, że jeśli się dobrze przyjrzeć, to nikt z naszych odznaczonych nie zalicza się do aniołków, nie wspominając o prezesie komitetu organizacyjnego zjazdu. Jack Emerson

może i jest sprytnym biznesmenem, ale nie ufałbym mu za grosz. Ojciec powiedział mi, że Jack jest strasznym kobieciarzem i budzącym odrazę pijakiem, choć nie słyszano, żeby stosował przemoc fizyczną. Podobno to on podłożył ogień w budynku. Wskazuje na to również fakt, że tamtego wieczoru, gdy wybuchł pożar, strażnik, prawdopodobnie opłacony przez niego, zrobił niezwykle dokładny obchód obiektu, żeby sprawdzić, czy nikt w nim nie pozostał. Wydawało mi się to podejrzane, ale też świadczyło o tym, że Emerson nigdy nie chciał nikogo zabić.

Przez jakiś czas naprawdę sądziłem, że to Robby Brent mógł być zabójcą dziewcząt z waszego stolika. Pamiętasz, jaki był kiedyś gburowaty? I teraz zachowywał się na tyle wrednie, by uznać, że potrafi wyrządzić komuś krzywdę. – Mark wzruszył ramionami. – Ale kiedy już nabrałem pewności, że to on jest Sową, Robby zniknął.

– Przypuszczamy, że zaczął podejrzewać Gordona i pojechał za nim do tamtego domu – wtrącił Sam. – Na schodach znaleźliśmy ślady krwi.

– Carter też ma w sobie tyle gniewu, że uważałam go za zdolnego do popełnienia morderstwa – zauważyła Jean.

Mark pokręcił głową.

– A ja nie. Carter wyładowuje się całkowicie w swoich sztukach i złośliwym zachowaniu.

– Tak więc, zostaliście już tylko Gordon Amory i ty.

Mark uśmiechnął się.

– Pomimo twoich wątpliwości, Jeannie, ja przecież wiedziałem, że nie jestem winny. Im baczniej przyglądałem się Gordonowi, tym więcej nabierałem podejrzeń. Można poprawić złamany nos, czy usunąć worki pod oczami, ale całkowita zmiana wyglądu zewnętrznego zawsze wydawała mi się dziwna.

– Wiem, że rozmawiałeś z Laurą w szpitalu. Czy Gordon powiedział jej, jak udało mu się czterokrotnie upozorować wypadki i raz samobójstwo? – spytała Jean Sama.

– Tak. Gordon zdradził Laurze, że śledził wszystkie dziewczęta, zanim je zamordował. Samochód Catherine Kane stoczył się do Potomacu, ponieważ Gordon uszkodził wcześniej hamulce. Cindy Lang nie porwała lawina – Amory oparł ją najpierw, już martwą, o zbocze, a potem wrzucił jej zwłoki do szczeliny. Po południu zeszła lawina i wszyscy uznali, że Cindy została zasypana. Nigdy nie odnaleziono jej ciała.

Sam pociągnął łyk szkockiej, po czym mówił dalej:

– Do Glorii Martin zadzwonił i spytał, czy może wpaść na drinka. Ponieważ wiedziała, jaki jest teraz przystojny i jakie odnosi sukcesy, zgodziła się. Nie mogła się jednak powstrzymać, by mu nie dokopać i pobiegła kupić tę sowę. Gordon upił ją, a kiedy zasnęła, udusił za pomocą plastikowego worka i wcisnął sowę do jej ręki.

Zapadło na chwilę milczenie.

– Mój Boże – odezwała się przerażona Alice – Ten człowiek to wcielone zło!

– Tak, to prawda – przyznał Sam. – Debra Parker brała lekcje pilotażu na małym lotnisku, gdzie nie przestrzegano zbytnio zasad bezpieczeństwa. G

‘ordon miał licencję pilota i wiedział, w jaki sposób uszkodzić samolot przed jej pierwszym samodzielnym lotem. Z Alison poszło mu łatwo – po prostu utopił ją w jej własnym basenie.

Sam spojrzał ze współczuciem na Jean.

– Wiem też, że wyjawiał Meredith i tobie, że to on celowo potracił Reeda Thorntona, powodując jego śmierć.

Mark nie odrywał oczu od Jean.

– Mój Boże, Jeannie, kiedy pomyślę, że zamierzał cię zabić, skóra na mnie cierpnie. Nie zniósłbym, gdyby przytrafiło ci się coś złego. – Ujął jej i warz w dłonie i pocałował ją. Był to długi, czuły pocałunek, który mówił wszystko to, czego Mark nie wyraził jeszcze słowami.

Nagle rozbłysło ostre światło. Oboje, przestraszeni, podnieśli wzrok. Jake siał z wycelowanym w nich obiektywem.

– Mam instynkt reportera, wiem, kiedy szykuje się kapitalne ujęcie wyjaśnił, bardzo z siebie zadowolony.

# Epilog

Trudno mi uwierzyć, że minęły już dwa lata, od kiedy Meredith na nowo pojawiła się w moim życiu – powiedziała Jean do Marka. Oczy jej błyszczały z dumy, gdy patrzyła na maszerujących absolwentów, wspaniali – prezentujących się w galowych mundurach – mieli na sobie szare kurtki z długimi skośnymi połami i złotymi guzikami oraz białe wykrochmalone spodnie, białe rękawiczki i kapelusze.

Okropnie dużo się wydarzyło przez ten czas – przyznał Mark.

Był przepiękny czerwcowy poranek. Stadion Michie wypełniały po brzegi dumne rodziny kadetów. Charles i Gano Buckleyowie siedzieli luź przed Markiem i Jean. Po lewej stronie Jean zasiedli dziadkowie, emerytowany generał Carroll Reed Thornton wraz z małżonką, podziwiając swą maszerującą wnuczkę. Pokochali ją całym sercem.

Tak wiele dobrych rzeczy nastąpiło po tak wielkim cierpieniu, pomyślała Jean. Niedawno obchodzili z Markiem drugą rocznicę ślubu oraz pierwsze urodziny synka, Marka Dennisa. Meredith miała fioła na punkcie braciszka, mimo że – jak zapowiedziała ze śmiechem – nie zdoła się zbyt często nim zajmować. Po zakończonej ceremonii będzie już podporucznikiem armii Stanów Zjednoczonych.

Ona i Jake zostali rodzicami chrzestnymi małego Marka. Radość Jake'a z powodu tego zaszczytu wyraziła się istnym zalewem artykułów na temat opieki nad dziećmi, które przesyłał nieustannie z Uniwersytetu Columbia, gdzie obecnie studiował.

Sam i Alice siedzieli kilka rzędów dalej. Tak się cieszę, że są razem, pomyślała Jean. Nic lepszego nie mogło ich spotkać.

Czasami Jean dręczyły koszmarne sny o tamtym przerażającym tygodniu po zjeździe koleżeńskim, zaraz jednak pocieszała się myślą, że dzięki tym wydarzeniom odnaleźli się z Markiem. No i gdyby nie dostała wtedy faksów, być może nigdy nie poznałaby Meredith.

Wszystko zaczęło się tutaj, w West Point, pomyślała Jean, gdy rozległy się pierwsze dźwięki „Gwiazdzonego sztandaru” w wykonaniu wojskowej orkiestry akademii.

Podczas całej uroczystości wciąż wracała wspomnieniami do tamtego słonecznego wiosennego popołudnia, kiedy Reed po raz pierwszy usiadł obok niej na ławce. Był moją pierwszą miłością, myślała ze wzruszeniem. Na zawsze zachowam go w sercu. A kiedy wywołano kadet Meredith Buckley, by odebrała dyplom West Point, którego Reed nie zdążył odebrać, Jean była pewna, że w jakiś sposób kadet Carroll Reed Thornton jest tu razem z nią.